

BARBARA SADOWSKA – SYMBOL MŁODZIEŻY Z ARMII KRAJOWEJ



STAN WOJENNY – JAK ZOMO TŁUMIŁO STRAJKI



ŚMIERCIONOŚNY WIELKI SKOK MAO

Nr 01–02 (104–105)
STYCZEŃ–LUTY 2022
CENA: 11,90 zł (w tym 8% VAT)

wSIECI

HISTORII

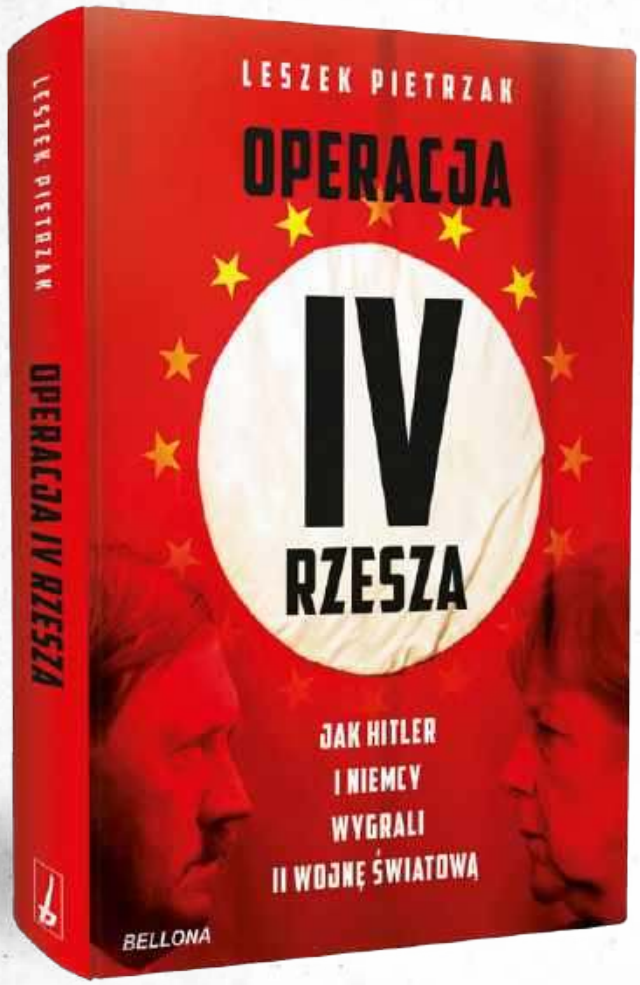
MAGAZYN O POLSCE, HISTORII I KULTURZE

ROZKAZY I EMOCJE W KONSPIRACJI

STRZELAJ, BY ZABIĆ

INDEKS 297127 ISSN: 2300-6803

prasa



Kto naprawdę wygrał II wojnę światową?

I dlaczego Niemcy...?

NAJLEPSZE KSIĄŻKI HISTORYCZNE



BELLONA

KSIĘGARNIE Świat Książki

swiatksiazki.pl

eprasa.pl 287b547067

W SŁUŻBIE NIEPODLEGŁEJ

Dawno, dawno temu, w 2011 r. zaproponowałem ówczesnemu prezesowi banku BZ WBK Mateuszowi Morawieckiemu – którego wówczas nie znałem – by wsparł młodych, ambitnych historyków podnoszących swoje kwalifikacje naukowe w Instytucie Historii UKSW. Pracowałem na tym Uniwersytecie od blisko 10 lat i stale odczuwałem pewien niedosyt. Spod mojej, i moich kolegów z Instytutu Historii, ręki wychodziło co roku co najmniej kilku wybitnych magistrów historii, także wybitnych doktorów nauk historycznych. Maszynopisy ich prac leżały jedynie w czytelni, mimo że powinny się znaleźć w formie książek monograficznych na półkach księgarskich. I wtedy odnalazłem pana Morawieckiego, któremu przedstawiłem projekt mający na celu wsparcie młodych historyków. Marzeniem każdego autora pracy jest przecież wydrukowanie jego pracy magisterskiej czy doktorskiej. Muszą one – rzecz jasna – spełnić wymogi naukowe, ale bez pieniędzy żadna seria wydawnicza nie utrzyma się na rynku. I tak się zaczęło... Z wydawnictwem UKSW i przez pierwsze lata wspierającym nas wydawnictwem państwa Jastrzębskich LTW wymyśliliśmy nazwę „W służbie Niepodległej". Do Rady Programowej zgodzili się wejść wybitni historycy, także spoza UKSW, z profesorami Andrzejem Nowakiem i Wojciechem Roszkowskim na czele. Oni także mi zawierzyli. Bardzo im za to dziękuję. We wstępie do pierwszej pracy – mojej magistrantki Magdaleny Bogdan – pt. „Radio Madryt 1949–1955" – napisałem m.in.: „Seria »W służbie Niepodległej« nosi dumny i zobowiązujący tytuł. Jej twórcy przekazują czytelny sygnał, iż są naukowcami wpisującymi się w niepodległościową tradycję narodu i państwa polskiego. Jesteśmy także ludźmi wiary, dlatego wybraliśmy Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego jako miejsce pracy i wydawania naszej serii. Bliskie są nam słowa Prymasa Tysiąclecia, patrona uczelni, który stwierdził swego czasu: »Tak postanowił Bóg, który stworzył narodową formę bytowania, żądając, byśmy ją osłaniali«". Do dziś wyszło ponad 20 książek z tej serii, prac magisterskich i doktorskich, których promotorami są pracownicy naukowi Instytut Historii UKSW. Są to głównie monografie, ale także prace zbiorowe zawierające artykuły magistrantów i doktorantów, wychodzące pod ich redakcją. Mój patronat – jako przewodniczącego Rady Programowej serii – ogranicza się do wspierania i moderowania młodych ludzi. W ślad za panem premierem Mateuszem Morawieckim, który zaryzykował jako prezes BZ WBK i wsparł finansowo raczkującą serię, poszli kolejni sponsorzy. Dziękuję mu bardzo za ten ówczesny gest i wiarę, że mogę być twórcą ważnego dzieła. Na rynku naukowym seria jest dziś obecna, a jej autorzy są doceniani. Prace m.in. Ilony Lewandowskiej czy Grzegorza Łeszczyńskiego były nagradzane lub nominowane do najbardziej prestiżowych nagród, a książki np. Rafała Sierchuły czy Sebastiana Bojemskiego o ludziach obozu narodowego, także Jana M. Jackowskiego o znanym kapłanie, w końcu Artura Kubaja, Przemysława Zwiernika i Jarosława Schabieńskiego o ludziach i dziełach Solidarności w różnych częściach Polski są w świecie naukowym powszechnie znane i wielokrotnie cytowane.

W niniejszym wydaniu „wSieci Historii" prezentujemy wybrane fragmenty książek monograficznych, które wyszły w serii w ostatnich latach – do 2020 r. włącznie. Są to prace zarówno znane, jak i mniej znane, do których lektury szczególnie zachęcam, np. do fragmentu świetnej monografii Moniki Wiśniewskiej o przedszkolach w Polsce Ludowej, stanowiących „siedlisko dewocji", i o przedszkolakach podlegających od trzeciego roku życia presji ideologicznej. Wydawnictwo UKSW ma je w swoich magazynach. Tematyka serii jest bardzo różna, zgodnie z różnorodnością specjalizacji naszej uczelnianej profesury. Dominuje jednak wiek XIX i XX, a szczególnie widoczne są prace opowiadające o trudnych czasach PRL.

JAN ŻARYN



FOT. ANDRZEJ WIKTOR

Reklama 42/1221/F

eprasa.pl 2670547067

wSIECI
SPIS TREŚCI
Nr 01–02 (104–105) STYCZEŃ–LUTY 2022

HISTORII





14 NAJBARDZIEJ POWSZECHNĄ FORMĄ OPORU W GRUDNIU 1981 r. BYŁY STRAJKI OKUPACYJNE. WŁADZE SKONCENTROWAŁY SIĘ NA ODBLOKOWANIU DUŻYCH ZAKŁADÓW PRACY – WSKAZUJE GRZEGORZ MAJCHRZAK

56 DOWÓDCY DOŚWIADCZAJĄCY W WARUNKACH OKUPACJI EKSTREMALNYCH SYTUACJI CZĘSTO NIE BYLI W STANIE ZACHOWYWAĆ ŁAGODNEGO TONU PERSWAZJI W STOSUNKACH SŁUŻBOWYCH – PODKREŚLA MARIUSZ OLCZAK

3 **GŁOS NACZELNEGO**
JAN ŻARYN

6 **CO BYŁO, CO BĘDZIE**
PIOTR MAZUREK

RZECZPOSPOLITA PODZIEMNA... MNIEJ ZNANA

10 **KONSPIRACJA „NIEPOKORNYCH" PIŁSUDCZYKÓW**
PRZEMYSŁAW WAINGERTNER

W CIENIU HOLOCAUSTU

12 **POLSKIE OBOZY, POLSKI HOLOCAUST, POLSKI ANTYSEMITYZM...**
PRZEMYSŁAW WAINGERTNER

40. ROCZNICA STANU WOJENNEGO

14 **PRZECIWKO STANOWI WOJENNEMU**
GRZEGORZ MAJCHRZAK

15 **KOLEBKA „SOLIDARNOŚCI" STRAJKUJE**
GRZEGORZ MAJCHRZAK

16 **SPACYFIKOWANY SZCZECIN W GRUDNIU 1981 r.**
SEBASTIAN LIGARSKI

17 **GÓRNICZY SPRZECIW**
JAROSŁAW NEJA

18 **NAJKRWAWSZY STRAJK STANU WOJENNEGO**
ROBERT CIUPA

Z FOTOTEKI IPN

20 **STRAJK W HUCIE KATOWICE**
RADOSŁAW POBOŻY

W SŁUŻBIE NIEPODLEGŁEJ

22 **BADANIA NAD RODOWODEM I TOŻSAMOŚCIĄ NARODOWĄ FRYDERYKA NIETZSCHEGO**
MIŁOSZ SOSNOWSKI

24 **PRZEDSZKOLA POLSKI „LUDOWEJ"**
MONIKA WIŚNIEWSKA

26 **DOROŻKI WARSZAWSKIE W XIX w.**
KAROLINA W. GAŃKO, ŁUKASZ LUBRYCZYŃSKI

WEHIKUŁ CZASU

28 **STYCZEŃ, LUTY**
MICHAŁ KOMUDA

SKARBY AGAD

32 **DOMINIKANIE**
JACEK KROCHMAL

TAJEMNICE AAN

34 **STANISŁAW GROCHOLSKI – ŻYCIE W SŁUŻBIE VERITAS**
RAFAŁ KIERZKOWSKI

FELIETONY

36 **ZAPAŚĆ SASKA**
GRZEGORZ GÓRNY

73 **1958 – MAO WALCZY Z PRZYRODĄ**
PAWEŁ SKIBIŃSKI

77 **SMUTNY KONTYNENT**
ANTONI DUDEK

77 **OKLASKI NIE UMILKNĄ...**
RYSZARD CZARNECKI

85 **ZA DRZWIAMI**
GABRIELA SIEROCIŃSKA-DEC

86 **IMIGRACJA PO NAMYŚLE**
MAREK JUREK

98 **SILVA RERUM**
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

DUSZA KONTUSZA

38 **REMIAN JELEC – NIEDOSZŁY FUNDATOR**
HENRYK LITWIN

DAWNO TEMU

41 **W SĄDZIE Z KRZYŻAKAMI**
MACIEJ MACIEJOWSKI

44 **UJŚCIA OBRAZ PRAWDZIWY**
BARTOSZ STARĘGOWSKI

ZDARZYŁO SIĘ

48 **RZĄDOWA PRZYGODA GONZAGI-MYSZKOWSKIEGO**
PIOTR ŚWIĄTECKI





prasa.pl 287b547067



FOT. IPN; BIBLIOTEKA NARODOWA; WBC.POZNAN.PL; AAN

59 BYŁA KAPITANEM, DOWÓDCĄ EKSPOZYTURY WYWIADOWCZEJ „LICEUM" PODLEGŁEJ BEZPOŚREDNIO II KORPUSOWI GEN. ANDERSA, ODZNACZONA VIRTUTI MILITARI. BYŁA SYMBOLEM MŁODZIEŻY AKOWSKIEJ. POSTAĆ KAPITAN BARBARY SADOWSKIEJ – PRZYPOMINA JACEK CZAPUTOWICZ

50 ŁUKASIEWICZ I DŁUGOSZ – POLSCY NAFCIARZE, SPOŁECZNICY I FILANTROPI
WALDEMAR CZECHOWSKI



54 KRÓL KASZUBÓW
DARIUSZ WALUSIAK

56 „PSOTNY KAZIK" I „PIJAWKI" – O EMOCJACH DOWÓDCÓW W KONSPIRACJI
MARIUSZ OLCZAK

59 KAPITAN BARBARA SADOWSKA
JACEK CZAPUTOWICZ



62 URSZULA
MAŁGORZATA I MAREK NOWICCY

INSTYTUT DZIEDZICTWA MYŚLI NARODOWEJ

65 HISTORIA PEWNEJ FOTOGRAFII
KAMIL SULEJ



WŁADCZYNIE

68 LUDWIKA MARIA
MAREK BARAŃSKI

POLONIA

70 WASIUTYŃSKI NA CELOWNIKU WYWIADU PRL
KRZYSZTOF TARKA



ZIEMIAŃSTWO

74 CIECHANOWIECCY JEDNAŻ KREW Z KISZKAMI
JAROSŁAW KOSSAKOWSKI



PEŁNA KULTURA

78 NASZ ŚWIDERMAJER
HANNA LITWIN



80 MONIUSZKO – PIEWCA POLSKOŚCI
JERZY MIZIOŁEK

83 W KRĘGU KLIO
RAFAŁ ŁATKA

DIABEŁ NIE MÓGŁ

88 KOBIETA PIÓRA I DWA POWSTANIA
JOANNA PUCHALSKA



SZLACHETNE ZDROWIE

90 TA LENIWA TARCZYCA
KRZYSZTOF ŻARYN

CZYM STRZELAĆ

92 PRODUKT POLSKI
KACPER GROCHOCKI

NAC PREZENTUJE

96 WIEŻOWE PUNKTY OBSERWACYJNE
ŁUKASZ KAROLEWSKI



ZE ZBIORÓW MPW

99 OSTATNI LOT HALIFAXA JP-276 „A"
RAFAŁ BRODACKI

wSIECI HISTORII

ISSN 2300-6803

www.wsieci.pl
Redaktor naczelny: Jan Żaryn
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Karpowicz, Małgorzata Żaryn
Sekretarz redakcji: Krzysztof Kotowski
e-mail: redakcja@fratria.pl, tel. (22) 616 36 00
ul. Finlandzka 10, 03-903 Warszawa

Stali współpracownicy:
Marek Barański, Ryszard Czarnecki, Antoni Dudek, Kacper Grochocki, Grzegorz Górny, Marek Jurek, Tomasz Karpowicz, Michał Komuda, Jarosław Kossakowski, Jacek Krochmal, Henryk Litwin, Rafał Łatka, Piotr Mazurek, Joanna Puchalska, Gabriela Sierocińska-Dec, Paweł Skibiński, Andrzej Skwarczyński, Piotr Skwieciński, Piotr Zaremba, Krzysztof Żaryn oraz IPN, MPW, AGAD, AAN i NAC

Współpracownicy:
Jarosław Czubaty, Jerzy Dąbrowski, Iza Galicka, Grzegorz Grabski, Adam Hlebowicz, Zbigniew Hundert, Michał Janik, Piotr Kardela, Janusz Kotański, Artur Kubaj, s. Małgorzata Krupecka, Sebastian Ligarski, Agnieszka Łuczak, Piotr Łysakowski, Grzegorz Majchrzak, Łukasz Michalski, Waldemar Mierzwa, Wojciech Osiński, Tomasz Panfil, Andrzej R. Potocki, Maria Radożycka-Paoletti, Marcin Schirmer, Ewelina Steczkowska, Grzegorz Szymborski, Krzysztof Tarka, Przemysław Waingartner, Jakub Witczak

Dyrektor artystyczny:
Michał Korsun, michal.korsun@fratria.pl

Studio graficzne:
Andrzej Skwarczyński (kierownik)
andrzej.skwarczynski@fratria.pl,
Projekt graficzny: Michał Korsun
Fotoedycja: Anna Łabęcka, ania.labecka@fratria.pl,
Robert Gołaszewski, robert.golaszewski@fratria.pl,
Obróbka zdjęć: Tomasz Kieras

Wydawca:
Fratria sp. z o.o.
prezes: Romuald Orzeł
ul. Legionów 126-128,
81-472 Gdynia
redakcja@fratria.pl, www.fratria.pl

Druk: Walstead Kraków sp. z o.o.

Prenumerata wydania papierowego:
tel. (22) 616 36 00
www.wsieci.pl
prenumerata@fratria.pl
Regulamin oraz warunki prenumeraty na stronie www.wsieciprawdy.pl
Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia,
w tytule wpłaty wpisując pełne dane adresowe od wysyłki oraz rodzaj prenumeraty
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej oraz na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem:
801 800 803 lub 22 717 59 59
– czynne w godzinach 7^{00}–18^{00}.
Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Dyrektor ds. Rozwoju Biznesu:
Katarzyna Marchewka
katarzyna.marchewka@fratria.pl

Biuro Reklamy:
reklama@fratria.pl
Paulina Kąkol – paulina.kakol@fratria.pl
Agnieszka Woźniak – agnieszka.wozniak@fratria.pl
Marcin Dąbrowski – marcin.dabrowski@fratria.pl

Kolportaż:
kolportaz@fratria.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów. Copyright © Fratria Sp. z o.o. Wszystkie prawa zastrzeżone (włącznie z tłumaczeniem na języki obce). Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Ogłoszenia i reklamy nie stanowią materiału pochodzącego od Wydawcy. Bezumowna sprzedaż numerów bieżących i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

OKŁADKA: Projekt: Michał Korsun; Fot.: Andrzej Wiktor; Aktorzy: Marcin Chojecki (GRF Bemowo), Marta Cwujdzińska, Stanisław Świerk; Charakteryzacja: Klaudyna Pabudzińska-Kossek; Kostiumy i rekwizyty: Retro-Pasje, Marcin Chojecki

eprasa.pl 287b547067



Obchody Święta Niepodległości

Z okazji Narodowego Święta Niepodległości w całej Polsce odbyło się wiele wydarzeń, które na różne sposoby przypominały o rocznicy powrotu Rzeczypospolitej na mapę Europy. Największym był tradycyjnie warszawski Marsz Niepodległości, który w tym roku uzyskał rangę uroczystości państwowej, współorganizowanej przez Urząd ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych. Marsz rozpoczął się od złożenia kwiatów pod tablicą upamiętniającą Polaków zamordowanych przez Niemców w trakcie II wojny światowej, a zakończył pod tablicą Ignacego Jana Paderewskiego w parku Skaryszewskim jego imienia. Na Krakowskim Przedmieściu odbywał się Festiwal Niepodległej, w ramach którego m.in. prezentowano wystawę „Enigma. Zagadka rozwiązana" przygotowaną przez Muzeum Historii Polski we współpracy z Narodowym Centrum Kultury, a także pokazywano zabytkowe powozy i samochody. Miały również miejsce koncerty, m.in. Magdy Beredy, oraz parady muzyczne.

Wokół 40. rocznicy wprowadzenia stanu wojennego

Z okazji 40. rocznicy wprowadzenia stanu wojennego w wielu miejscach kraju odbywały się uroczystości upamiętniające ofiary komunistycznej junty Wojciecha Jaruzelskiego. Okolicznościowe obchody zostały zorganizowane m.in. w Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL w Warszawie. Uroczystości odbyły się również w Paryżu. W tamtejszym kościele Wniebowzięcia NMP odprawiona została msza św. w intencji „Ojczyzny i tych wszystkich, którzy w latach 80. pomagali Polsce". Następnie w Ambasadzie RP w Paryżu otwarto wystawę „France Solidarite" autorstwa prof. Jana Żaryna, prof. Patryka Pleskota i ks. dr. Roberta Czarnowskiego. Ekspozycja będzie następnie pokazywana w siedzibie Polskiej Misji Katolickiej we Francji, a później w 20 parafiach katolickich w tym kraju. Organizatorami paryskich obchodów były: Polska Misja Katolicka, Fundacja Golgota Wschodu, Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego Jana Paderewskiego oraz Ambasada RP w Paryżu. Projekt sfinansowano ze środków Kancelarii Prezesa Rady Ministrów przeznaczonych na projekty polonijne.





Widowisko „Z Rakowieckiej ku Niepodległości"

24 listopada odbyła się premiera widowiska „Z Rakowieckiej ku Niepodległości", stanowiącego upamiętnienie i hołd dla polskich bohaterów – ofiar zbrodni komunistycznych, osadzonych i zamordowanych w więzieniu na Mokotowie. Koncert powstał we współpracy Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego Jana Paderewskiego (IDMN) oraz Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL (MŻWiWP). Dobór utworów i tekstów niesie metafizyczną refleksję o tęsknocie, wojnie, o ofierze życia – cenie, jaką płacili nasi bohaterowie, walcząc o najwyższe wartości, prawdę, wiarę, ludzką godność i niepodległość Polski. Program składa się z utworów muzycznych i wplecionych fragmentów listów Łukasza Cieplińskiego ps. Pług, a także listów od rodzin, pisanych do osadzonych – zatrzymanych przez cenzurę więzienną i nigdy niedostarczonych do adresatów. Wykonane zostały m.in. pieśni religijne, zawierające wyznanie wiary płynące z najtrudniejszego doświadczenia, skargę i oddanie się w opiekę Opatrzności Bożej i Matce Najświętszej Królowej Polski, a także pieśni i piosenki świeckie opowiadające o tym doświadczeniu. W koncercie udział wzięli m.in. Krzysztof Cugowski, Krzysztof Iwaneczko, Klaudia Kolata, Andrzej Lampert, Barbara Ewa Pospieszalska, Natalia Rzeźniak-Pospieszalska i Adam Woronowicz. Producentem wydarzenia był Paweł Nowacki.

FOT. ANDRZEJ WIKTOR; M.CZUTKO; MARYLA-SCIBOR-MARCHOCKA.MUZEUM ŻOŁNIERZY WYKLĘTYCH WIĘŹNIÓW POLITYCZNYCH PRL; TWITTER; MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 287b547067

Gala Towarzystwa Patriotycznego

6 listopada na Zamku Ujazdowskim – Centrum Sztuki Współczesnej w Warszawie odbył się koncert specjalny połączony z galą nagród „Żeby Polska była Polską" przyznawanych przez Towarzystwo Patriotyczne kierowane przez satyryka Jana Pietrzaka. Laureatami tegorocznej edycji zostali: dyrektor Instytutu Literatury prof. Józef Maria Ruszar, wieloletni redaktor naczelny „Niedzieli" ks. Ireneusz Skubiś, działacz Solidarności i były prezydent Łodzi Jerzy Kropiwnicki, aktorka Ewa Dałkowska oraz poeta, kompozytor i pieśniarz Leszek Długosz. W części artystycznej wystąpili m.in. Jan Pietrzak, Dominika Świątek, Andrzej Kołkowski, Piotr Rafałko i Kapela spod Egidy pod kierunkiem Mariusza Dubrawskiego. W wydarzeniu uczestniczyło wielu przedstawicieli życia publicznego, w tym wicepremier, minister kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotr Gliński oraz dyrektor IDMN prof. Jan Żaryn.



POD PATRONATEM „wSIECI HISTORII"



Konferencja rocznicowa Młodzieży Wszechpolskiej

27 października w Warszawie odbyła się Ogólnopolska Konferencja Naukowa „W przededniu 100-lecia Młodzieży Wszechpolskiej – historia, tradycja, współczesność". Wydarzenie miało na celu przedstawienie badań z zakresu historii dotyczącej ruchu wszechpolskiego, począwszy od wieku XIX po czasy współczesne. Podczas konferencji wystąpili m.in. prof. Jan Żaryn, dr Krzysztof Kawęcki, dr Rafał Sierchuła, dr Patryk Tomaszewski oraz prelegenci z wielu ośrodków akademickich z całej Polski. Sesja była elementem obchodów 100. rocznicy powołania Młodzieży Wszechpolskiej. Wydarzenie zostało współfinansowane ze środków Funduszu Patriotycznego IDMN.

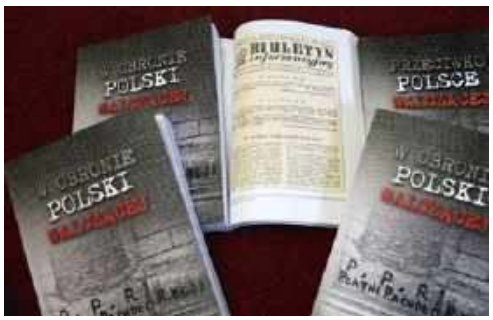


Bliżej odbudowy Pałacu Saskiego

1 grudnia wicepremier, minister kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotr Gliński powołał zarząd i radę nadzorczą spółki celowej zajmującej się odbudową Pałacu Saskiego, Pałacu Brühla oraz kamienic przy ul. Królewskiej w Warszawie. „Dziękuję społeczności polskich historyków sztuki, architektury i urbanistyki, którzy myśleli o odbudowie już w czasach powojennych. Wtedy nie była ona jednak możliwa. Do tej idei wrócił prezydent RP Lech Kaczyński, a następnie, 11 listopada 2018 r., w stulecie odzyskania niepodległości, powrócił do tej idei prezydent Andrzej Duda" – mówił wicepremier Gliński podczas uroczystości wręczenia nominacji, która odbyła się na Zamku Królewskim w Warszawie. Funkcję prezesa spółki objął Jan Edmund Kowalski. W skład zarządu weszli też Robert Cicirko i Robert Bernisz. Do rady nadzorczej weszli: prof. Rafał Wiśniewski, prof. Małgorzata Podrecka, Michał Olszewski, Robert Chmielarczyk, Michał Pelczarski i Grzegorz Kłoczko. Spółka celowa została powołana zgodnie z zapisami ustawy z 11 sierpnia 2021 r., która była kontynuacją deklaracji prezydenta RP Andrzeja Dudy z 11 listopada 2018 r., zamykającej wieloletnią debatę publiczną nad potrzebą odbudowy historycznych gmachów przy pl. Marszałka Józefa Piłsudskiego. Zgodnie z zapisami w preambule ustawy przedsięwzięcie będzie realizowane w celu uczczenia jubileuszu stulecia odrodzenia się niepodległej Rzeczypospolitej, a także przywrócenia historycznego kształtu przestrzeni pl. Piłsudskiego. Budowle mają się stać dopełnieniem odbudowy zniszczonej w czasie II wojny światowej stolicy, a w konsekwencji być symbolem umocnienia jedności wspólnoty obywatelskiej. Obiekty, powstałe w wyniku realizacji inwestycji, zostaną przeznaczone na potrzeby Kancelarii Senatu i Mazowieckiego Urzędu Wojewódzkiego w Warszawie oraz innych podmiotów prowadzących działalność kulturalną, edukacyjną lub społeczną.

eprasa.pl 287b547067

CO BYŁO



Dyskusja wokół książek o tematyce wywiadowczej

27 października w MŻWiWP PRL w Warszawie odbyła się premiera książek prof. Waldemara Handkego „W obronie Polski Walczącej. Kartoteka kontrwywiadu AK" oraz Leszka Żebrowskiego „Przeciwko Polsce Walczącej. Wywiad komunistów 1942–1945". Publikacje odwołują się do odnalezionych w 2017 r. dokumentów, dzięki którym poszerzył się stan wiedzy o rozpracowywaniu komunistów przez polskie podziemie niepodległościowe oraz działań partyzantki PPR wymierzonej w Polskie Państwo Podziemne. Publikacje zostały wydane przez Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

CO BĘDZIE

Druga edycja Funduszu Patriotycznego IDMN

W związku z ogromnym zainteresowaniem środowisk społecznych pierwszą edycją Funduszu Patriotycznego, powstałego w 2020 r. z inicjatywy premiera Mateusza Morawieckiego oraz wicepremiera, ministra kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotra Glińskiego, postanowiono o uruchomieniu kolejnego naboru, jeszcze w tym roku. Dodatkowa edycja odbywa się pod hasłem „Niepodległość po polsku". Głównymi zadaniami Funduszu Patriotycznego jest realizacja polityki pamięci w zakresie historii i dziedzictwa Polski, ze szczególnym uwzględnieniem myśli narodowej, katolicko-społecznej i konserwatywnej. Fundusz ma na celu promowanie postaw patriotycznych i kształtowanie świadomego własnej tożsamości obywatela poprzez upowszechnianie i popularyzację wiedzy dotyczącej historii Polski oraz polskiego dziedzictwa kulturowego. Środki z Funduszu Patriotycznego mają także wspierać i upowszechniać zjawiska w nauce, edukacji, kulturze i sztuce nawiązujące do dziedzictwa polskiej historii. Program składa się z dwóch ścieżek dotacyjnych: Priorytetu I i II. Prognozowany łączny budżet tej edycji Funduszu wyniesie 12 mln zł. W ramach Priorytetu I przewidziane jest 4 mln zł, natomiast w ramach Priorytetu II – 8 mln zł. W ramach Priorytetu I będzie się można ubiegać o dofinansowanie organizowania projektów kulturalnych, edukacyjnych i naukowych: konferencji, odczytów, koncertów itp. W ramach Priorytetu II będą finansowane przedsięwzięcia inwestycyjne i infrastrukturalne czy szkoleniowe, które mają na celu wzmocnienie instytucjonalne podmiotów wnioskodawców. O dofinansowanie w ramach Funduszu mogą się ubiegać samorządowe instytucje kultury, kościoły i związki wyznaniowe oraz ich osoby prawne, organizacje pozarządowe, w tym w szczególności stowarzyszenia zarejestrowane w Krajowym Rejestrze Sądowym, związki stowarzyszeń, fundacje oraz jednostki terenowe organizacji pozarządowych posiadające osobowość prawną, Koła Gospodyń Wiejskich, podmioty prowadzące działalność gospodarczą wpisane do Centralnej Ewidencji i Informacji o Działalności Gospodarczej lub do Krajowego Rejestru Sądowego. Każda zgłoszona inicjatywa będzie starannie analizowana przez szerokie grono doświadczonych ekspertów. Każdy wniosek będzie rozpatrywany przez dwóch niezależnych od siebie ekspertów. W przypadku, gdy ich oceny będą zbyt mocno od siebie odbiegać, wniosek trafi do oceny trzeciego eksperta. Nabór wniosków trwa do 19 grudnia 2021 r. Szczegółowe informacje dotyczące ogłoszonego konkursu, w tym jego regulamin, można znaleźć na stronie www.fundusz-patriotyczny.pl oraz na witrynie operatora programu – Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego Jana Paderewskiego: www.idmn.pl

OPR. PIOTR MAZUREK

„wSieci Historii" w Radiu dla Ciebie...

18 grudnia i 15 stycznia (soboty) o godz. 13.00 w Radiu dla Ciebie red. Wojciech Marczyk będzie rozmawiał z członkami redakcji miesięcznika.

...w Radiu Warszawa...

20 grudnia (poniedziałek) o godz. 9.30 Radio Warszawa oraz magazyn „wSieci Historii" zapraszają na wspólną audycję. Gośćmi Ewy Pietrzak będą członkowie redakcji pisma.

...i w Radiu Gdańsk

Prezentacja najnowszego numeru „wSieci Historii" w każdą ostatnią środę miesiąca o godzinie 11.05 w audycji Wojciecha Sulecińskiego pt. „Co to za Historia".

Zamów prenumeratę tygodnika SIECI
www.wsieciprawdy.pl/prenumerata z prezentem
Masz pytania?
NAPISZ: prenumerata@fratria.pl | ZADZWOŃ: 22 616 36 00
Autopromocja
Reklama 44/1121/F

eprasa.pl 287b547067

MUZEUM NASZYCH BOHATERÓW!



* MUZEUM ŻOŁNIERZY WYKLĘTYCH * i WIĘŹNIÓW POLITYCZNYCH PRL *

Wojciech Korkuć KORKSTUDIO fot. (kolor): Stanisław Markowski

WARSZAWA, UL. RAKOWIECKA 37 **WWW.MUZEUMRAKOWIECKA37.PL** **FACEBOOK.COM/MUZEUMWYKLETYCH**

eprasa.pl 287b547067



KONSPIRACJA „NIEPOKORNYCH" PIŁSUDCZYKÓW



PRZEMYSŁAW WAINGERTNER

Ważnym komponentem świata politycznego i mozaiki organizacji wojskowych polskiego podziemia w latach II wojny światowej byli piłsudczycy. Charakterystyczne jednak, iż środowisko to było wewnętrznie podzielone

Z jednej strony powstał dobrze znany z historiografii Obóz Polski Walczącej skupiający sanatorów, którzy przed wojną byli zwolennikami twardego kursu wobec opozycji, stanowiąc zarazem elitę ówczesnego obozu rządzącego, z drugiej – do założenia własnej konspiracji parli krytyczni wobec zjawiska zaostrzania pomajowej dyktatury przedstawiciele tzw. społecznego, centrolewicowego skrzydła obozu sanacyjnego.

Z bronią w ręku

Organizacją, która skupiła tych właśnie działaczy, stał się Związek Odbudowy Rzeczypospolitej, założony już 10 października 1939 r. przez Tadeusza Żenczykowskiego – jednego z liderów piłsudczykowskiego Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej, którego członkowie, „niepokorni" wobec rządzących Rzecząpospolitą po śmierci Józefa Piłsudskiego sanatorów, odnosili się jednak z atencją do postaci samego Marszałka. Pierwotnie – w pierwszych tygodniach po przegranej wojnie obronnej, gdy walka z bronią w ręku, nie zaś podziemna praca programowa, wydawała się imperatywem nie tylko patriotycznym, ale wręcz moralnym – ZOR był ukierunkowany na pracę czysto wojskową. W ogólnym przekroju społecznym jego członkowie rekrutowali się głównie z młodzieży robotniczej i chłopskiej, w mniejszym stopniu spośród inteligencji. Stanowisko komendanta organizacji objął sam Żenczykowski. Sieć konspiracji ZOR pokryła stopniowo znaczącą część obszaru przedwojennej Polski. W strukturze Związku najmniejszą jednostką terenową był oddział obejmujący wieś, gminę lub miasteczko. Kilka oddziałów składało się na rejony, które z kolei w ramach powiatu tworzyły obwód. W granicach województwa sieć obwodów stanowiła okręg. Struktura oddziałów zbrojnych odpowiadała powszechnie przyjętym wojskowym schematom organizacyjnym, opierając się na sekcjach, drużynach i kompaniach. Pierwsze oddziały ZOR powstały na terenie Warszawy jako zalążki późniejszego Okręgu 2 obejmującego miasto. Za Okręg 1 zostało uznane całe województwo warszawskie. W lecie 1940 r. ukształtował się Okręg 3 w Krakowie. Obejmował on miasto oraz od północy obwód z Miechowem, a na południu – z Zakopanem. Utworzono też oddział w Piotrkowie. Rozbudowa konspiracji pociągała jednak ofiary. W Krakowie zaangażowane w konspirację ZOR środowisko poniosło bolesne straty osobowe. W czerwcu 1942 r., na skutek częściowej dekonspiracji miejscowej siatki, Gestapo wpadło na trop komendanta okręgu Kazimierza Ostrowskiego, który musiał wyjechać i ukryć się w Warszawie. Tym niemniej aresztowania w Krakowie i jego okolicach objęły kilkadziesiąt osób. Niemal wszyscy zatrzymani zostali wywiezieni do Auschwitz, skąd niewielu powróciło po wojnie. Kolejne grupowe aresztowania nastąpiły we wrześniu 1942 r. Organizacja w Krakowskiem jednak przetrwała. Kierownictwo tamtejszego okręgu objął później kapitan Adam Żeleński, który zajął się odbudową konspiracyjnej siatki.

O jedność podziemnej armii

Już od jesieni 1939 r. Związek Odbudowy Rzeczypospolitej brał udział w akcjach dywersyjnych i sabotażowych. Do szczególnie ważnych działań należało transportowanie i magazynowanie broni zdobytej bądź zakupionej przez konspiratorów, a od 1941 r. organizowanie i zapewnianie bojowej osłony dla placówek zrzutowych, tworzonych w celu przyjmowania skoczków spadochronowych i przesyłek lotniczych z Anglii i Włoch. Wyspecjalizowane komórki organizacji prowadziły także działalność wydawniczą. Z czasem doświadczenie bojowe i konspiracyjne zdobyte przez członków ZOR sprawiło, iż różne środowiska działające w podziemiu zwracały się do nich z propozycją połączenia wysiłków. W 1941 r. ZOR odmówił udziału w bloku polityczno-wojskowym, który chciał montować Julian Piasecki na bazie piłsudczykowskiego Obozu Polski Walczącej, zarzucając jego pomysłodawcom chęć zmonopolizowania porozumienia i dyktatorskie wizje ustroju przyszłej Polski. Natomiast dwa lata później oddziały zbrojne Związku podporządkowały się karnie Armii Krajowej, a ich członkowie gremialnie zasilili jej szeregi. Scalenie ZOR z armią polskiego Podziemnego

eprasa.pl 287b547067

Państwa odbyło się według stanu opracowanego na marzec 1943 r. Zgodnie z raportem, potwierdzonym przez przedstawicieli AK, piłsudczykowska konspiracja zasiliła szeregi akowskie niebagatelną liczbą ok. 10 tys. żołnierzy, z czego na województwo warszawskie przypadło ponad 3 tys., na miasto Warszawę i na okręg krakowski – blisko 3,5 tys., reszta natomiast pochodziła z pozostałych terenów Rzeczypospolitej. Z kolei na początku 1944 r. wykształcony z czasem pion cywilny, polityczny ZOR przekształcił się w Związek Wolnej Polski. W końcowym okresie okupacji ZWP wraz z m.in. z Grupą Olgierda (kierowaną przez piłsudczyka, byłego wojewodę wołyńskiego Henryka Józewskiego) i Stronnictwem Demokratycznym wszedł w skład konspiracyjnego Zjednoczenia Demokratycznego.

PIŁSUDCZYKOWSKA KONSPIRACJA ZASILIŁA SZEREGI AKOWSKIE NIEBAGATELNĄ LICZBĄ OK. 10 TYS. ŻOŁNIERZY

Szef propagandy – lider konspiracji – antykomunista

Należy tu dodać, iż aktywność konspiracyjna samego lidera ZOR, Żenczykowskiego, wiązała się w latach II wojny światowej nie tylko z założeniem i rozbudową organizacji, którą kierował. Był on także jednym z głównych organizatorów specjalnego podwydziału „Antyk", utworzonego w ramach Wydziału Propagandy Biura Informacji i Propagandy Komendy Głównej AK. Kierował nim najprawdopodobniej od września 1943 r., posługując się pseudonimami Kowalik i Krawczyk. Funkcję tę zawdzięczał przede wszystkim docenionemu przez dowództwo AK nowoczesnemu, profesjonalnemu podejściu do zagadnienia politycznej agitacji, które zademonstrował, szefując przed wojną Akademickiej Centrali Informacyjnej, a później pionowi propagandy Obozu Zjednoczenia Narodowego. Celem akcji podwydziału było przeciwdziałanie propagandzie prokomunistycznej i prorosyjskiej wśród Polaków oraz prowadzenie prac przygotowawczych do rozpoczęcia ewentualnej „propagandy rozkładowej" i dezinformacji w szeregach armii sowieckiej po jej spodziewanym wkroczeniu na ziemie polskie. W ramach „Antyku" działały trzy oddziały: redakcyjny, którym osobiście kierował „Krawczyk", organizacyjny oraz kolportażowy, Na przełomie 1943 i 1944 r. „Antyk" rozbudował swoje struktury w ramach BIP KG AK niższych szczebli – w okręgach i obwodach. Stan osobowy podwydziału na sierpień 1944 r. wynosił 20 osób. Równocześnie Żenczykowski publikował w konspiracji wiele opracowań i instrukcji, poświęconych zagadnieniu roli propagandy, informacji i dezinformacji w okresie wojny. Ich adresatami byli przede wszystkim działacze polskiego podziemia zaangażowani w gromadzenie danych oraz poczynania propagandowe, wydawanie konspiracyjnej prasy, wreszcie przygotowywanie broszur i ulotek.

Już po wojnie Żenczykowski – uczestnik powstania warszawskiego, a po jego kapitulacji więzień niemieckich obozów jenieckich – po krótkim pobycie w kraju, zakończonym decyzją o wyjeździe na Zachód, cieszył się pozycją politycznego i dziennikarskiego autorytetu polskiej emigracji. Był też długoletnim redaktorem, a następnie zastępcą dyrektora w Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa.

Pierwszy odcinek tego cyklu Redakcja omyłkowo umieściła w poprzednim numerze, za co przeprasza Autora



Tadeusz Żenczykowski już 10 października 1939 r. założył Związek Odbudowy Rzeczypospolitej

FOT. SHUTTERSTOCK x2

FOT. OSSOLINEUM

eprasa.pl 287b547067

WYOBRAŻAM SOBIE, ŻE WSPÓŁCZESNY POLAK, CHOĆBY I NIE HISTORYK, LECZ KOJARZĄCY PRZECIEŻ NAJWAŻNIEJSZE WYDARZENIA Z RODZIMEJ PRZESZŁOŚCI, STAJE ZDUMIONY I ZIRYTOWANY WOBEC OSKARŻEŃ ZACHODNICH I ŻYDOWSKICH (NIEKIEDY POLSKICH) DZIEJOPISÓW, PUBLICYSTÓW I POLITYKÓW O WSPÓŁUDZIAŁ POLSKIEGO NARODU W HOLOKAUŚCIE – WYNIKAJĄCY Z „POLSKIEGO ANTYSEMITYZMU"

POLSKIE OBOZY, POLSKI HOLOKAUST, POLSKI ANTYSEMITYZM...



PRZEMYSŁAW WAINGERTNER

Pomnik powstania w getcie warszawskim w 1943 r. na Muranowie

FOT. ANDRZEJ WIKTOR

Nie dowierza, gdy się dowiaduje, że w świecie nie tylko pojawia się określenie „polskie obozy śmierci", ale są też tacy, co wręcz spieszą z usprawiedliwieniem. Twierdzą bowiem, że obozy zagłady na ziemiach polskich powstały nieprzypadkowo, gdyż Niemcy mogli liczyć na współpracę Polaków w eksterminacji narodu wybranego.

Cena nieobecności

Czy rację ma nasz rodak, nie mogąc pojąć, jak Polacy – współofiary niemieckiego terroru i rasistowskiej ideologii narodowego socjalizmu, spieszący zarazem z narażeniem życia z pomocą Żydom, stanowiącym pierwszy cel eksterminacyjnego programu III Rzeszy – stali się dla świata przynajmniej po części współwinnymi Holocaustu? A może padliśmy ofiarami idealizowania naszej historii i nie potrafimy stanąć w prawdzie jako współuczestnicy Zagłady? Nie, nie ulegliśmy zbiorowej iluzji. Przepaść pomiędzy wyobrażeniami Polaków o bohaterstwie ich rodaków, faktycznie niosących pomoc Żydom w latach niemieckiej okupacji, oraz częstymi oskarżeniami, płynącymi z Zachodu i ze środowisk żydowskich, to ponury rezultat braku obecności w międzynarodowej przestrzeni polskiego świadectwa o niemieckiej okupa-

cji i Holocauście. Milczeliśmy przez całe powojenne dekady – wtedy gdy swoje tzw. narracje (przykrojone do potrzeb) stworzyły i ukorzeniły w świadomości obywateli Wolnego Świata zwycięskie mocarstwa, zrehabilitowane przez nie nowe, demokratyczne Niemcy oraz żydowska diaspora i Izrael.

W XX w. (zwanym nie bez racji stuleciem ideologii), a zwłaszcza po zakończeniu II wojny światowej, istotnym kierunkiem działania w budowaniu przez państwa ich pozycji międzynarodowej stało się – obok wypracowania siły militarnej i potencjału gospodarczego – propagowanie pozytywnego własnego wizerunku jako uczestnika ogólnoświatowej wspólnoty, opierającego politykę na uniwersalnych humanitarnych wartościach. Ważnym instrumentem takiej kreacji stała się polityka historyczna, mająca podkreślać obecność owych wartości w poczynaniach państw i narodów także w przeszłości. Nie może dziwić, iż w świecie po Holocauście wykazanie udziału w obronie Żydów stało się jednym z dominujących wątków tej polityki. Amerykańska i angielska opowieść o dziejach wojny i powojennego świata głosi zatem zasługi obu tych nacji w wyzwoleniu Starego Kontynentu (i ocalałych Żydów) spod hitlerowskiego jarzma, jak też akcentuje wsparcie Zachodu dla powstałego po II wojnie światowej Państwa Izrael. Oczywiście obojętność wobec polskich apeli z lat wojny o powstrzymanie Zagłady, odmowy Waszyngtonu przyjmowania żydowskich emigrantów z III Rzeszy (którzy zginęli później w komorach gazowych obozów śmierci) i konflikt brytyjsko-żydowski na Bliskim Wschodzie, poprzedzający proklamowanie państwa narodu wybranego, nie mieszczą się w tej narracji. Z kolei w polityce historycznej Izraela Holokaust i powszechny – a zatem obecny także wśród Polaków – antysemityzm stały się filarami argumentacji uzasadniającej powstanie państwa żydowskiego jako bezpiecznego azylu dla Żydów, bezwzględną walkę z arabskim otoczeniem o przetrwanie; wreszcie – moralne zobowiązanie świata (który dopuścił do Zagłady) do bezwarunkowego wspierania Izraela.

Diabeł w ornacie

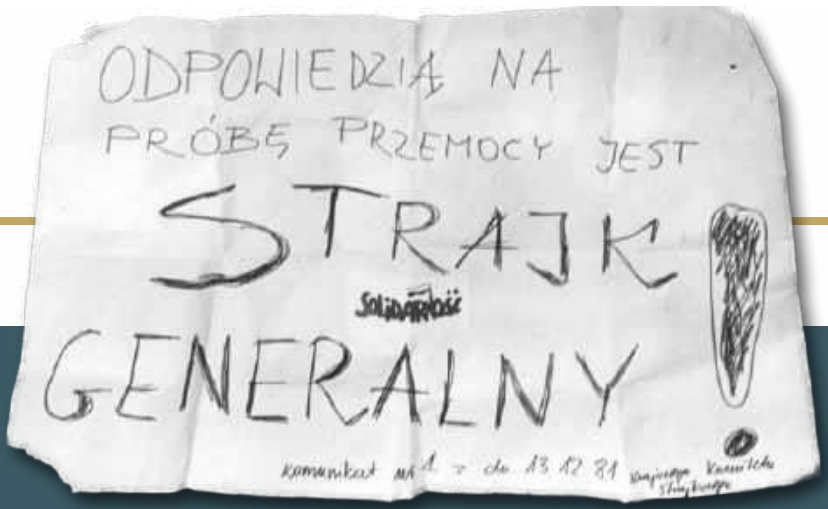
Jednak prawdziwie osobliwy kształt przybrała w odniesieniu do Holocaustu polityka historyczna powojennych Niemiec. Polegała ona na przeprowadzeniu trzech operacji. Po pierwsze – uznaniu hitlerowskiej przeszłości za zamknięty rozdział, który nowe demokratyczne Niemcy zakończyły ostatecznie poprzez moralną pokutę, polityczną denazyfikację, prawne osądzenie sprawców zbrodni, wypłatę odszkodowań Izraelowi i światowym organizacjom żydowskim, wreszcie – przyjęcie roli powojennego obrońcy idei demokracji i tolerancji na Starym Kontynencie i w świecie. Po drugie – obarczeniu nazistów wyłączną odpowiedzialnością za wojnę i Zagładę Żydów przy zdjęciu jej z barków narodu niemieckiego – najpierw uwiedzionego przez Hitlera, później oszukiwanego przez władze III Rzeszy co do charakteru wojny i losu Żydów, wreszcie sterroryzowanego przez hitlerowców (stanowiącego zatem właściwie jedną z ofiar, nie zaś winowajcę przemocy). Po trzecie – spopularyzowaniu idei, że Holocaust był nie tyle rezultatem bezprecedensowej w dziejach Europy rasistowskiej ideologii, zrodzonej w Niemczech, ile pokłosiem obecnego od wieków wśród europejskich nacji antysemityzmu. Ten ostatni zabieg rozszerzał moralną współodpowiedzialność za Zagładę, ujmując zarazem brzemienia ciążącego na niemieckich barkach. Taka polityka historyczna została w pełni zaakceptowana przez Zachód – stanowiła wszak idealne usprawiedliwienie koniecznej ze względów strategicznych obecności nowych Niemiec w międzynarodowych sojuszach politycznych i wojskowych oraz wspólnotach gospodarczych i dostarczała amunicji w walce z komunistyczną propagandą, oskarżającą Zachód o porozumienie z „niemieckimi rewizjonistami". Z kolei Niemcy, dumni ze swej nowej, demokratycznej i tolerancyjnej tożsamości, a zarazem pragnący gorliwie odkupić (zatrzeć?) przeszłość, stanęli do walki z wszelkimi przejawami antysemityzmu, ksenofobii i nietolerancji – obecnymi zwłaszcza wśród odmawiających uznania swych domniemanych win Polaków.

Grzech zaniechania

We wspomnianej, wspólnej dla „wolnego świata" wizji genezy, przebiegu i uwarunkowań Holocaustu zabrakło polskiej opowieści, nad którą – jak nad całą Europą Wschodnią – zapadła po wojnie żelazna kurtyna komunizmu. Jeśli już komunistyczna Polska Ludowa pojawiała się jako przedmiot dyskusji o historii antysemityzmu, Zagłady i powojennych losach Żydów, to jako dyżurny szwarccharakter. Jako miejsce kieleckiego pogromu (najprawdopodobniej inspirowanego przez komunistów i ich bezpiekę) oraz państwowej antysemickiej nagonki z 1968 r. (zainicjowanej przez jedną z frakcji rządzącej partii komunistycznej) – legitymizowała zachodnią wizję „polskiego antysemityzmu".

Jednak nawet po bankructwie komunizmu, upadku Związku Sowieckiego i rozpadzie bloku wschodniego niepodległa Rzeczpospolita nie podjęła próby przedstawienia Europie i światu swej opowieści o niemieckiej okupacji i heroicznej pomocy udzielanej przez Polaków Żydom w najbardziej mrocznym okresie ich dziejów. Starcie o kształt pamięci zostało poddane bez walki. Oznaczało to – nie przebierając w słowach – iż zgodziliśmy się jako naród na haniebnie fałszujący przeszłość obraz roli odgrywanej przez naszych rodaków w obliczu Zagłady, rozpowszechniony na Zachodzie, w diasporze żydowskiej i Izraelu (dodatkowo wzmacniając go naszą postawą). Przyczyn tej rejterady było kilka: onieśmielające zauroczenie „nowoczesną" historiografią „wolnego świata", skutkujące entuzjastyczną aprobatą dla jej sądów i bezkrytyczną gotowością do rewizji własnych; surowa (i niesprawiedliwa) ocena wystawiana przez część polskich liberalno-lewicowych elit własnemu „zaściankowemu" i „nietolerancyjnemu" narodowi (niosąca gotowość do uznania „win przodków", a zarazem przynosząca temu środowisku tak pożądaną i leczącą własne kompleksy nobilitację wśród środowisk intelektualnych na Zachodzie); wreszcie – przekonanie, iż w Polsce, mającej dołączyć do nowoczesnego świata, hasłem stać się winno „Gospodarka, głupcze!", a spory historyczne to domena żyjących przeszłością prawicowych dogmatyków i ortodoksów. Zmiana – uznanie władz RP dla wagi polityki historycznej – nastąpiła zaledwie kilka lat temu. Nasza opowieść o Polakach jako Sprawiedliwych wśród Narodów Świata musi się jednak zmierzyć z blisko 70 latami nieobecności polskiego głosu. To jest i będzie trudna walka. Ale nie beznadziejna.

eprasa.pl 287b547067



PRZECIWKO STANOWI WOJENNEMU



GRZEGORZ MAJCHRZAK
Biuro Badań Historycznych IPN

OPÓR PRZECIWKO STANOWI WOJENNEMU BYŁ MNIEJSZY, NIŻ SIĘ SPODZIEWANO. NIE SPEŁNIŁ SIĘ ANI SCENARIUSZ Z LICZNYMI STRAJKAMI, ANI PRZEWIDYWANIE ULICZNYCH DEMONSTRACJI Z ATAKOWANIEM GMACHÓW PARTYJNYCH I RZĄDOWYCH ORAZ Z „BRATNIĄ POMOCĄ"

Tym, co długo powstrzymywało władze PRL przed wprowadzeniem stanu wojennego, były obawy przed oporem społecznym w takim przypadku. Dlatego po stronie władz od wiosny 1981 r. skoncentrowano się w jego przygotowaniu na działaniach osłabiających poparcie dla NSZZ „Solidarność" i służących zmęczeniu społeczeństwa. Także Związek czynił przygotowania na wypadek rozwiązania siłowego – zarówno wewnętrznego w postaci stanu wyjątkowego, jak i sowieckiej interwencji. I tak np. w marcu 1981 r. przygotowano instrukcje na temat sposobu postępowania w takiej sytuacji. Jak się jednak okazało kilka miesięcy później, nie był w stanie przygotować się do takiej sytuacji. A jego kierownictwo (Komisja Krajowa) paradoksalnie w momencie uruchomienia machiny stanu wojennego dyskutowało m.in. nad amnestią dla funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa.

W celu zmniejszenia skali oporu władze PRL zdecydowały się na internowanie przywódców związku – co ułatwiły wspomniane wcześniej gdańskie obrady Komisji Krajowej (KK) – oraz innych ugrupowań niezależnych, zarówno tych utworzonych po Sierpniu '80 (np. Niezależnego Zrzeszenia Studentów), jak i działających wcześniej (m.in. Konfederacji Polski Niepodległej). Tylko w pierwszym dniu stanu wojennego taki los spotkał blisko 3,2 tys. osób, w tym wielu liderów Solidarności (szefów regionów, członków KK, doradców związku). W gronie tych, którym udało się uniknąć internowania, znaleźli się m.in. czterej członkowie Prezydium KK (Andrzej Konarski, Mirosław Krupiński, Eugeniusz Szumiejko i Jan Waszkiewicz). Szczęśliwie udało im się przedostać na teren Portu Gdańskiego, gdzie wraz z innym członkiem KK Aleksandrem Przygodzińskim powołali (zgodnie zresztą ze statutem związku) Krajowy Komitet Strajkowy NSZZ „Solidarność". W praktyce działalność KKS ograniczyła się do Trójmiasta i trwała zaledwie trzy dni. Polegała ona na próbie koordynacji strajków i wydawaniu oświadczeń.

Najbardziej powszechną formą oporu w grudniu 1981 r. były strajki okupacyjne. Władze skoncentrowały się na ich likwidacji i odblokowaniu dużych zakładów pracy wpływających na nastroje w poszczególnych regionach. Z reguły najpierw do strajkujących udawali się przedstawiciele prokuratury, MO i WP w celu przedstawienia konsekwencji prawnych strajku. W wielu przypadkach ich groźby skłaniały ludzi do przerwania lub nawet niepodejmowania strajku (np. w Fabryce Amortyzatorów „Polmo" w Krośnie). Tam, gdzie argumenty słowne okazywały się nieskuteczne, przeprowadzano demonstracje siły oraz blokowano zakłady pracy. Towarzyszyły temu zmiękczające opór apele wystosowywane przy użyciu urządzeń nagłaśniających – w ich wyniku niektórzy strajkujący opuszczali zakłady pracy bez użycia siły (m.in. Stocznia Remontowa „Parnica" w Szczecinie czy Zakłady im. Świerczewskiego w Warszawie). Ostatnim sposobem było pacyfikowanie strajkujących zakładów pracy przy użyciu MO i WP (w tym czołgów i transporterów). Według danych MSW miało dojść do tego w 40 zakładach spośród 199 strajkujących w grudniu 1981 r., z kolei jak wynika z materiałów wojskowych – co najmniej w 62. Największe rozmiary miały akcje w takich zakładach jak: Huta im. Lenina, stocznie w Gdańsku i Szczecinie, Huta Warszawa, Ursus, WSK „Świdnik", kopalnie Wujek, Borynia i Staszic. Wyjątkowo tragiczny przebieg miała akcja w kopalni Wujek, gdzie interweniujący 16 grudnia funkcjonariusze ZOMO użyli broni, w wyniku czego zginęło dziewięciu górników, a kilkudziesięciu innych zostało rannych. Akcje pacyfikacyjne przeprowadzano zresztą nie tylko w zakładach pracy. Do podobnych działań dochodziło też na niektórych uczelniach. Siły użyto m.in. na uniwersytecie i politechnice we Wrocławiu czy w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie.

FOT. IPN

eprasa.pl 287b547067

KOLEBKA SOLIDARNOŚCI STRAJKUJE

DO ZAKŁADÓW, Z KTÓRYCH PACYFIKACJĄ PO 13 GRUDNIA 1981 r. WŁADZE PRL MIAŁY NAJWIĘKSZE PROBLEMY, NALEŻAŁA STOCZNIA GDAŃSKA IM. LENINA. NIE WYSTARCZYŁO KILKUKROTNE UŻYCIE SIŁY I ARESZTOWANIE PRZYWÓDCÓW PROTESTÓW, KONIECZNE OKAZAŁO SIĘ ZAMKNIĘCIE DO POCZĄTKU 1982 r.



GRZEGORZ MAJCHRZAK
Biuro Badań Historycznych IPN

Na wieść o wprowadzeniu stanu wojennego Stocznia Gdańska stanęła. Już w nocy z 13 na 14 grudnia na jej teren weszli funkcjonariusze ZOMO, którzy zatrzymali kilkanaście osób, głównie zgromadzonych przy bramie nr 2. Nie powstrzymało to jednak pracowników stoczni od rozpoczęcia (14 grudnia) kolejnego strajku okupacyjnego. Na jej terenie ukonstytuował się Regionalny Komitet Strajkowy, którego przewodniczącym został Stanisław Fudakowski, a także Zakładowy Komitet Strajkowy, na czele którego stanął Alojzy Szablewski. O 21.00 jezuita ks. Bronisław Sroka odprawił dla strajkujących (ok. 60 proc. załogi) mszę św. Około 1.00 w nocy na teren stoczni ponownie weszły oddziały ZOMO, wsparte przez pułk czołgów. W trakcie kilkugodzinnej akcji zatrzymano 51 osób, co było tym łatwiejsze, że protestujący przyjęli zasadę niestawiania oporu.

Akcja ta nie zakończyła się jednak pełnym sukcesem, gdyż nie udało się wyłapać wszystkich strajkujących, w tym przede wszystkim przywódców protestu. W efekcie protest kontynuowali ci, którzy zdołali się ukryć, a także osoby, które powróciły do stoczni z domów. Kierowali nim Bogdan Borusewicz oraz Anna Walentynowicz, której udało się szczęśliwie wrócić do Gdańska. Łącznie na noc w zakładzie pozostało co najmniej 400 osób, w tym 150 stoczniowców, 150 przedstawicieli innych zakładów pracy oraz 100 studentów z trójmiejskich uczelni, na których strajki zostały zakończone. Protestujący zablokowali platformami bramy wjazdowe, a mury obstawili czujkami. 15 grudnia rano (na ich zaproszenie) posługę pasterską wśród nich pełnił ks. Stanisław Bogdanowicz. Do kolejnej pacyfikacji niepokornej stoczni doszło 16 grudnia rano. Rozpoczęła się ona od rozbicia historycznej bramy nr 2. Część strajkujących wycofała się do pobliskiej Gdańskiej Stoczni Remontowej, inni rozbiegli się po halach. Przez dwie i pół godziny byli oni wyłapywani przez zomowców i wyprowadzani (łącznie ok. 3 tys. osób) ze stoczni. Aresztowano ok. 200 najaktywniejszych uczestników protestu, w tym praktycznie wszystkich przywódców strajku. Wśród zatrzymanych znaleźli się również wiceprzewodniczący Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność" i przewodniczący utworzonego 13 grudnia 1981 r. Krajowego Komitetu Strajkowego Mirosław Krupiński oraz członek Prezydium KK i KKS Jan Waszkiewicz. Akcja, w której oprócz czołgów wykorzystano helikoptery i komandosów, miała brutalny przebieg. „Milicja bije robotników, a z terenu stoczni wyjeżdżają karetki pogotowia" – pisano na bieżąco w jednej z ulotek.

Wywołała ona oburzenie mieszkańców Trójmiasta. 16 grudnia doszło do demonstracji i starć z milicją w okolicy dworca PKP i Błędnika – protestujących rozproszyły dopiero czołgi, których załogi strzelały ślepymi nabojami. Tymczasem teren stoczni zajęło wojsko – wjechało do niej i pozostało ok. 30 czołgów oraz transporterów opancerzonych – milicjanci. Ponadto zakład został (17 grudnia rano) zablokowany – utworzono dwa kordony (pierwszy przed bramą nr 2 wokół pomnika Poległych Stoczniowców, a drugi w rejonie placu przed bramą nr 2). Po to, by uniknąć kolejnych protestów, pracę stoczni wstrzymano na kilkanaście dni – najpierw do 28 grudnia, a następnie do 4 stycznia 1982 r. Przedłużenie jej zamknięcia uzasadniano rzekomą „koniecznością zabezpieczenia materiałów do produkcji i właściwego przygotowania frontu pracy". Prawdziwy powód był jednak inny – Służba Bezpieczeństwa dysponowała informacjami, że pozostający na wolności „ekstremalni działacze" związku zamierzali ponownie zorganizować w niej strajk, względnie zdecydować się na „prowadzenie pozorowanej pracy". A do tego ze względu na znaczenie Stoczni Gdańskiej nie zamierzano dopuścić.

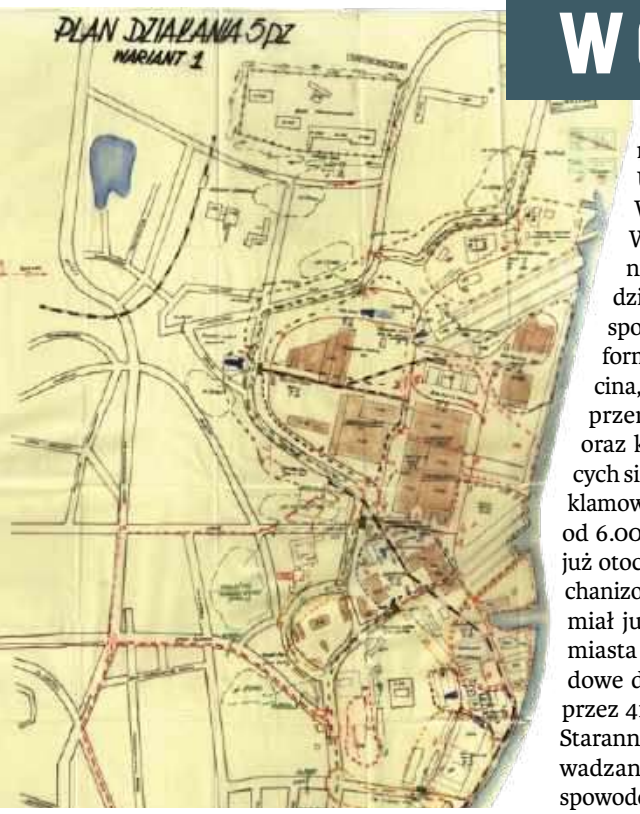


Strajk w Stoczni Gdańskiej im. Lenina w grudniu 1981 r.

FOT. IPN

prasa.pl 287b547067

SPACYFIKOWANY SZCZECIN W GRUDNIU 1981 r.





SEBASTIAN LIGARSKI
Biuro Badań Historycznych IPN w Szczecinie

W SZCZECINIE GŁÓWNY CIĘŻAR PROWADZENIA WOJNY Z WŁASNYM NARODEM SPADŁ NA 12. DYWIZJĘ ZMECHANIZOWANĄ DOWODZONĄ PRZEZ PŁK. HENRYKA SZUMSKIEGO

Głównym punktem oporu przeciwko władzy miała być Stocznia im. Adolfa Warskiego w Szczecinie, w której już od 3 grudnia 1981 r. trwało pogotowie strajkowe. W nocy 13 grudnia 1981 r. na terenie stoczni znaleźli się niektórzy członkowie zarządu regionu, jak choćby Mieczysław Ustasiak, Krzysztof Jagielski, Wojciech Duklanowski, Ewaryst Waligórski, oraz doradcy związku, np. Andrzej Milczanowski i kilkadziesiąt innych osób, które w różny sposób dostały się do zakładu. Po informacjach napływających ze Szczecina, głównie dotyczących zatrzymań, przerwania łączności telefonicznej oraz kolumn wojska przemieszczających się po ulicach, postanowili oni proklamować strajk generalny od 14 grudnia, od 6.00. W tym czasie stocznia została już otoczona przez czołgi 5. Pułku Zmechanizowanego 12 DZ. Notabene ten pułk miał już na swoim koncie pacyfikację miasta w grudniu 1970 r. Drogi dojazdowe do stoczni zablokowane zostały przez 41. Pułk Zmechanizowany 12 DZ. Starannie zaplanowana i przeprowadzana akcja internowań spowodowała, że w drodze z posiedzenia Komisji Krajowej w Gdańsku w okolicach Stargardu zatrzymano Mariana Jurczyka, przewodniczącego ZR Pomorze Zachodnie i członka KK. Według Marty Marcinkiewicz do 16 grudnia internowano z województwa szczecińskiego 74 osoby.



Plan realizacji zadań specjalnych przez jednostki 12. DZ

W Szczecinie oprócz Stoczni Warskiego strajki podjęło jeszcze 14 innych zakładów pracy. Były to m.in.: Famabud, Selfa, Polmozbyt, Stocznia Remontowa „Gryfia" czy „Parnica". Zgodnie z planami wprowadzenia stanu wojennego i przewidywanym rozwojem sytuacji w postaci strajków okupacyjnych decyzje o ich pacyfikacji zapadały szybko. Władze nie zamierzały doprowadzić do rozlewania się protestów w regionie. Ukształtowany już 13 grudnia 1981 r. Międzyzakładowy Komitet Strajkowy w Stoczni im. Warskiego, na którego czele stanął Ustasiak wraz z Milczanowskim, wysunął dwa postulaty: uwolnienia wszystkich aresztowanych oraz odwołania stanu wojennego. Wojsko i milicja nie zamierzały jednak tolerować tego protestu. Decyzję o jego stłumieniu siłą podjął płk H. Szumski. Kilka minut po północy akcję rozpoczęły milicyjne polewaczki, które przy 17-stopniowym mrozie zaczęły ludzi traktować wodą. Następnie stojący naprzeciw bramy głównej czołg ruszył w jej kierunku. Rozbił bramę, a cofając się, uszkodził płytę postawioną dla uczczenia zbrodni z Grudnia 1970 r., której odsłonięcie planowano na 17 grudnia 1981 r. Równocześnie inny czołg rozbił bramę od ul. Dubois. W obu przypadkach na teren stoczni weszły kompanie ZOMO, które bardzo szybko znalazły się pod stoczniową świetlicą, gdzie siedzibę miał MKS. Po rozbiciu drzwi zomowcy wtargnęli do środka i szybko weszli na górę. Emocje po obu stronach były bardzo duże. Jeden kamień, jeden nerwowy ruch mógł doprowadzić do tragedii. Członków MKS wywieziono ze stoczni i umieszczono w KW MO, niektórym, jak Ryszardowi Wyżdze, udało się uciec. Strajk jednak trwał, stocznię zatem rozwiązano, a po jej ponownym uruchomieniu 4 stycznia 1982 r. i weryfikacji pracowników zwolniono 1015 osób.

Idąc za ciosem, władze postanowiły następnego dnia, tj. 16 grudnia 1981, spacyfikować strajkujących w Szczecińskiej Stoczni Remontowej „Gryfia". Ponad 600 zomowców oraz pięć barek desantowych ok. 14.00 przystąpiło do „odblokowania" tego zakładu pracy. Po wejściu na jego teren szybko udało się spacyfikować strajkujących, których następnie drogą wodną wywieziono ze stoczni. Potem przywódcy strajku z Józefem Kalembą na czele zostali aresztowani. W podobny sposób, bez rozlewu krwi, spacyfikowano w Szczecinie: Famabud, Polmozbyt czy Predom-Selfę. Operacja wprowadzania stanu wojennego została zakończona. Niestety z powodzeniem.

FOT. IPN

eprasa.pl 287b547067



W GRUDNIU 1981 r. SZCZEGÓLNIE TWARDY OPÓR WOBEC WPROWADZANEGO PRZEZ KOMUNISTÓW STANU WOJENNEGO STAWIŁY ZAŁOGI GÓRNICZE

GÓRNICZY SPRZECIW



JAROSŁAW NEJA
Biuro Badań Historycznych IPN w Katowicach

W Polsce działało 66 kopalń węgla kamiennego, kilka kolejnych znajdowało się w budowie. Większość czynnych zakładów – 62 – zlokalizowana była na Górnym Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim, w granicach ówczesnego województwa katowickiego.

Latem 1980 r. tamtejsze załogi górnicze zmusiły komunistów do zawarcia jednego z czterech kluczowych porozumień społecznych – porozumienia jastrzębskiego, a w następnych miesiącach zorganizowały silne komisje zakładowe i ponadzakładowe Solidarności. Ich działacze współtworzyli także ogólnopolską strukturę branżową w ramach związku – Krajową Komisję Koordynacyjną Sekcji Górnictwa. Zasiadali też we władzach regionalnych i krajowych Solidarności.

W grudniu 1981 r. w górnośląskich kopalniach doszło do ponad 20 protestów i prób ich organizacji. Strajkowały także trzy z czterech kopalń dolnośląskich: Thorez, Wałbrzych i Nowa Ruda, zlokalizowane na terenie ówczesnego województwa wałbrzyskiego. Pierwsze protesty rozpoczęły się jeszcze w niedzielę 13 grudnia. Następnego dnia stało już kilkanaście kopalń. Strajkowali m.in. delegowani tam do rozmaitych specjalistycznych zadań pracownicy Przedsiębiorstw Robót Górniczych. Opór stawiali też pracownicy innych zakładów należących do przemysłu węglowego, m.in. tarnogórskiej Fabryki Zmechanizowanych Obudów Ścianowych „Fazos" czy Bytomskich Zakładów Naprawczych Przemysłu Węglowego. Jak na jedną branżę skala protestów była więc znaczna. Andrzej Paczkowski postawił tezę, że gdyby takie proporcje jak w górnictwie węgla kamiennego „utrzymały się w całym przemyśle i w innych sektorach gospodarki, w administracji i instytucjach akademickich czy naukowych, można byłoby mówić o potężnym strajku powszechnym w skali ogólnokrajowej". Protestujący domagali się przede wszystkim uwolnienia zatrzymanych (internowanych) działaczy związkowych, zniesienia stanu wojennego, przestrzegania zapisów porozumienia jastrzębskiego, przywrócenia działalności zawieszonej Solidarności.

Władze zdawały sobie sprawę z politycznych i prestiżowych konsekwencji strajków górniczych, ale też ich skutków gospodarczych. Wstrzymanie wydobycia węgla mogło m.in. odbić się na opartej na tym surowcu energetyce. Stąd 14 grudnia 1981 r. do wszystkich kopalń i zakładów przemysłu węglowego rozesłana została odezwa ministra górnictwa i energetyki, członka WRON, gen. dyw. Czesława Piotrowskiego. Ostrzegał w niej, że szczególnie ostro będą potraktowani organizatorzy akcji strajkowych, ale jednocześnie ci protestujący, którzy w ciągu dwóch godzin od ogłoszenia apelu powrócą do pracy, nie poniosą konsekwencji. Odezwa niewiele zmieniła. Strajki trwały. Władze przystąpiły więc do złamania oporu siłą. Akcje te eskalowały zwłaszcza w dwóch kolejnych dniach. 15 grudnia przeprowadzona została brutalna pacyfikacja katowickiej kopalni Staszic oraz protestów załóg kopalń w Rybnickim Okręgu Węglowym. W Manifeście Lipcowym w Jastrzębiu-Zdroju pluton specjalny ZOMO użył ostrej amunicji, wskutek czego czterech górników zostało rannych. 16 grudnia przeprowadzono pacyfikację katowickiej kopalni Wujek. Funkcjonariusze plutonu po raz kolejny użyli broni palnej, co rozstrzygnęło o przebiegu wydarzeń w kopalni. Od kul na miejscu zginęło sześciu górników, trzech kolejnych zmarło w wyniku odniesionych postrzałów.

W kilku kopalniach strajkowano pod ziemią (m.in. w tyskim Piaście i Ziemowicie, pszowskiej Annie, kopalni Brzeszcze w Brzeszczach). W sposób zasadniczy ograniczało to możliwość ewentualnego użycia przeciw górnikom sił porządkowych. Pracownicy Ziemowita wyjechali na powierzchnię dopiero 24 grudnia. Ich koledzy z sąsiedniego Piasta, jako najdłużej strajkująca załoga w kraju, zakończyli swój protest dopiero wieczorem 28 grudnia 1981 r. Podobnie jak pozostali uczestnicy górniczych strajków dali oni świadectwo solidarności ze wszystkimi represjonowanymi i sprzeciwu wobec bezprawia stanu wojennego.

FOT. ŚLĄSKIE CENTRUM WOLNOŚCI I SOLIDARNOŚCI

eprasa.pl 287b547067

40. rocznica STANU WOJENNEGO

O WPROWADZENIU STANU WOJENNEGO GÓRNICY Z KOPALNI WUJEK DOWIEDZIELI SIĘ W NOCY Z 12 NA 13 GRUDNIA. OKOŁO 23.30 INTERNOWANO JANA LUDWICZAKA, PRZEWODNICZĄCEGO KOMISJI ZAKŁADOWEJ NSZZ „SOLIDARNOŚĆ" KWK „WUJEK"



NAJKRWAWSZY STRAJK STANU WOJENNEGO



ROBERT CIUPA
dyrektor Śląskiego Centrum Wolności i Solidarności

Przed aresztowaniem zdołał zaalarmować swoich kolegów o stojących przed jego drzwiami milicjantach za pomocą wewnątrzkopalnianej linii telefonicznej. Funkcjonariusze rozbili drzwi do mieszkania Ludwiczaka, a przybyłych mu z pomocą kolegów dotkliwie pobili. Przewodniczącego wyprowadzono z domu w kajdankach, a następnie przewieziono do aresztu Komendy Miejskiej MO w Katowicach. O godz. 1.00 informacje na temat aresztowania Ludwiczaka docierają na kopalnię, górnicy przerywają pracę i zbierają się w łaźni łańcuszkowej. Po godz. 6.00 przez radiowęzeł kopalniany zostało odtworzone przemówienie radiowe Wojciecha Jaruzelskiego o wprowadzeniu stanu wojennego i zmilitaryzowaniu kopalni.

Modlitwa przed burzą

Wzburzenie załogi ostudził dopiero przybyły na teren kopalni ks. Henryk Bolczyk, proboszcz parafii św. Michała Archanioła. Odprawił mszę św., po której górnicy postanowili zawiesić protest do czasu przybycia porannej zmiany. 14 grudnia w łaźni łańcuszkowej zebrała się większość załogi kopalni. Po burzliwej dyskusji przeprowadzono głosowanie, w którym załoga podjęła decyzję o kontynuowaniu strajku do czasu, kiedy na kopalnię nie przybędzie Jan Ludwiczak.

FOT. ŚLĄSKIE CENTRUM WOLNOŚCI I SOLIDARNOŚCI

eprasa.pl 287b547067

Rozmowy prowadzone z dyrekcją kopalni nie przynosiły skutku, uzyskano jedynie od komisarza wojskowego obietnicę przekazania górnikom informacji o miejscu pobytu przewodniczącego. W zamian żądano natychmiastowego zakończenia strajku i wznowienia pracy w kopalni. Brak porozumienia zradykalizował postawę załogi, która wysunęła kolejne postulaty, dotyczące m.in. zniesienia stanu wojennego, uwolnienia wszystkich internowanych oraz przestrzegania porozumień zawartych we wrześniu 1980 r. w Jastrzębiu-Zdroju. Informacja o strajku na terenie kopalni szybko rozniosła się po okolicznym osiedlu i całym mieście. Z górnikami solidaryzowali się mieszkańcy Katowic, dostarczając do kopalni jedzenie, ciepłe ubrania, gorące napoje oraz papierosy. 15 grudnia do kopalni trafiły informacje o pacyfikacjach w kolejnych zakładach pracy na terenie Śląska, w tym strzałach w kopalni Manifest Lipcowy. Rozpoczęły się przygotowania do obrony. Budowano barykady z załadowanych węglarek, szykowano uzbrojenie z kawałków płaskowników, prętów i kabli. W godzinach wieczornych ks. Bolczyk odprawił na terenie zakładu nabożeństwo różańcowe, które zostało przerwane fałszywym alarmem. Wśród górników narastały niepokój i obawa przed atakiem. Po powrocie do łaźni na prośbę górników ks. Henryk Bolczyk udzielił strajkującym absolucji generalnej. W nocy przed pacyfikacją pojawiały się fałszywe alarmy i pogłoski, które podtrzymywały wśród górników atmosferę nerwowości i napięcia. Komendant Wojewódzki MO w Katowicach Jerzy Gruba ze swoim sztabem przygotowywał plan pacyfikacji Wujka. Władze do pacyfikacji kopalni skierowały 1471 funkcjonariuszy oraz 760 żołnierzy, którzy dysponowali 22 czołgami oraz 44 wozami bojowymi piechoty. 16 grudnia ok. 9.00 odbyły się ostatnie rozmowy przedstawicieli władzy z górnikami. Ci pierwsi usiłowali przekonać strajkujących do natychmiastowego zakończenia strajku i opuszczenia kopalni, z tłumu padały natomiast żądania uwolnienia Jana Ludwiczaka oraz deklaracje, że „jeśli wejdzie wojsko, to załoga opuści kopalnię".

Brutalna pacyfikacja

Uderzenie na kopalnię nastąpiło parę minut przed 11.00. Poprzedzono je użyciem armatek wodnych i wyrzutni gazu wobec tłumu zgromadzonego przed kopalnią oraz górników stojących przy ogrodzeniu zakładu. Kobiety próbowały zatarasować drogę wozom pancernym, młodzi chłopcy w ich obronie zaczęli rzucać kamieniami, co przerodziło się w regularną bitwę między blokami. Wkroczenie sił milicyjno-wojskowych na teren kopalni odbywało się z dwóch kierunków: od strony bramy kolejowej oraz ul. Wincentego Pola. Fragmenty ogrodzenia i muru otaczające kopalnię na tych odcinkach zostały staranowane przez czołgi. Przez utworzony wyłom do zakładu wkroczyły oddziały milicyjne, pod osłoną trzech czołgów oraz kilku bojowych wozów piechoty. Rozpoczęto ostrzał górników z wyrzutni gazu, jednak zmiana kierunku wiatru spowodowała zamieszanie, ale... w szeregach milicyjnych. Dodatkowo jeden z czołgów, najechawszy na barykadę, został unieruchomiony. Oddziały MO zaczęły się wycofywać pod naporem górników, pozostawiając trzech funkcjonariuszy, którzy zostali przez górników rozbrojeni. Główne uderzenie nastąpiło od ul. Wincentego Pola, naprzeciw kotłowni. W wyłomach wykonanych przez czołgi pojawili się milicjanci uzbrojeni w długie pałki, kaski z przyłbicami, okulary ochronne, maski gazowe, a część w plastikowe tarcze. Oddziały natrafiły na silny opór górników, którzy obrzucali atakujących nakrętkami i cegłami. Między walczącymi nie doszło jednak do bezpośredniego starcia, obie grupy trzymały się na odległość 20–30 m. Plastikowe tarcze milicjantów uderzane z takiej odległości metalowym uzbrojeniem pękały w kilkustopniowym mrozie. Kierujący akcją płk Kazimierz Wilczyński, widząc wycofujące się oddziały milicji, zdecydował o wykonaniu drugiego wyłomu przez metalowy płot, za budynkiem wagi. Pod osłoną czołgu miał w tym miejscu wkroczyć pluton specjalny ZOMO, który jednak dostał się na teren zakładu poprzez pobliski płot. Oddział odróżniał się żółto-zielonymi kaskami bez przyłbic oraz brakiem tarcz. Funkcjonariusze uzbrojeni w pistolety maszynowe PM-63 z ostrą amunicją zajęli stanowiska przy bramie głównej i na rampie przed magazynem odzieżowym. Około 12.30 otworzyli ogień do górników, którzy byli od nich w odległości ok. 20 m i nie stwarzali dla funkcjonariuszy bezpośredniego zagrożenia. Pluton specjalny strzelał krótkimi seriami przez ok. 30 min. W wyniku użycia broni palnej na miejscu zabito sześciu górników, a trzech kolejnych zmarło w szpitalach. Rannych zostało 23 górników, u kolejnych 14 stwierdzono zatrucie gazem lub chemiczne uszkodzenia wzroku. Rannych górników koledzy przenosili do przyszybowego punktu medycznego, gdzie dyżurujący lekarze po udzieleniu pierwszej pomocy wzywali karetki pogotowia. Dotarcie na miejsce tragedii ambulansom utrudniały oddziały milicyjne. Zatrzymane karetki poddawano szczegółowej kontroli, nierzadko używając siły wobec personelu medycznego oraz poszkodowanych. Około 13.00 obie strony wycofały się na swoje pozycje. Kontynuowanie protestu wobec strzelających ostrą amunicją milicjantów nie miało sensu. Po rozmowach z dyrekcją kopalni protestujący podjęli więc decyzję o zakończeniu strajku. Późnym wieczorem zarówno górnicy, jak i oddziały milicyjne opuścili teren kopalni.

Niechciany krzyż

Przy murze kopalni, w miejscu, gdzie czołg dokonał wyłomu, wieczorem ustawiono krzyż z górniczymi lampkami na ramionach, symbolizującymi zabitych. Krzyż, symbol pamięci o ofiarach pacyfikacji, stał się solą w oku władz komunistycznych, dlatego w nocy z 27 na 28 stycznia 1982 r. został zniszczony przez „nieznanych sprawców". Komisarz wojskowy kopalni Wujek wobec stanowczych żądań górników i groźby ponownego strajku nakazał wykonanie nowego krzyża, który w tym miejscu znajdował się do momentu wybudowania pomnika w 1991 r. Krzyż pod kopalnią stał się symbolem oporu wobec stanu wojennego i władz PRL. Co roku 16 grudnia mieszkańcy Śląska oraz delegacje z całej Polski – mimo szykan i represji ze strony SB – składały wieńce i kwiaty w hołdzie pomordowanym górnikom. Proces przeciwko kierującym strajkiem rozpoczął się 3 lutego 1982 r. Wyroki w tej sprawie zapadły już po sześciu dniach, m.in. Stanisław Płatek został skazany na cztery lata pozbawienia wolności. Nikt wtedy nie myślał o pociągnięciu do odpowiedzialności mocodawców oraz sprawców zabójstwa. Rodziny zamordowanych górników musiały wiele lat czekać na osądzenie członków plutonu specjalnego. Odpowiedzialności karnej za śmierć górników nie ponieśli Wojciech Jaruzelski i Czesław Kiszczak.

eprasa.pl 287b547067

STRAJK!

ARCHIWUM IPN
SEKCJA OPRACOWYWANIA DOKUMENTACJI AUDIOWIZUALNEJ



RADOSŁAW POBOŻY

W Archiwum IPN zachowały się dwa filmy ze strajku w Hucie Katowice w okresie stanu wojennego. Pierwszy to operacyjne wideo z przelotu śmigłowca MO nad terenem huty – w tle głos operatora kamery Zakładu Kryminalistyki Komendy Głównej MO wskazuje na przejezdność dróg wjazdowych i wewnętrznych. Drugi to film propagandowy MSW pt. „O nasz spokojny dom", w którym robotnicy huty pokazani zostali jako wrogowie Polski Ludowej.

Strajk w Hucie Katowice rozpoczął się 13 grudnia i był jednym z najdłużej trwających protestów w okresie stanu wojennego. Władysław Rosicki, przewodniczący Komisji Wydziałowej NSZZ „Solidarność", zeznał: „W dniu 13 grudnia byłem w domu. Miałem wolne. Z radia dowiedziałem się o ogłoszeniu stanu wojennego. Radia słuchałem o 8.00. Już wcześniej, gdy mowa była o nadzwyczajnych pełnomocnictwach dla rządu, Komisja Zakładowa Huty Katowice postanowiła, że w wypadku ogłoszenia takich pełnomocnictw ogłoszony zostanie strajk [...]. Jadąc do huty, wiedziałem o tym, że mam stanąć na czele Komitetu Strajkowego. Chciałem zorientować się w sytuacji. Jak przyjechałem około 12.00, strajk był już ogłoszony". Sama huta pracowała jeszcze przez całą niedzielę, aż do poniedziałku.

W międzyczasie komitet strajkowy wystosował pismo do dyrektora naczelnego Huty Katowice dr. Stanisława Bednarczyka z informacją: „W związku z wprowadzeniem stanu wojennego przedstawiciele Komitetów Strajkowych Wydziałów podjęli następującą uchwałę. Żądamy natychmiastowego uwolnienia wszystkich działaczy Związku NSZZ »Solidarność« oraz przywrócenia łączności. W wypadku niespełnienia wyżej wymienionych żądań Komitet Strajkowy podejmie decyzję o całkowitym wstrzymaniu produkcji".

Natychmiast przygotowano biuletyn strajkowy „Wolnego Związkowca" oraz odezwę do stacjonujących pod bramą żołnierzy: „Żołnierze! Odzywamy się do was my, robotnicy Huty Katowice. Zanim zaczniecie wykonywać rozkazy swych dowódców, zastanówcie się, kto i po co wysyła was przeciwko robotnikom. Jesteśmy bezbronni i nie mamy zamiaru przelewać niczyjej krwi. Wśród nas są wasi bracia, ojcowie. Czy wobec nich też użyjecie przemocy? Każdy z was kiedyś wróci do domu. Czy macie pewność, że nie zabijecie swych bliskich, znajomych, przyjaciół, a w końcu wam obcych, lecz niczemu niewinnych ludzi? Nie my wprowadziliśmy stan wojenny, lecz ludzie niemający innych szans utrzymania się przy władzy. [...] Ostatnią podłością, jaką mógł uczynić rząd, było użycie was jako narzędzia przemocy w walce z robotnikami. Nie walczcie przeciwko nam, bądźcie z nami".

14 grudnia ok. 16.10 dochodzi do pierwszego przełamania bram zakładu przez połączone jednostki MO, ZOMO i wojska. Aresztowano 12 osób. Głównie tych, które posłuchały wezwań o zaprzestanie strajku. Brutalna akcja służb porządkowych nie przynosi zamierzonych rezultatów. Huta nadal strajkuje! Do strajkujących hutników przyłączają się kolejne osoby z okolicznych zakładów współpracujących z Hutą Katowice. Zaczyna nadawać nielegalna radiostacja utrzymująca łączność z konsulatem amerykańskim w Krakowie. Bramy zostały ponownie zabarykadowane cysternami i dźwigami. Na halach produkcyjnych porozlewano olej w celu utrudnienia poruszania się funkcjonariuszom. Pracownicy przygotowali prowizoryczną broń, m.in. pociski zrobione z opiłków, siekiery, łopaty, wyrzutnie pocisków.

16 grudnia dochodzi do tragedii w Kopalni Węgla Kamiennego „Wujek", co powoduje zaostrzenie protestu w Hucie Katowice. Jednak narasta też zmęczenie strajkiem, szczególnie wśród rodzin, które na wiele dni zostały rozdzielone.

23 grudnia po nieudanych negocjacjach z protestującymi władze postanawiają użyć siły. Śmigłowce pozorują desant na teren huty, a w tym czasie połączone jednostki MO i LWP wdzierają się do zakładu.



Kadry z filmu propagandowego MSW pt. „O nasz spokojny dom", przedstawiającego akcję MO i SB dotyczącą odblokowania Huty Katowice w 1981 r.

FOT. ARCHIWUM IPN

eprasa.pl 237b547067

W służbie Niepodległej

Autorami fragmentów wybranych monografii, które ukazały się dotąd w serii „W służbie Niepodległej”, wydawanej przez Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego (do 2015 r. przy współpracy z wydawnictwem LTW), są historycy – absolwenci uczelni oraz doktorzy, który obronili na niej swoje dysertacje. Promotorami tych prac byli z kolei pracownicy naukowi UKSW, profesorowie, którzy po obronie wraz ze swoimi uczniami przygotowywali je do druku. Powstała seria, w której ukazało się do dziś ponad 20 książek. Kolejne czekają na wydanie...

Prof. Jan Żaryn, pomysłodawca serii



FOT. ANDRZEJ WIKTOR, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 287b547067

BADANIA NAD RODOWODEM I TOŻSAMOŚCIĄ NARODOWĄ FRYDERYKA NIETZSCHEGO



DYSKUSJA NAD POCHODZENIEM I TOŻSAMOŚCIĄ NARODOWĄ FRYDERYKA NIETZSCHEGO TOCZY SIĘ JUŻ OD PONAD STU LAT



MIŁOSZ SOSNOWSKI

W dotychczasowej dyskusji dominuje tendencja do rozumienia i interpretowania „propolskich" wypowiedzi filozofa jako przejawu odrzucenia niemieckości, motywowanego przede wszystkim emocjonalnie. Najprościej badaczom jest przyjąć, że robił to w akcie swoistej „zemsty" za nieczytanie i nierozumienie jego dzieł, za doświadczoną niechęć i brak uznania ze strony niemieckiego odbiorcy. Dla autorów niemieckich „polskość" Nietzschego jest traktowana także jako artystyczna ekstrawagancja, następstwo choroby czy prowokacja intelektualna, a wszystko to w związku z odreagowaniem rzeczywistego niedoceniania i twórczości, i osoby.

Skąd tożsamość polska?

Moim zdaniem wybór tożsamości polskiej jako zamierzonego elementu nietzscheańskiej kampanii antyniemieckiej to niezbyt trafiona interpretacja. Sformułowana została ona przez niektórych badaczy kilkadziesiąt lat po śmierci filozofa. [...]

Kolejnym ważnym wątkiem w dyskusji jest zarzut, jakoby źródłem Nietzscheańskiej „polonofilii" było stworzenie sobie przez filozofa bajki o polskich, szlacheckich przodkach z powodów snobistycznych i z chęci odróżnienia się od środowiska niemieckiego. Bardziej subtelni badacze, zorientowawszy się, że filozof sam tych historii nie wymyślił, a znał je z przekazów rodzinnych, położyli to na karb, słowami Müllera – „opowiastek starych panien" (faktycznie obie siostry ojca Nietzschego, czyli jego ciotki, były bezżenne). Nikt jednak nie silił się na odpowiedź, dlaczego te kobiety wymyśliły sobie taką akurat legendę pochodzenia, a nie francuską, skandynawską, holenderską czy inną, znacznie bardziej w tamtym okresie prestiżową. Poprzestano na dość ogólnym, hipotetycznym twierdzeniu o wpływie fascynacji polskimi zrywami wolnościowymi. Owszem, w Niemczech odbijały się dość żywym echem polskie walki z lat 1813, 1830–1831, 1848, 1863, budząc sympatię kręgów mieszczańsko-liberalnych. Niewątpliwie walka z absolutyzmem wydawać się mogła szlachetna i romantyczna. Ale rodzina pastorów Nietzsche reprezentowała jednak wtedy, jak

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl 287b547067

się wydaje, kręgi prowincjonalno-konserwatywne, lojalnie nastawione do władz, którym zresztą wiele zawdzięczała. Czy mogłoby zatem w takich zwykłych, prostych Niemcach z głębokiej prowincji wzbudzać zachwyt strzelanie przez Polaków także do żołnierzy pruskich w czasie niemal wszystkich z tych wymienionych zrywów? I czy z tego wątpliwego zachwytu mógł powstać w tak lojalistycznej rodzinie taki mit i kult przodków? Nie wydaje się to wiarygodnym wyjaśnieniem powodów, dla których ciotki filozofa miałyby stworzyć legendę o dumnej polskości i pieczołowicie przekazywać ją z pokolenia na pokolenie. Notabene ciotki te były zbyt młode, aby same mogły stworzyć taką legendę. Ponieważ dotyczy ona wydarzeń z czasów około 100 lat przed ich urodzeniem, to z pewnością musiały ją od kogoś z rodziny usłyszeć. W samej legendzie o pochodzeniu rodziny Nietzsche nie ma nic, co byłoby przez fakty historyczne wykluczane. Co oczywiście nie przesądza o jej prawdziwości.

Badacze polscy...

Żadnych wątpliwości co do tego nie miał z pewnością Bernard Szarlitt. Postaci tej należy przypisać pierwszeństwo w poważniejszym badaniu rozważanego tu zagadnienia oraz jego popularyzację w Polsce. Jego zaangażowanie w tej kwestii może wydawać się zdumiewające, aczkolwiek tylko do momentu, gdy wyświetli się jego motywacje. Co zatem mogło kierować Szarlittem – młodym studentem z Polski? Sam określa on to, w swoich tekstach, jako ciekawość oraz chęć przywrócenia Nietzschego polskiej kulturze. Swoje badania rozpoczął on w roku 1900, a zwieńczył artykułem „Über Nietzsches Polentum" w 1906 roku. Warto uświadomić sobie, że wtedy dzisiejszy Filozof był tak naprawdę tylko początkującym filozofem, i to jednym z wielu. Ogromna popularność i przemożny wpływ na kulturę europejską miały być dopiero melodią przyszłości. Czyżby Szarlitt, przewidziawszy to, ułożył błyskotliwą mistyfikację, aby dla Polski ukraść Fryderyka Nietzschego narodowi niemieckiemu?

...i niemieccy

Motywacje drugiej strony, czyli badaczy niemieckojęzycznych, wydają się być jednak jeszcze silniejsze. Stwierdzenia Fryderyka Nietzschego oraz jego wczesnych biografów na temat pochodzenia i „odczuwanej" narodowości wprawiły część Niemców w pewien kłopot. Tym większy, że od pierwszych dekad XX w. zaczęła narastać popularność filozofa. Dla wielu z nich wraz z równoczesną eskalacją, szczególnie po 1918 r., konfliktu polsko-niemieckiego był to duży problem. Zresztą zrozumiały, bo ambicjonalny, kulturowy czy traktowany wręcz w wymiarze patriotycznym. Moim zdaniem osoby, które w latach 20. i 30. XX w. zajęły się w Niemczech badaniami genealogicznymi, mogły mieć uprzednio nakreślony cel. Na przykład: przypisać Nietzschego jednoznacznie Niemcom raz na zawsze, zgodnie ze specyficznie rozumianą „racją stanu". Dlatego oprócz oczywistych pomyłek, naciągania faktów, chodziło po prostu o wyszukiwanie danych i argumentów przystających do z góry założonych tez.

Ale, aby to wyświetlić dokładniej, niezbędne jest bliższe przedstawienie kilku z tych badaczy. Począwszy od samego owego interesującego kuzyna Nietzschego – Maxa Oehlera. Otóż był on Prusakiem, majorem wojska, a do tego kombatantem walk z Rosjanami i Polakami (brał nawet udział w słynnej bitwie pod Tannenbergiem). Po klęsce Niemiec w I wojnie światowej, nie mogąc przeboleć „wersalskiego upokorzenia", stał się fanatycznym nazistą. Jako zawodowy historyk był autorem gloryfikujących zakon krzyżacki książek o jego dawnych, krwawych zmaganiach z Królestwem Polskim. W powyższym kontekście przytaczane wcześniej padające w tekście Oehlera podejrzenia w stosunku do Polaków, zakładające, że dokument na temat polskiego szlachectwa przodków był i wyimaginowany, i sfałszowany, zaś wyłudzone pieniądze jak najbardziej realne, i do tego grube, nie powinny dziwić. Z pewnością nie można zarzucić tej hipotezie jakiejś niekonsekwencji z życiorysem ich autora.

Kolejny autor, Richard Blunck, przed publikacją na temat Nietzschego wydał w okresie II wojny w prestiżowym wydawnictwie biografię Hugo Junkersa – ojca znanego koncernu lotniczego. Z kolei Otto Kredel był zawodowym nacjonalistycznym propagandzistą, również o mocno wykrystalizowanych zainteresowaniach historycznych.


Elisabeth Nietzsche

Siostra Nietzschego

Powyższemu schematowi myślenia i działania nie poddała się jednak pewna istotna dla sprawy postać. Dlatego tak ważnym wątkiem jest rola, jaką odegrała w całej tej sprawie siostra myśliciela – Elisabeth. Zarzucano jej, że manipulowała datami oraz była zaciekłą obrończynią „polskości" brata i całej swojej rodziny, w ten sposób próbując uczynić ją główną odpowiedzialną za krzewienie zmyślonej legendy. Sama Elisabeth oczywiście nie znała nigdy dokładnej daty przybycia polskiego przodka do Niemiec, a jedynie przybliżoną, gdyż słyszała o tym od ciotek. Te z kolei prawdopodobnie poznały opowieść od kogoś z rodziny. Warto przypomnieć, na przykładzie cytowanej już jej przeróbki w „Ecce Homo", iż Elisabeth nie koloryzuje wypowiedzi Nietzschego na temat polskości. Wręcz ją tonuje, wycinając przy tym z oryginalnego projektu książki fragment stawiający ją samą w niekorzystnym świetle. Ma to miejsce jeszcze przed rokiem 1908 (data pierwszego wydania „Ecce Homo" w Niemczech).

Wspomina ona w pewnym momencie, à propos pewnej znaczącej poszlaki, iż brała pod uwagę mistyfikację. Chodzi o słynne dokumenty, traktujące o pochodzeniu rodziny, które potem, w trakcie przeprowadzki chorego już jej brata, zaginęły. Ponieważ jednak powstały one w latach 80. XIX w., to nasuwa się z nieubłaganą logiką pytanie – po cóż ktoś miałby to robić? Czyli dostarczać z ziem polskich do Włoch, dla niemieckiego pisarza filozofa, zupełnie nieznanego wtedy nikomu, i do tego ubogiego, sfałszowane dokumenty w języku francuskim? Po co?

Trudno w ogóle posądzić Elisabeth o jakąś fanatyczną „propolskość". Znany jest przecież fakt, iż potem staje się gorącą zwolenniczką narodowego socjalizmu. Dostępuje nawet takiego zaszczytu, że w jej pogrzebie uczestniczy sam Adolf Hitler, któremu wcześniej podarowała osobistą szpadę brata. Elisabeth nigdy jednak nie odwołała swoich twierdzeń o polskich przodkach rodziny Nietzsche...

eprasa.pl 287b547067

II WOJNA ŚWIATOWA, JAK I ZMIANA GRANIC PAŃSTWA DOPROWADZIŁY DO POWAŻNYCH PRZEOBRAŻEŃ LUDNOŚCIOWYCH, WSKUTEK CZEGO POLSKA STAŁA SIĘ KRAJEM NIEMAL JEDNORODNYM WYZNANIOWO



Wizyta prymasa Polski kard. Stefana Wyszyńskiego w przedszkolu, ok. 1960 r.

PRZEDSZKOLA POLSKI „LUDOWEJ"

MONIKA WIŚNIEWSKA

Udział mniejszości religijnych w ogólnej strukturze wyznaniowej w porównaniu z dwudziestoleciem międzywojennym znacząco spadł. Kościoły i związki wyznaniowe były ewidencjonowane przez Ministerstwo Administracji Publicznej. Kontrolowano ich działalność, w tym prowadzoną na rzecz wychowania dziecka w wieku przedszkolnym.

Zaraz po wojnie

Najwięcej przedszkoli konfesyjnych w Polsce organizował Kościół rzymskokatolicki oraz podległe mu instytucje, przede wszystkim „Caritas" [...]. Władze oświatowe z powodów ideologicznych nie były zainteresowane rozwojem działalności przedszkoli konfesyjnych ani innych, prostszych form placówek wychowania przedszkolnego. Mimo poważnych braków w zakresie sieci przedszkolnej planowano stopniową, lecz konsekwentną, ich eliminację. W pierwszym okresie po wojnie zasadniczo pozwalano instytucjom religijnym na prowadzenie licznych, a nawet wielooddziałowych przedszkoli. Według danych szacunkowych, w roku szkolnym 1947/1948 działało 727 przedszkoli prowadzonych przez organizacje religijne, w tym na wsi – 306, a w mieście – 421. [...] W 1948 r., analizując kwestie opieki nad dzieckiem, komuniści twierdzili, że nowej treści życia społecznego muszą odpowiadać nowe formy organizacyjne. Dzieci planowano powierzać tylko tym instytucjom, które nadążały za „ewolucją ustrojową". Ściśle rzecz biorąc, przewidywano scedowanie uprawnień w zakresie prowadzenia placówek opiekuńczo-wychowawczych na jedną koncesjonowaną przez partię organizację – Towarzystwo Przyjaciół Dzieci, które dzięki odpowiedniej polityce państwa zdominowałoby i wyeliminowało inne społeczne oraz wyznaniowe podmioty, przede wszystkim „Caritas". Niepokojono się zwłaszcza znaczącym rozwojem ilościowym przedszkoli zakonnych, których w październiku 1947 r. odnotowano tylko w okręgu krakowskim – 185, śląskim – 100, a rzeszowskim – 80. Przedszkola te stanowiły zbyt silną konkurencję dla placówek preferowanych przez resort. Wrosły w historię i życie lokalnych społeczności, cieszyły się uznaniem rodziców, którzy chcieli wychowywać dzieci w wierze. Ponadto ich ważnym atutem było z reguły dobre żywienie dzieci. Z kolei w miejscowościach, w których władze szkolne nie posiadały lokali do uruchomienia przedszkoli państwowych czy publicznych, placówki, mieszczące się w obiektach zgromadzeń zakonnych lub parafialnych, dawały jedyną możliwość objęcia dzieci wychowaniem przedszkolnym. Temat przedszkoli konfesyjnych, zwłaszcza z zakonną obsadą, a przy tym rzekomo niebezpiecznym wychowawczo wpływem sióstr na podopiecznych, powracał podczas narad partyjnych. Uwrażliwiano, by przynajmniej członkowie partii komunistycznej i jej sympatycy nie posyłali dzieci do placówek zakonnych. [...] Plan wyrugowania placówek wyznaniowych przedstawiono przy tym jako likwidację „przerostów dewocyjnych" w oświacie, krytykując wpływ duchowieństwa na edukację oraz fakt, że zgromadzenia zakonne prowadziły znaczną liczbę placówek oświatowych.

Socjalistyczne miasto bez Kościoła

Komunistów niepokoiły popularność oraz stosunkowo szybki rozwój sieci przedszkoli zakonnych. Na przykład w województwie rzeszowskim praktycznie wszystkie przedszkola prowadzone były przez zgromadzenia zakonne. W sprawozdaniach Kuratorium Okręgu Szkolnego Rzeszowskiego z lat 1945–1948 odnotowano, że pierwsza ewidencja przeprowadzona na tym terenie wykazała działalność ponad trzydziestu przedszkoli, z których tylko jedno funkcjonowało przy Państwowych Zakładach Lotniczych, a wszystkie inne nie tylko były obsadzone przez personel zakonny, ale również należały do zgromadzeń zakonnych. Ponadto inspektorzy szkolni sygnalizowali, że w powiatach znajdowały się liczne ochronki zakonne, nieewidencjonowane przez władze szkolne [...]. Na skutek wydania ustawy o przekazaniu Ministerstwu Oświaty całokształtu opieki nad dzieckiem od lat trzech do osiemnastu zewidencjonowano ochronki i w ten sposób władze oświatowe województwa

FOT. NAC

eprasa.pl 287b547067

rzeszowskiego – jak z zadowoleniem komentowali ich przedstawiciele – mogły „odziedziczyć" 106 przedszkoli zakonnych, czyli praktycznie okraść zgromadzenia zakonne z własności.

Choć rzeczywiste przyczyny zamykania w tym okresie wyznaniowych przedszkoli i innych placówek wychowania przedszkolnego wynikały z powodów ideologicznych, wobec ich właścicieli formułowano zarzuty innej natury. [...] Za modelowy przykład uznać można zamknięcie jednooddziałowego przedszkola w Nowej Hucie prowadzonego przez siostry norbertanki. Siostrom zarzucono niski poziom pracy wychowawczej, mimo że wyniki wcześniejszej wizytacji władz oświatowych były pozytywne. Przedszkole zostało zamknięte, choć cieszyło się uznaniem rodziców należących do „klasy robotniczej". Kierownik Wydziału Oświaty Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Krakowie w piśmie do władz centralnych za rozstrzygający dla losu placówki uznał fakt, że w pierwszym socjalistycznym mieście Polski „ludowej" nie powinno działać przedszkole zakonne.

Przedszkolu parafialnemu w Bydgoszczy przy ul. Staroszkolnej 10, prowadzonemu przez siostry zakonne, zarzucano, że podczas zajęć z dziećmi nie uwzględniano wychowania ideologicznego. Wychowawczynie zakonne nie wygłaszały bowiem pogadanek o uroczystościach państwowych, a w pomieszczeniach brakowało portretów prezydenta Bieruta oraz marszałka Konstantego Rokossowskiego. Siostry próbowały „pozytywnie" ustosunkować się do uwag i dostosować wystrój wnętrza oraz treści wychowawcze – przynajmniej oficjalnie – do stawianych im wymogów. Zawiesiły wymagane portrety, a z dziećmi przedszkolnymi przeprowadziły pogadanki na temat zjednoczenia partii robotniczych, o czym informowano władze szkolne celem ochrony placówki przed zamknięciem.

Nagminnie wykorzystywanym pretekstem do zamykania lub przejmowania przedszkoli wyznaniowych był brak kwalifikacji zawodowych personelu pedagogicznego. Siostry zakonne nie mogły sfinalizować rozpoczętej nauki dyplomem czy wymaganym świadectwem, ponieważ władze oświatowe bezpodstawnie z punktu widzenia prawa odmawiały im takiej możliwości. Karmelitanki z Sosnowca skarżyły się: „Gdy w roku 1949 Siostry nasze kończyły Kursa dla Przedszkolanek, Władze Oświatowe nie dopuściły Sióstr do matury, dlatego, że były w habitach, jakby ludzie w habitach pracujący dla Polski Ludowej nie mieli prawa do życia i egzystencji".

Brutalna laicyzacja

Prymas Wyszyński w liście do rządu RP diagnozował: „Laicyzacja przedszkoli i świetlic jest programowo przeprowadzana. [...] Przedszkola parafialne i Caritasowe są zamykane, chociaż bardzo często odznaczają się świetną organizacją". Istotnie w 1949 r. władze partyjno-rządowe uznały „stan na odcinku przedszkoli (680 przedszkoli »Caritasu« i zakonnych na ogólną liczbę 5232) za specjalnie zagrożony i wymagający zorganizowanej akcji [...]". Przeciwko likwidacji przedszkoli wyznaniowych występowały lokalne społeczności. Przykładowo w Kowalu przedszkole zakonne przewidziane do przejęcia przez państwo okupowało ok. trzystu osób domagających się pozostawienia w placówce personelu zakonnego. Za wychowawczyniami zakonnymi w Sosnowcu wstawiali się rodzice wychowanków, tłumacząc przedstawicielom władz, że dzieci były dobrze wychowywane przez bezinteresownie pracujące siostry zakonne. Wskazywano na potrzebę istnienia tego typu placówki, która dodatkowo znajdowała się w pobliżu ich domów, posiadała dobre warunki, w tym nasłonecznione sale. Komisje szykujące się do przejęcia przedszkoli musiały nierzadko zmierzyć się z grupami matek dzieci przedszkolnych, które krzyczały i skandowały, występując przeciwko bezprawnym praktykom. Dodatkowo do matek dołączał się tłum ludzi, który utrudniał działania komisji. Rodzice dzieci przedszkolnych odwoływali się do terenowych wydziałów oświaty, a także do Ministerstwa Oświaty, argumentując, że przedszkola sióstr zakonnych wzorowo realizowały zadania wychowawcze, a dzieci w placówce otoczone były troskliwą opieką, co pomagało matkom w spokojnym podjęciu pracy. Rodzice powoływali się na dekret o wolności sumienia i wyznania z 5 września 1949 r. oraz porozumienie z 1950 r. Za pozostawieniem w przedszkolach personelu zakonnego przemawiać miał także fakt, że siostry wychowywały dzieci na lojalnych i wzorowych obywateli Polski „ludowej".

[...] We Wrocławiu zlikwidowano przedszkole, ponieważ sąsiadowało ze szkołą partyjną, która pełnić miała na tyle „doniosłe" zadania, że istnienie caritasowego przedszkola uznano za niezręczną sytuację. Według danych proweniencji państwowej w 1956 r. nie działało już ani jedno samodzielne przedszkole zakonne. [...] Po 1956 r. władze państwowe w swojej wewnętrznej dokumentacji przyznawały, że zgłaszające się z prośbą o rewindykację podmioty wyznaniowe pozbawione zostały własności całkowicie bezprawnie. Niepokojono się przy tym, że ustawa z 1932 r. obowiązywała, a tym samym stanowiła podstawę do niewygodnych dla rządu roszczeń ze strony instytucji kościelnych. Nie spełniły się też przypuszczenia komunistów co do stopniowego „wygaśnięcia" przedszkoli wyznaniowych. Postulowano zatem zmianę „przestarzałej ustawy". W przeciwnym wypadku Ministerstwo Oświaty musiałoby albo udzielić zezwolenia na prowadzenie przedszkola wyznaniowego, albo w przypadku odmowy złamać obowiązującą ustawę.

Podziemie przedszkolne

Warto zwrócić uwagę, że podmioty wyznaniowe stosunkowo często prowadziły nieformalne placówki wychowania przedszkolnego pod pozorem innej działalności, np. nauki religii w „punkcie katechetycznym". Komisje kontrolne raportowały, że w rzekomych salkach katechetycznych znajdowały się trzydziestoosobowe grupy dzieci w wieku przedszkolnym, liczne zabawki oraz pomoce stosowane do zajęć z dziećmi w placówkach wychowania przedszkolnego. Nieformalna działalność sióstr zakonnych na tym polu cieszyła się dużym poparciem społecznym. Zdarzało się, że do nielegalnych z punktu widzenia władz komunistycznych placówek swoje dzieci posyłali członkowie PZPR, jak do punktu prowadzonego przez felicjanki w Łasinie. Do ogniska parafialnego na terenie podlegającym wydziałowi oświaty w Słubicach uczęszczały dzieci sekretarza prezydium powiatowej rady narodowej oraz innych pracowników prezydium. Za ich pobyt od dziesięciu do dwunastu godzin dziennie rodzice wpłacali dowolne ofiary, najczęściej w naturaliach takich jak cukier, mąka, tłuszcz. Zakład – według opinii tamtejszego wydziału oświaty – był skromnie, a nawet niedostatecznie wyposażony. Brakowało leżaków dla dzieci, a zajęć przedszkolnych nie prowadzono w oparciu o wytyczne programu zajęć zatwierdzonego przez Ministerstwo Oświaty.

eprasa.pl 287b547067

W DZISIEJSZYCH ZMOTORYZOWANYCH CZASACH, KIEDY NIE JEST NICZYM NADZWYCZAJNYM KOMUNIKACJA MIEJSKA, A PODZIEMNA LINIA METRA POZWALA NA SZYBKIE PRZEMIESZCZANIE SIĘ Z JEDNEGO KRAŃCA WARSZAWY NA DRUGI, NIEŁATWO JEST NAM SOBIE WYOBRAZIĆ, JAK WIELE TRUDU WYMAGAŁY TAKIE PODRÓŻE DAWNIEJ

DOROŻKI WARSZAWSKIE W XIX w.



KAROLINA W. GAŃKO



ŁUKASZ LUBRYCZYŃSKI

Sto pięćdziesiąt lat temu kiepska infrastruktura drogowa, w tym brak odpowiednich trotuarów, powodowała, że pieszo poruszała się głównie biedota. Reszta społeczeństwa korzystała z działającej jeszcze w pierwszej połowie stulecia komunikacji omnibusowej, a od lat 80. także tramwajowej. Ponadto transport od dworców do hoteli zapewniały karetki i omnibusy hotelowe, natomiast zamożniejsza ludność posiadała własne pojazdy konne lub też korzystała z powozów i karet wynajmowanych w remizach, zwanych też kantorami. Jednakże najważniejszym środkiem lokomocji były dorożki.

O popularności dorożek w życiu XIX-wiecznej Warszawy nie trzeba nikogo przekonywać. Wystarczy sięgnąć po ówczesną literaturę, gazety bądź pocztówki, a odnajdzie się co najmniej wzmiankę (a nierzadko zwięzły opis) o podróży tym środkiem komunikacji miejskiej. I choć krąg pasażerów dorożek nie był ściśle określony, to jednak pewne cechy, tj. cena przejazdu, potrzeba wygodnego, szybkiego i docelowego transportu, moda oraz przyzwyczajenia sprawiały, że część ludności korzystała z tego środka lokomocji z większą regularnością. [...]

Pasażerowie i ich trasy

Dorożkarstwo, jak niewiele innych profesji, sprzęgnięte było z czymś, co można nazwać rytmem życia miasta, a szczególnie jego zamożniejszych mieszkańców. Podstawowe zadanie dorożkarza polegało przecież na dostarczeniu pasażera we wskazane przez niego miejsce. Dorożki można było ujrzeć właściwie na każdej ulicy Warszawy, ale – co oczywiste – istniały trasy i rejony miasta, na których powożący kursowali regularniej. XIX-wieczna Warszawa mimo ograniczonej autonomii i tego, że znajdowała się pod zaborem, była miastem zapewniającym swoim mieszkańcom rozrywki. W okresie karnawału, podobnie jak w noc sylwestrową, odbywały się liczne bale, maskarady i zabawy. W początkowych latach Królestwa Polskiego największe i najbardziej huczne organizowano w pałacach arystokracji, np. u ordynatowej Zofii z Czartoryskich Zamoyskiej w Pałacu Błękitnym przy ul. Senatorskiej oraz w Pałacu Namiestnikowskim przy Krakowskim Przedmieściu. Po upadku powstania listopadowego namiestnik Iwan Paskiewicz wydawał bale na Zamku Królewskim, które miały ograniczone grono bywalców, gdyż wśród członków kół patriotycznych (organizacji konspiracyjnych) nie zdobyły one popularności. Za to przez cały wiek wielkim wzięciem cieszyły się imprezy publiczne, odbywające się w salach redutowych Teatru Narodowego, najpierw na placu Krasińskich, a potem na placu Teatralnym. [...]

Konwenanse nie pozwalały, a brak chodników i zły stan dróg grożący ubłoceniem kreacji uniemożliwiały piesze dotarcie na te uroczystości, stąd też zaproszeni goście przybywali najczęściej własnymi powozami lub – jeśli ich nie mieli – najętymi dorożkami. Koniec karnawału nie oznaczał dla dorożkarzy braku zajęcia. Już w środę popielcową sankami wozili warszawiaków do Wilanowa. Zwyczaj tych wypraw był szczególnie popularny w początkach XIX w. Wraz z nastaniem wiosny i lata wyższe sfery chętnie wyruszały na spacery. Wielką popularnością cieszyły się warszawskie parki i ogrody, zwłaszcza Łazienki, ogród Saski, ogród Krasińskich, Dolina Szwajcarska i powstały później park Ujazdowski. Działo się tak dlatego, że na spacerowiczów oprócz przyrody czekały liczne atrakcje.

Olbrzymim zainteresowaniem cieszyły się także wyścigi konne na Polu Mokotowskim. W dni gonitw dorożkarze, pomimo podnoszenia taksy, znajdowali wielu pasażerów. Trzeba pamiętać, że Warszawa nie żyła jedynie rozrywkami, dlatego dorożkarze wozili również mieszkańców załatwiających codzienne sprawy. Kursowano na ul. Miodową i pl. Krasińskich, w którym to rejonie mieściła się większość sądów, na zakupy zaś udawano się na ul. Marszałkowską, do Gościnnego Dworu na pl. Za Żelazną Bramą lub do hal targowych powstałych w początkach wieku.

Chciani i niechciani

Dorożkarze towarzyszyli przedstawicielom klasy średniej także podczas uroczystości rodzinnych. Transportowali z kościołów bądź synagog gości weselnych (rzadko młodą parę oraz najbliższą rodzinę, gdyż ci najczęściej najmowali pojazdy w kantorach) lub żałobników (zakazane było przewożenie w dorożce trumny). Duży wpływ na życie mieszkańców Warszawy wywierał Kościół – obchody świąt i uroczystości chrześcijańskich. W każdą niedzielę dorożkarze wozili mieszkańców na nabożeństwa. Warszawiacy wyprawiali się też poza okopy okalające miasto. W Zielone Świątki tłumnie ruszano na Bielany, na św. Stanisława (8 maja) wybierano się na Wolę, a na pielgrzymki do Rokitna i Błonia. Rozbudowa kolei powodowała, że do Warszawy zjeżdżała masa przyjezdnych, zupełnie nieznających miasta. Dorożkarze licznie oczekiwali na tych pasażerów na placach dworcowych. [...]

Inaczej rzecz się miała z najbardziej szacownymi grupami społecznymi, czyli arystokracją, obywatelami ziemskimi, bogatymi fabrykantami, przemysłowcami i bankierami. W ich przypadku do dobrego tonu należało posiadanie własnego

eprasa.pl 287b547067







Charakterystyka dorożek warszawskich (fragment ryciny), „Mucha", 1878 r., nr 36

eleganckiego ekwipażu, utrzymywanego wraz ze stajnią i z wozownią. Pomimo to również wśród tych warstw wyższych zdarzały się postacie, które korzystały z usług dorożkarzy. Do takich zaliczali się m.in. znany finansista Leopold Kronenberg, ordynat Zamoyski, a także najbardziej spośród nich zżyty z dorożkarzami hrabia August „Gucio" Potocki. Ten ostatni, bohater wielu anegdot i skandali warszawskich, miał ponoć po mieście rozbijać się dorożką o wiele mówiącym numerze 1, powożoną przez charakterystycznego, bardzo grubego stangreta i ciągniętą przez piękne, rasowe konie. [...]

Istniała jeszcze grupa tzw. niechcianych pasażerów. Składały się na nią dzieci oraz nastolatki, które czepiały się tyłu dorożek i odbywały podróż, opierając się na resorach pojazdu. Najczęściej robiły to dla zabawy, ale część – zwłaszcza ze środowisk robotniczo-rzemieślniczych – traktowała pojazdy jako darmową formę transportu. Dorożkarze rozprawiali się z tymi gapowiczami w dość brutalny sposób. Odchyliwszy się na koźle, trafiali ich z bata, co zwykle było skutecznym sposobem odstraszenia niepożądanych pasażerów. [...]

Sanki, jadą sanki

W okresie zimy, gdy Wisła była zamarznięta, a ulice Warszawy spowijał śnieg, dorożkarze przesiadali się na sanki. [...]

Jazda saniami była wśród warszawiaków niezwykle popularna. Cenili sobie jej cichość, czego nie można było powiedzieć o przemieszczaniu się po mieście zwykłą dorożką, której przejazdowi na brukowanych drogach towarzyszył głośny turkot. [...]

W Warszawie dorożki oczekiwały na pasażerów w specjalnie wyznaczonych miejscach postojowych, nazywanych stacjami. Po raz pierwszy pomysł otworzenia stacji znalazł zastosowanie w czasach lektyk i fiakrów, np. dla kompanii mieszczańsko-szlacheckiej wyznaczono trzy takie stanowiska: przed pałacem Radziwiłłowskim na Krakowskim Przedmieściu, pod statuą Zygmunta i na ul. Długiej naprzeciw kościoła pijarów. Liczba miejsc postojowych stale się zwiększała. W połowie XIX w. odnotowujemy ich 18, a pięćdziesiąt lat później ponad 100. Większość wytyczono na placach miejskich, na rogach ruchliwszych ulic oraz przed budynkami użyteczności publicznej. [...]

Najelegantsze dorożki stały na pl. Teatralnym, dlatego zlokalizowaną w tym miejscu stację uznawano za najszacowniejszą. [...]

Zakładano dwie możliwości rozmieszczenia: w pierwszym szyku dorożki stały zaparkowane wzdłuż trotuaru, w rzędzie jedna za drugą, w drugim zaś pojazdy ustawiały się obok siebie, przy czym za pierwszą uznawano tę wysuniętą najbardziej na prawo (ten sposób znajdował zastosowanie np. na placach). Istniał przymus przebywania na stacjach, gdyż dorożkarzom zabroniono jazdy po mieście w celu poszukiwania klientów. Ten nakaz nie dotyczył tylko dorożek nocnych oraz zajętych. Dorożkarz wożący pasażera późną porą mógł stawać w każdym miejscu, byleby nie zajmował trotuarów lub nie zastawiał wyjazdów z bram. [...]

Ten, kto potrzebował dorożki, zamawiał ją w charakterystyczny sposób polegający na przywołaniu dorożkarza skinieniem ręki i zawołaniu w stylu: „Dorożka!", „Wolny?!", „Zajeżdżaj!". Jeśli działo się to na stacji, podjeżdżała wtedy pierwsza dorożka z szyku, chyba że sam zainteresowany zażądał innej. Można też było zatrzymać pojazd jadący ulicami miasta, ale tylko wtedy, gdy nie przewoził pasażerów. Od 1871 r. niezarezerwowana dorożka obowiązkowo musiała mieć wywieszoną chorągiewkę przymocowaną przy koźle. Jej brak oznaczał, że pojazd został już przez kogoś wynajęty.

Zwyczaje i wykroczenia

Dorożkarzy obowiązywał przymus jazdy, tzn. niezajęta dorożka musiała się zgodzić na kurs z każdym zgłaszającym się pasażerem. Powożący jednak wcale nie byli tak układni i sami próbowali dobierać sobie klientów. Mieli wiele sposobów, by uniknąć niechcianych kursów, np. pasażerom, którzy nie odpowiadali im pod względem materialnym, niemożność odbycia przejazdu tym tłumaczyli, że „kurs obstalowany i że jedzie się do domu na popas koni" albo, że zostali już przez kogoś zamówieni. Innym wybiegiem było niedostrzeganie wołającego człowieka. Szczególnie przy niepogodzie zjawisko to nabierało na sile, co zauważali XIX-wieczni dziennikarze: „Zwłaszcza gdy pada deszcz wszystkie dorożki »odwracają się od ciebie plecami, pokazując ci swoje tylne, biało malowane numera«". [...]

Powszechność tych zachowań poświadczają statystyki, np. w 1866 r. powożących karano aż 229 razy za ociąganie się lub odmawianie jazdy. Biorąc pod uwagę, że po warszawskich ulicach przemieszczało się wówczas ok. 450 dorożek, wynikałoby, że co drugi woźnica dopuścił się tego przewinienia. Zapewne zestawienie podbijali recydywiści, ale ogrom zjawiska i tak jest zatrważający. [...]

[...] Nieuniknione konflikty z właścicielami oraz klientami doprowadzały do ciągłych roszad kadrowych, a z powodu braku przez większość stulecia systemu egzaminacyjnego do tego zawodu dopuszczane były osoby przypadkowe, przeważnie imigranci z przeludnionych wsi. Utrzymywanie się tych patologii przyczyniło się w pewnej mierze do stopniowego zmarginalizowania dorożkarstwa. Domaganie się wyższych opłat za przejazd, wykłócanie się i niegrzeczne zachowanie wobec podróżujących, zarówno mężczyzn, jak i kobiet, unikanie niektórych kursów czy też zły stan techniczny pojazdów uchodziły dorożkarzom mimo wszystko bezkarnie. Trwało to dopóty, dopóki dorożki stanowiły właściwie jedyny w miarę komfortowy środek komunikacji, pozwalający dotrzeć w każde miejsce Warszawy.

eprasa.pl 287b547067

Styczeń



MICHAŁ KOMUDA

3 I 1897

W Lipnie przyszła na świat Barbara Apolonia Chałupiec, powszechnie znana jako światowej sławy aktorka Pola Negri. W trakcie swojej kariery, której rozkwit przypadał na okres kina niemego, grała w filmach polskich, niemieckich oraz amerykańskich.



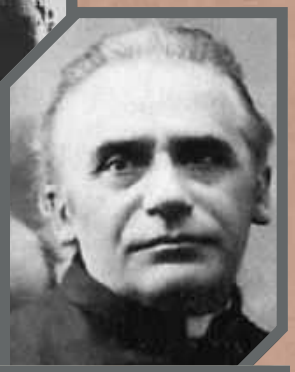
4 I 1927

Do będącego w budowie gdyńskiego portu wpłynął pierwszy polski statek handlowy SS Wilno. Kapitanem, który wprowadził go do przyszłej chluby II Rzeczypospolitej, był słynny Mamert Stankiewicz, bohater książki „Znaczy Kapitan".



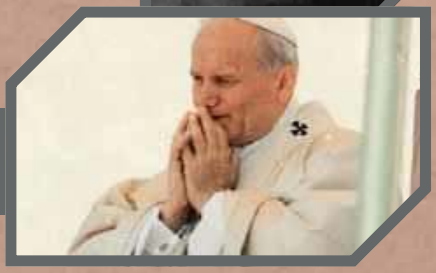
10 I 1842

Urodził się przyszły uczestnik powstania styczniowego, ksiądz Józef Dąbrowski. Od roku 1870 pełnił posługę wśród Polonii amerykańskiej oraz Indian. W ramach swojej pionierskiej działalności doprowadził m.in. do utworzenia pierwszego polskiego Seminarium Duchownego w USA.



13 I 1987

Papież Jan Paweł II udzielił audiencji w Watykanie gen. Wojciechowi Jaruzelskiemu wraz z towarzyszącą mu delegacją. Wizyta była uwieńczeniem wielomiesięcznych zabiegów władz PRL dążących do ocieplenia swojego wizerunku po wprowadzeniu stanu wojennego, ale nade wszystko otworzyła drogę do zorganizowania III pielgrzymki papieża Polaka do Ojczyzny.



14 I 1887

Działacz tajnej Ligi Polskiej Zygmunt Balicki powołał do życia konspiracyjny, akademicki Związek Młodzieży Polskiej „Zet". Organizacja ta skupiała studentów o orientacji patriotyczno-niepodległościowej i swym zasięgiem ogarnęła trzy zabory.



15 I 1907

W Warszawie urodził się wybitny sportowiec, ale też żołnierz Września 1939 r. i konspirator, Janusz Kusociński. Dwukrotnie ustanawiał rekord świata w biegach, a także był pierwszym polskim zdobywcą złotego medalu olimpijskiego w męskim sporcie. Został rozstrzelany przez Niemców 21 VI 1940 r. w Palmirach.



22 I 1922

Zmarł prawnik, poseł na Sejm Ustawodawczy ze Związku Ludowo-Narodowego i ziemianin Adolf Świda. Podczas I wojny światowej pracował w Centralnym Komitecie Obywatelskim, a po jej zakończeniu przewodził Tymczasowej Radzie Obywatelskiej w Suwałkach.

FOT. NAC 5X; WWW.MABPZ.ORG; ARCHIWUM 3X; CAW

eprasa.pl 287b547067



6 I 1917

W Brnie na Morawach urodził się polski lekarz i żołnierz, Stanisław Janusz Sosabowski „Stasinek". Podobnie jak jego słynny ojciec, dowódca Brygady Spadochronowej gen. Stanisław Sosabowski, od pierwszych chwil II wojny światowej czynnie walczył z niemieckim najeźdźcą.

Dorastał z jednym sztucznym okiem, jednak dysfunkcja ta była niezauważalna dla otoczenia. W latach 30. rozpoczął edukację w warszawskiej Szkole Podchorążych Sanitarnych oraz na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Warszawskiego. Jak wspominała jego późniejsza łączniczka Danuta Mancewicz „Danusia": „Znałam go sprzed wojny – chodził w mundurze podchorążego i miał przepięknego psa, więc to wszystko było imponujące niesłychanie". Z chwilą wybuchu wojny we wrześniu 1939 r. został dowódcą plutonu obsługi pociągu sanitarnego. Po przegranej kampanii obronnej zdołał zbiec z tymczasowego obozu jenieckiego i przystąpił do działalności konspiracyjnej w szeregach SZP i ZWZ na warszawskim Żoliborzu, przyjmując pseudonim Stasinek. Jednocześnie kontynuował w tajnym trybie studia i praktykował w szpitalu. Po przejściu z żoliborskiego Batalionu „Baszta" objął w 1942 r. dowództwo oddziału dyspozycyjnego komendanta Okręgu Warszawa-Miasto Tajnej Organizacji Wojskowej. Na początku kolejnego roku, w ramach grupy „Andrzeja", ppor. Józefa Rybickiego, został podporządkowany Kedywowi Okręgu Warszawskiego AK, dając początek oddziałowi Kolegium „A". Z oddziałem tym przeprowadził wiele głośnych akcji zbrojnych, w tym likwidacyjnych. Jego przełożony ppor. „Andrzej" pisał o nim w następujących słowach: „Był duszą, sercem i mózgiem tego oddziału. [...] zawsze bezgranicznie wierny idei walki; śmiałość charakteru biła zawsze od niego. [...] Mir u chłopaków swoich miał olbrzymi, posłuch nadzwyczajny, miłość ich była do niego ogromna". Pierwszego dnia powstania warszawskiego na czele oddziału Kolegium „A" odniósł dwa spektakularne sukcesy, zdobywając magazyny Waffen-SS na Stawkach oraz uwalniając z opanowanego przez siebie kompleksu szkół przy ul. Niskiej kilkudziesięciu Żydów. W trakcie natarcia 4 sierpnia odniósł ciężkie rany twarzy, uszkodzone zostało jedyne sprawne oko. Tuż przed niemieckimi rzeziami został ewakuowany z Woli na Stare Miasto, a następnie kanałami do Śródmieścia. Ze względu na odniesione obrażenia nie był już zdolny do walki. Jak po zakończeniu wojny wspominał jeden z podkomendnych „Stasinka", ppor. Stanisław Aronson „Rysiek": „Napisałem list do generała Sosabowskiego, że jestem żołnierzem jego syna, jego syn został bardzo ciężko ranny, stracił wzrok i musowo [trzeba] jego wyciągnąć [...]. To doszło do generała. On był w Anglii". Dzięki temu ojciec „Stasinka" dołożył wszelkich starań, by przewieźć syna na Zachód i poddać specjalistycznemu leczeniu, w wyniku którego zrekonstruowano jego twarz, jednak nie zdołano uratować wzroku. Pozostał w Anglii, gdzie mimo bycia ociemniałym zdołał obronić dyplom lekarski oraz podjąć praktykę, zajmując się rehabilitacją. Ograniczenia fizyczne nie przeszkodziły mu również w hobbistycznym trenowaniu łucznictwa. Zmarł w roku 2000.

31 I 1867

W Dumanowie przyszedł na świat wnuk powstańca listopadowego i syn powstańca styczniowego, przyszły generał Wojska Polskiego, wielki patriota, Mariusz Zaruski. Dzięki swojej unikatowej pasji oraz wszechstronności stał się ikoną zarówno ludzi kochających morze, jak i turystów górskich.

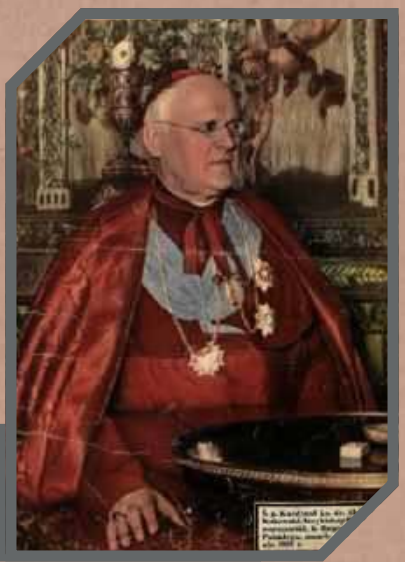
Już jako student podczas zaborów pływał na rosyjskich statkach handlowych. Będąc jednak czynnym działaczem niepodległościowym, w 1894 r. został skazany przez carskie władze na zsyłkę. W trakcie odbywania kary służył na statkach oraz uczył się w szkole morskiej w Archangielsku. Po powrocie z zesłania rozpoczął studia w Akademii Sztuk Pięknych, które ukończył w Krakowie. Ze względu na stan zdrowia żony przenieśli się razem do Zakopanego. Tu rozkwitła jego pasja do narciarstwa oraz taternictwa, która zaowocowała pionierskimi wyprawami i wytyczaniem szlaków, tworzeniem wydawnictw górskich, a nade wszystko utworzeniem przez Zaruskiego Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego. Jako szef zakopiańskiej Kompanii Strzeleckiej w sierpniu 1914 r. na czele oddziału strzeleckiego dołączył do Legionów. Służył pod rozkazami słynnego kawalerzysty, Władysława Beliny-Prażmowskiego. W trakcie wojny polsko-bolszewickiej, dowodząc 11. Pułkiem Ułanów, wyzwolił Wilno, a jego odwaga została doceniona orderem Virtuti Militari i kilkukrotnie Krzyżem Walecznych. W pierwszych latach II RP był adiutantem prezydenta i wówczas w 1924 r. został awansowany do stopnia generała. W wieku blisko 60 lat przeszedł w stan spoczynku. Dzięki temu ponownie mógł oddać się swojej morskiej pasji. Został wówczas m.in. współtwórcą Yacht Klubu Polskiego, przewodniczącym komisji regulaminów morskich kierownictwa Marynarki Wojennej, a następnie sekretarzem generalnym Komitetu Floty Narodowej. Ze względu na powszechny szacunek, jakim się cieszył, na prośbę kierownictwa Harcerskich Drużyn Żeglarskich został kapitanem zakupionego żaglowca Zawisza Czarny. Mimo statecznego wieku odbył na jego pokładzie kilkanaście rejsów, wychowując kolejne pokolenia żeglarzy. Po wybuchu II wojny światowej został aresztowany przez NKWD. Zmarł z wycieńczenia w sowieckim więzieniu w Chersoniu. Miejsce jego pochówku pozostaje nieznane.



eprasa.pl 287b547067

Luty

1 II 1717 W Warszawie zwołano sejm, w którego trakcie, z obawy przed zerwaniem obrad, nie zezwolono posłom na zabieranie głosu. Dzięki tej nietypowej procedurze zdołano ratyfikować traktat warszawski kończący wojnę domową i uchwalić pakiet niezbędnych reform. Tak zwany Sejm Niemy był też pierwszym, którego postanowienia zostały wypracowane dzięki mediacjom rosyjskiego cara.



5 II 1862 We wsi Dębiny urodził się przyszły arcybiskup metropolita warszawski, Aleksander kardynał Kakowski. Duchowny był ostatnim prymasem Królestwa Polskiego, z dożywotnim prawem noszenia tego tytułu.

8 II 1922 Sto lat temu w Warszawie przyszedł na świat jeden z najbardziej utalentowanych młodych poetów II wojny światowej Tadeusz Gajcy. Zaangażowany w działalność konspiracyjną, wziął udział w powstaniu warszawskim, w którego trakcie poległ 16 sierpnia 1944 r.



15 II 1802 W swoim majątku w Żelechowie zmarł pierwszy prezydent Warszawy Ignacy Zakrzewski. Jako poseł uczestniczył w obradach Sejmu Czteroletniego, a następnie podczas insurekcji kościuszkowskiej zasiadał w powstańczych władzach.



20 II 1932 Podniesiono polską banderę na okręcie podwodnym ORP Żbik. Była to ostatnia z trzech jednostek typu wilk, które weszły do służby w Marynarce Wojennej. Jego pierwszym dowódcą został kmdr Eugeniusz Pławski.



24 II 1397 W Radzyniu Chełmińskim utworzono Związek Jaszczurczy, którego celem była obrona praw pruskiego rycerstwa przed władzą zakonu krzyżackiego. Do nazwy tego średniowiecznego bractwa nawiązywała, powstała na początku II wojny światowej, konspiracyjna Organizacja Wojskowa Związek Jaszczurczy.

26 II 1832 W sali koncertowej firmy Pleyel młody Fryderyk Chopin (na zdj.) dał swój pierwszy publiczny koncert w Paryżu. Przyjętemu z olbrzymim entuzjazmem występowi przysłuchiwał się z zafascynowaniem Franciszek Liszt.



27 II 1942 W niemieckim obozie KL Auschwitz zginął podbeskidzki działacz Narodowej Demokracji Edward Zajączek „Wolf". Podczas II wojny światowej powołał do życia konspiracyjną organizację polityczno-wojskową Patria, która weszła w skład Narodowej Organizacji Wojskowej, po czym podporządkował się Związkowi Walki Zbrojnej. Działał również w regionalnych strukturach Delegatury Rządu na Kraj.



FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA 3X; NAC; ARCH. ZDUNOWSKIEGO OŚRODKA KULTURY; IPN

eprasa.pl 287b547067



7 II 1807

Pod Pruską Iławą rozpoczęła się jedna z najbardziej dramatycznych bitew całej epoki napoleońskiej. W trakcie dwudniowych zmagań prowadzonych na mrozie intensywnie padający śnieg nasiąkł krwią dziesiątek tysięcy żołnierzy obu walczących stron.

Po stoczonych w święta Bożego Narodzenia 1806 r. bitwach pod Pułtuskiem i Gołyminem Napoleon rozłożył swoje korpusy na leżach zimowych na znacznym obszarze zaboru pruskiego. W drugiej połowie stycznia dowodzący rosyjskimi siłami Levin von Bennigsen podjął próbę rozbicia rozproszonych sił francuskich. Napoleon pomimo ciężkich warunków pogodowych postanowił wykorzystać sytuację do otoczenia wroga i zakończenia wyniszczającej kampanii. Rosjanie dzięki przechwyceniu napoleońskich depesz uniknęli pułapki i rozpoczęli odwrót w stronę Królewca. Wielka Armia ruszyła w pościg. Do pierwszego kontaktu z wrogiem doszło 6 lutego na przedpolu Dwórzna. Dzień później Francuzi dopadli Rosjan pod Pruską Iławą i z marszu uderzyli na miasto, które po kilku godzinach zaciętej walki zdołali zdobyć. Było to jednak zaledwie preludium do wydarzeń, które miały się rozegrać 8 lutego. Ranek rozpoczął się huraganowym ostrzałem rosyjskiej artylerii, która wyraźnie górowała nad mniej licznymi działami Francuzów. Dodatkowo Bennigsen dysponował znaczną przewagą liczebną własnych wojsk oraz oczekiwał na wsparcie operującego w pobliżu pruskiego korpusu Antona von L'Estocqa. Na niekorzyść Napoleona działało również to, że do jego głównych sił nie zdążyły jeszcze dołączyć korpusy marszałków Louisa Davouta oraz Michela Neya. Mając świadomość niesprzyjających okoliczności, Cesarz mimo morderczego rosyjskiego ostrzału osobiście trwał wśród żołnierzy zajmujących cmentarne wzgórze, aby swoją postawą podnieść ich ducha bojowego. Gdy na pole bitwy w końcu dotarł korpus Davouta i skutecznie uderzył na lewe skrzydło Rosjan, Napoleon postanowił dokończyć dzieła i rzucił na chwiejącą się wrogą flankę stacjonujący w centrum korpus Pierre'a Augereau. Nacierający w zawiei śnieżnej żołnierze chybili celu i dostali się bezpośrednio pod śmiercionośny ostrzał rosyjskiej artylerii. Widząc rysującą się zagładę korpusu Augereau, Bennigsen wysłał przeciw niemu konnicę, która dokończyła dzieła zniszczenia i położyła kres istnieniu centrum napoleońskich wojsk. Sukces ten otworzył Rosjanom drogę do wyprowadzenia natarcia na wyłom we francuskich liniach. Napoleon oddalił widmo klęski najpierw pchnięciem mas kawalerii Joachima Murata, które zostało nazwane „szarżą 80 szwadronów", a następnie zatrzymując kolejne uderzenie doborowych rosyjskich wojsk cesarską gwardią. Kryzys został zażegnany za cenę wprowadzenia do walki wszystkich odwodów. Tym bardziej przygnębiające wrażenie wywarło dotarcie po południu na miejsce bitwy posiłków pruskich, które wsparły Bennigsena. Mordercze zmagania trwały do wieczora, gdy w końcu ze zbawienną odsieczą zdołał nadejść oczekiwany przez Napoleona korpus Neya. Rosjanie i Prusacy ustąpili z pola bitwy, tracąc łącznie 30 tys. ludzi. Wielka Armia, której straty były niewiele mniejsze, nie była już zdolna do kontynuowania pościgu. Iławska hekatomba nie dała zwycięstwa żadnej ze stron.

19 II 1947

Trzy dni przed ogłoszeniem amnestii wyrokiem komunistycznego sądu zamordowano dowódcę Inspektoratu Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość, kawalera orderu Virtuti Militari, mjr. Franciszka Jaskulskiego „Zagończyka".

Podczas kampanii wrześniowej walczył jako ochotnik w szeregach 68. Pułku Piechoty. Wzięty przez Niemców do niewoli zdołał z niej zbiec. Po powrocie w rodzinne strony, opierając się na swoim przedwojennym harcerskim środowisku, rozpoczął konspirację w Zdunach i Kobylinie. Zagrożony aresztowaniem przeniósł się na Lubelszczyznę, gdzie objął dowodzenie lotnego oddziału Kedywu AK „Pilot", na którego czele wykonał wiele akcji przeciw niemieckim transportom kolejowym. W lipcu 1944 r. w ramach „Burzy" wziął udział w wyzwalaniu Końskowoli z rąk niemieckich. W celu uniknięcia rozbrojenia oddziału przez wkraczającą Amię Czerwoną zdążył go rozformować, a samemu uniknąć aresztowania. Mimo to w listopadzie został osadzony i skazany pierwotnie na karę śmierci, a następnie 10 lat więzienia. We wrześniu 1945 r. dokonał ucieczki, a następnie z powodzeniem wymknął się tropiącej go obławie. Powrócił w Lubelskie, po czym z końcem roku otrzymał od władz WiN rozkaz odbudowy konspiracyjnych struktur w rejonie radomsko-kozienickim. Docelowo utworzony przez niego Inspektorat WiN objął swym zasięgiem powiaty kozienicki, radomski, iłżecki oraz konecki i liczył blisko 1 tys. osób. Przyjęto kryptonim Związek Zbrojnej Konspiracji, ale jego żołnierze określali się jako Ruch Oporu Armii Krajowej. Zgrupowanie skutecznie odbijało więźniów, rozbijało okoliczne posterunki Milicji Obywatelskiej, zwalczało przedstawicieli komunistycznego aparatu, a nawet przeprowadzało akcje zbrojne przeciw oddziałom Armii Czerwonej i NKWD. Nie mogąc pobić „Zagończyka" w polu, reżim zdołał go ostatecznie pojmać 26 lipca 1946 r. na skutek zdrady dawnego podkomendnego.



eprasa.pl 287b547067

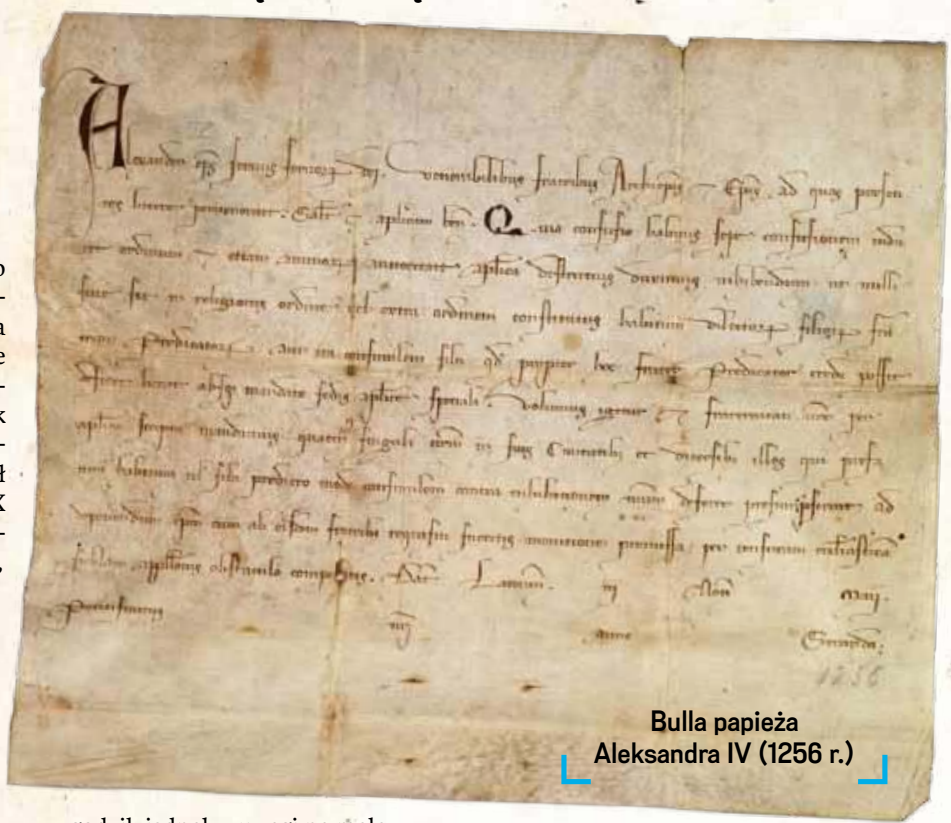
DOMINIKANIE

W 2022 r. PRZYPADA OSIEMSETNA ROCZNICA PRZYBYCIA DOMINIKANÓW DO KRAKOWA. POCZĄTKI DYNAMICZNEGO ROZWOJU ZAKONU KAZNODZIEJSKIEGO W POLSCE WIĄŻĄ SIĘ Z DZIAŁALNOŚCIĄ MISYJNĄ ŚW. JACKA



JACEK KROCHMAL

Środa popielcowa 24 lutego 1221 r. była dniem przekazania kościoła św. Sykstusa w Rzymie nowej wspólnocie sióstr dominikanek. Na uroczystość przybyli Dominik Guzman (†1221), założyciel zakonu nazwanego jego imieniem, oraz kardynał Hugolin, późniejszy papież Grzegorz IX (1227–1241). Przebieg ceremonii niespodziewanie zakłócił tragiczny wypadek, którego ofiarą padł kuzyn kardynała. Szczęśliwie jednak młodzieniec wkrótce powrócił do życia dzięki modlitwie Dominika. Świadkami tego niezwykłego wydarzenia byli biskup krakowski Iwo Odrowąż (†1229) i jego krewny Jacek (†1257). Cud sprawiony za wstawiennictwem św. Dominika (kanonizowanego w 1234 r.) wywarł na nich ogromne wrażenie. Biskup Iwon należał do elity intelektualnej duchowieństwa polskiego. Odbył studia w Krakowie, Paryżu i Vicenzie, był kanclerzem księcia Leszka Białego. Podczas pobytu we Włoszech zetknął się z nowymi prądami reformatorskimi w Kościele. Należał do nich ruch mendykancki głoszący wyższość ubóstwa nad przepychem i zalecający powrót do chrześcijańskich korzeni. Ideami tymi kierowały się nowe zakony żebracze dominikanów i franciszkanów. Mendykanci pozytywnie odróżniali się od opływających w bogactwa dostojników kościelnych i klasztorów starego typu. Cudowne zdarzenie mające miejsce podczas uroczystości w Rzymie było dla biskupa Iwona okazją do poproszenia Dominika o wysłanie misji do Polski. Ten chętnie się zgodził, jednak z uwagi na małą liczbę braci zaproponował, że przyjmie na naukę kilku Polaków, którzy później będą nieść posługę ewangelizacyjną nad Wisłą. Z zaproszenia skorzystali dwaj krewni biskupa Iwona, kanonicy krakowscy Jacek i Czesław (†1242), późniejszy prowincjał Polski.

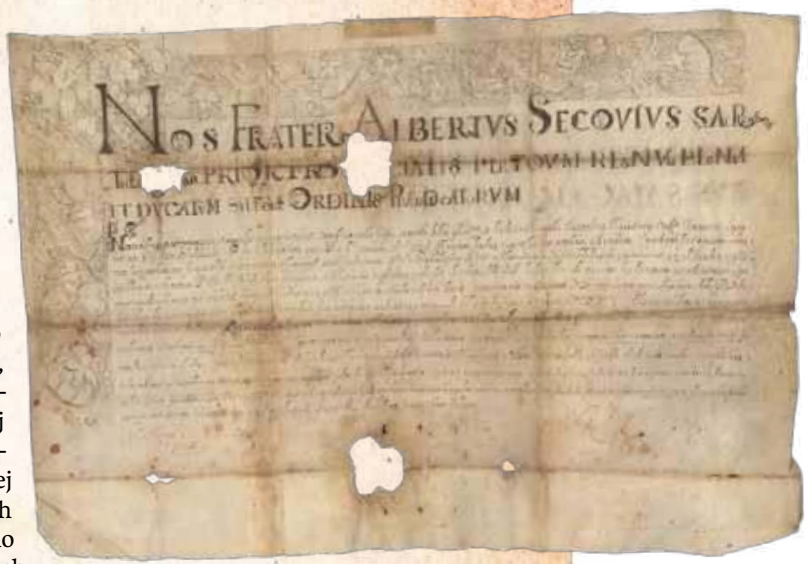


Bulla papieża Aleksandra IV (1256 r.)

Zakon kaznodziejski (Ordo Praedicatorum), popularnie nazywany dominikanami, był odpowiedzią na rosnącą w łonie Kościoła potrzebę przeprowadzenia gruntownych reform. W tym czasie w Langwedocji szerzył się heretycki ruch albigensów (katarów), krwawo tłumiony przez władze świeckie i kościelne. Doktryna religijno-społeczna albigensów godziła w podstawy istnienia nie tylko Kościoła, ale całego systemu feudalnego. Z misją wśród albigensów przebywał też św. Dominik. Obce mu było nawracanie heretyków przemocą, wolał inną, o wiele skuteczniejszą metodę pozyskiwania oponentów. Nauczał słowem i przykładem. Duże wrażenie na albigensach wywarła jego pobożność, żarliwe modlitwy, ubóstwo i posty, do zmiany przekonań Dominik nakłaniał ich, głosząc kazania. Metody te zaczęły przynosić efekty w postaci licznych konwersji na katolicyzm. Sukcesy misyjne Dominika zwróciły uwagę Stolicy Apostolskiej, co wkrótce doprowadziło do utworzenia zakonu. Dominikanie zyskiwali poparcie możnych, a dzięki fundacjom w II połowie XIII w. ich klasztory powstały w całej katolickiej Europie. Działalność ewangelizacyjna zakonu była zbieżna z kierunkiem reform przyjętych przez Sobór Laterań-

eprasa.pl 287b547067

ski IV (1215). Dominikanie byli zakonem żebraczym, a jednocześnie zakonem nauczającym. Ubóstwo nawiązywało do korzeni chrześcijaństwa, wykształcenie teologiczne dominikanów umożliwiało zaś wypełnienie luki edukacyjnej dotkliwie odczuwanej w wielu diecezjach z powodu niskiego poziomu kleru parafialnego, nieprzygotowanego do sprawowania opieki duszpasterskiej nad wiernymi. Sukces dominikanów wynikał też z dobrej organizacji sieci klasztornej. Ich konwenty i kościoły wznoszono w miastach, a propagowane w nich nowe formy pobożności przyciągały wiernych. Dobrym kontaktom sprzyjał też wędrowny sposób życia mendykantów. Pozbawieni majątku musieli każdego dnia prosić wiernych o środki do przetrwania, co zbliżało ich do okolicznych mieszkańców, których nauczali słowem i dobrym przykładem. Sukces działalności misyjnej zakonu kaznodziejskiego był wynikiem rozesłania przez św. Dominika uczniów mających na wzór apostołów ewangelizować odległe narody i tworzyć sieć placówek zakonnych we wszystkich krajach katolickiej Europy i na jej obrzeżach. Praktykę tę potwierdziła uchwała kapituły generalnej w Bolonii. Po odbyciu nowicjatu konfratrzy byli wysyłani z misjami w swoje rodzinne strony. Tak było również z Jackiem i Czesławem Odrowążami, których w połowie 1221 r. skierowano do Polski. Spełniając w praktyce śluby ubóstwa, polscy dominikanie udali się pieszo w długą wyprawę wiodącą przez Alpy. Zatrzymali się w klasztorze we Fryzaku w Karyntii, gdzie zabawili przez pół roku. Do Krakowa dotarli w 1222 r. (w historiografii ciągle utrzymuje się błędna data 1221), gdzie zostali przyjęci przez biskupa Iwona. Ten na klasztor przekazał im dotychczasowy kościół parafialny Trójcy Świętej, samą farę przenosząc do kościoła mariackiego. Tak szybkie założenie pierwszego klasztoru, wkrótce po powstaniu zakonu, było ewenementem w dziejach Kościoła w Polsce, do której instytucje i prądy powstające w zachodniej Europie docierały zwykle z dużym opóźnieniem. Tymczasem klasztor w Krakowie należy do najstarszych placówek dominikańskich, a św. Jacek (kanonizowany w 1594 r.) i bł. Czesław (beatyfikowany w 1713 r.) są zaliczani do pierwszego



Prowincjał Wojciech Sękowski OP zezwala na założenie bractwa różańcowego w Kłodawie (1608 r.)

pokolenia dominikanów, którzy bezpośrednio zetknęli się z założycielem zakonu kaznodziejskiego.

Wkrótce Jacek Odrowąż wyruszył z misją na Ruś, a potem do kraju pogańskich Prusów. Pamiątką z pobytu w Kijowie jest legenda o cudownym ocaleniu figury Matki Bożej z kościoła podpalonego przez Tatarów. Do św. Jacka, wynoszącego z płonącej świątyni kielich z Najświętszym Sakramentem, dobiegł głos Maryi pytającej, dlaczego ratuje tylko Syna, a Matkę zostawia na pastwę płomieni. Jacek zawrócił i w drugiej ręce wyniósł alabastrową rzeźbę. Stąd wzięły się atrybuty świętego, przedstawianego z cyborium bądź monstrancją w jednej i figurą Matki Bożej w drugiej ręce. Ta piękna legenda ma jednak niewiele wspólnego z prawdą. W czasie najazdu mongolskiego na Kijów św. Jacek przebywał już z misją u Prusów, nie mógł więc być bohaterem opisanych czynów. Nie przeszkodziło to jednak wiernym w rozwijaniu kultu rzekomo ocalonej figury, która dodatkowo rozmnożyła się i znalazła w dwóch klasztorach dominikańskich, we Lwowie i w Przemyślu. Oba klasztory długo toczyły spór o prawdziwość relikwii. W argumentacji uciekano się przy tym do, zdawałoby się, logicznej argumentacji. Jeden z historyków opowiadających się za prawdziwością Matki Bożej Jackowej z klasztoru w Przemyślu (obecnie w bazylice archikatedralnej) twierdził nawet, że prawdziwa jest figura przemyska, jest bowiem o wiele większa i cięższa od lwowskiej (obecnie w klasztorze krakowskim), a zatem jej podniesienie wymagało cudu, podczas gdy mniejszą lwowską można było unieść z łatwością.

Dominikanie wnieśli wielki wkład w dzieje Kościoła powszechnego. Z ich szeregów wywodziło się wielu świętych, czterech papieży, liczni kardynałowie i biskupi. Na przypomnienie zasługują wybitni uczeni, św. Albert Wielki (†1280) i św. Tomasz z Akwinu (†1274), mistyczka św. Katarzyna ze Sieny (†1380), a spośród dominikanów polskich teolog Mikołaj z Mościsk (†1632), kaznodzieja Fabian Birkowski (†1636) czy Jacek Woroniecki (†1949), rektor Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

Z początkowego okresu działalności zakonu w Polsce w Archiwum Głównym Akt Dawnych zachowała się bulla papieża Innocentego IV, który w 1243 r. polecił dominikanom krakowskim prowadzić misje w Prusach i Inflantach, a z 1256 r. bulla Aleksandra IV nakazującego biskupom polskim przestrzegać konstytucji zakonu kaznodziejskiego. Z kolejnych stuleci pochodzą liczne dokumenty dotyczące klasztorów dominikańskich w Kamieńcu Podolskim, Lublinie, we Lwowie, w Mościskach, Poznaniu, Warce, Warszawie i innych miastach.



Pieczęć klasztoru św. Jacka w Warszawie (1622 r.)

FOT. KAROL ZGLIŃSKI

eprasa.pl 287b547067

DZIEŁO, KTÓRE WSPÓŁTWORZYŁ JAKO DYPLOMATA, OFICER, WYDAWCA, DZIENNIKARZ I DZIAŁACZ SPOŁECZNY, MOŻEMY OGLĄDAĆ CODZIENNIE, ŻYJĄC W WOLNEJ I NIEPODLEGŁEJ POLSCE

ARCHIWA PAŃSTWOWE
ARCHIWUM AKT NOWYCH



RAFAŁ KIERZKOWSKI



STANISŁAW GROCHOLSKI – *życie w służbie Veritas*

Życiorys tego przedwojennego arystokraty, dyplomaty II RP, oficera Wojska Polskiego i wreszcie emigracyjnego orędownika sprawy polskiej, jest niezwykły nawet w tak wyjątkowym środowisku, jakie tworzyła Polonia. Najlepsze tego dowody znajdują się w liczącym ponad 2,6 tys. jednostek i 112 m archiwum Stanisława Grocholskiego, będącym obecnie częścią zasobu Archiwum Akt Nowych.

Z dalekiego Podola...

Pierwszym z rodu panem na Pietniczanach był Michał Andrzej Grocholski herbu Syrokomla, sędzia ziemski województwa bracławskiego i rotmistrz chorągwi pancernej z czasów Augusta III. Wraz z żoną, Anną z Radzimińskich, która wniosła Pietniczany w posagu, ufundował on w Winnicy klasztor i kościół oo. dominikanów. Jego syn, Marcin – wojewoda bracławski, gościł w swej pietniczańskiej warowni samego króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. Trzeci z pietniczańskich Grocholskich, Michał, przebudował tę kresową warownię, zdolną odpierać tatarskie najazdy, w stylu pałacowym, z założeniem ogrodowym i nowoczesnymi na tamte czasy budynkami gospodarczymi. Kresowe pochodzenie Grocholskich zaważyło na losach rodziny. W dawnej warowni stworzyli ośrodek przez wieki strzegący ładu dawnej Rzeczypospolitej w burzliwym rejonie dalekiego Podola, gdzie najazdy ordy i kozackie bunty niosły konieczność zachowania stałej czujności i gotowości do walki. Gospodarząc mądrze w swym majątku, mimo zaborów, częściowej konfiskaty i kontrybucji w okresie powstania styczniowego, Grocholscy przetrwali, rozbudowując pałac i folwarki, tworząc kolekcję zabytków z bogatą biblioteką i nie zaniedbując polskich spraw publicznych. W takich warunkach 4 listopada 1912 r. urodził się Stanisław Grocholski. Mimo że bolszewicka rewolucja pozbawiła ród własnego gniazda, pieczęć historycznej odpowiedzialności miała naznaczyć kolejne pokolenia. Świadectwem trwającej do dziś na Ukrainie pamięci o zasługach Grocholskich jest nazwanie w 2015 r. w Winnicy jednej z ulic miasta ich imieniem.



Herb Syrokomla wg Bartosza Paprockiego, 1584

W atmosferze naturalnie rozumianego patriotyzmu i poczucia odpowiedzialności dorastał Stanisław w kolejnym rodzinnym domu, potężnym ziemiańskim dworze w Poniatowie pod Warszawą, gdzie po opuszczeniu Pietniczan zamieszkali jego rodzice: Zdzisław, ziemianin, przemysłowiec, działacz społeczny, żołnierz ochotnik Wojska Polskiego w 1920 r.; i Maria z Sołtanów, wszechstronnie wykształcona członkini zarządu stowarzyszenia opieki nad polską młodzieżą z Kresów. Wykształcenie Stanisława zdobyte w Gimnazjum Męskim Zgromadzenia xx. Marianów na Bielanach, a następnie na Uniwersytecie Warszawskim i w Szkole Nauk Politycznych dało podstawy pod przyszłą służbę na rzecz Polski.

W służbie dyplomatycznej RP

Odrodzona Rzeczpospolita obsadzała placówki dyplomatyczne ambasad i konsulatów przedstawicielami arystokratycznych rodów, m.in. Raczyńskich, Krasińskich, Lubomirskich, Skrzyńskich czy Potockich. Dobre maniery, poczucie godności, ogłada, wszechstronne wy-

FOT. SHUTTERSTOCK; ZBIORY AAN

eprasa.pl 287b547067

kształcenie połączone ze znajomością języków, przywiązanie do sprawy polskiej i brak kompleksów czyniły z tej grupy ludzi mogących reprezentować nasz kraj na najwyższym poziomie. Ten rodzaj służby po studiach obrał również Stanisław Grocholski, obejmując jako młody dyplomata wskazaną przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych placówkę Konsulatu RP w Marsylii. Z dziewięciorga rodzeństwa Stanisława, z którego (poza nim) ośmioro służyło w Wojsku Polskim II RP i Armii Krajowej, wojnę przeżyło tylko pięcioro. Grocholscy tego pokolenia przelewali krew w czasie wojny obronnej 1939 r., w Charkowie, w powstaniu warszawskim i kazamatach Rakowieckiej.



Pałac Grocholskich w Pietniczanach według rysunku Napoleona Ordy

Orędownik sprawy polskiej

Po 1 września 1939 r. Stanisław Grocholski pełnił służbę dyplomatyczną, reprezentując dalej swój walczący kraj aż do upadku Francji. Po ewakuacji na Wyspy Brytyjskie dołączył natychmiast do Polskich Sił Zbrojnych jako oficer łącznikowy w Sztabie Naczelnego Wodza, służąc następnie w Wydziale Operacji Specjalnych (Special Operations Executive – SOE), zajmującym się organizacją wsparcia i zaopatrzenia dla ruchu oporu w Europie. W roku 1944 służył w 2. Pułku Pancernym PSZ. Z tego okresu zachowała się opinia służbowa: „[...] pełen entuzjazmu, zdrowego sensu i młodzieńczej wytrzymałości [...]" – okazanej podczas ratowania kolegów z płonącego czołgu pod ostrzałem nieprzyjaciela.

Przypieczętowany w Jałcie upadek Polski jako niepodległego kraju i zajęcie jej przez Sowietów zmusiły znaczną część wojennej polskiej emigracji do pozostania poza krajem. Stanisław Grocholski organizował pomoc dla polskiej ludności cywilnej i byłych wojskowych, inicjując opiekę społeczną w ramach „Catholic Council for Polish Welfare".

Niezgoda na stalinowskie kłamstwa i bezprawną okupację Polski wymagały szerszych działań.

W Londynie Stanisław Grocholski razem z ks. Stanisławem Bełchem, kapelanem WP i duszpasterzem akademickim, zaangażował się w budowę Fundacji Veritas, która miała się stać dziełem jego życia. Do grona jej organizatorów, w oparciu o założone podczas wojny Polskie Katolickie Stowarzyszenie Uniwersyteckie „Veritas", należeli wybitni działacze, jak inż. Wojciech Dłużewski, płk Adam Kosiba czy prof. Paweł Skwarczyński.

Działalność Veritas była wszechstronna, obejmowała opiekę nad polską młodzieżą, działalność wydawniczą, krzewienie kultury, promowanie sprawy polskiej i prawdy historycznej. Czyniono to we współpracy z instytucjami, takimi jak Catholic Union of Great Britain czy Friends of the Holy Father. Veritas wysyłała do kraju publikacje naukowe, wydawała zakazane w PRL przez cenzurę pozycje, wspierała studentów i emigrantów czasów Solidarności.

Stanisław Grocholski poświęcił Fundacji ponad cztery dekady swego życia, wspierając ją pracą, organizacją i własnym majątkiem, do 1988 r. będąc jej prezesem.



Życiorys Stanisława Grocholskiego to tysiące spotkań i wystąpień w służbie Polski

Château de Valduc

Jego belgijski dom Château de Valduc, który prowadził ze swoją żoną, Elisabeth z Jansenów, zwaną „Lolotte", stał się jednym z nieformalnych ośrodków życia Polonii. Wszystkie pokolenia polskiej emigracji najcięższych czasów komunizmu znajdowały tam schronienie i pomoc. W Valduc przedwojenne elity II RP łączyły się z emigracją Solidarności, a kombatanci Polskich Sił Zbrojnych i Armii Krajowej przekazywali wiedzę młodemu pokoleniu walczącemu z komunizmem. Dowodami potęgi wypracowanych tam kontaktów, pracy na rzecz konsolidacji środowisk polonijnych i budowania wspólnoty skupionej wokół odbudowy niepodległej Polski jako ważnej części Europy są przebogata korespondencja, druki, notatki i albumy zdjęciowe gromadzone skrupulatnie w archiwum.

Stanisław Grocholski doczekał owoców swej pracy, upadku systemu komunistycznego i podnoszenia się Polski do właściwej jej rangi europejskiego kraju.

Dzieło jego życia ma swoją kontynuację. Veritas działa dalej, a w zabezpieczaniu i przekazywaniu do zasobu Archiwum Akt Nowych bezcennych archiwaliów Stanisława Grocholskiego brał udział jego kuzyn z młodego pokolenia – Stefan Tompson-Baworowski, reżyser, przedsiębiorca i działacz społeczny w zakresie edukacji historycznej, jeden z orędowników budowy Trójmorza, który nie kryje w wywiadach inspiracji życiorysem swego wuja.

Rodziny dawnej Rzeczypospolitej potrafiły przetrwać najgorsze pożogi, a ich odpowiedzialność za losy kraju, budowana niegdyś na wałach pietniczańskiej warowni, w marsylskiej i londyńskiej placówce II RP czy w belgijskim Valduc, wraca do Polski po kilku pokoleniach emigracji z nową siłą.

eprasa.pl 287b547067



GRZEGORZ GÓRNY

Zapaść saska

Określenie „czasy saskie" weszło do piśmiennictwa polskiego jako synonim gnicia i wewnętrznej degrengolady Rzeczypospolitej. Nic w tym dziwnego: trwające niemal siedem dekad panowanie dwóch Augustów z dynastii Wettynów charakteryzowało się postępującym rozkładem państwa, by z czasem pozostawić je bezbronnym wobec rozbiorów.

To nie przypadek, że zapaści politycznej towarzyszyła nędza duchowa i moralna, zwłaszcza warstwy szlacheckiej. Rozpowszechnione były wśród niej pijaństwo i hulaszczy tryb życia. W kryzysie znalazło się pożycie rodzinne. Nieprzypadkowo Benedykt XIV dwukrotnie napominał Episkopat Polski, iż sądy kościelne w Rzeczypospolitej zbyt często i pochopnie wydają wyroki unieważniające związki małżeńskie. Z tego powodu groził im nawet odebraniem jurysdykcji w tych sprawach. W owym czasie zwiększył się również drastycznie ucisk chłopów przez szlachtę. Wymiar pańszczyzny wzrósł aż do sześciu dni w tygodniu z łana.

Ten kryzys miał swoje konsekwencje także w kulturze. Literaturoznawca Wacław Borowy, charakteryzując czasy saskie, pisał: „W całym tym okresie nie znajdujemy żadnego utworu większej miary. Nigdzie silniejszego natchnienia. Prawie nie ma nawet artystycznej literatury drugorzędnej. [...] Uderzający brak smaku, brak głębszego zainteresowania szerszym światem i jego twórczością". Czyż może więc dziwić, że nazwiska najbardziej znanych pisarzy i poetów tamtego okresu (Elżbiety Drużbackiej, Adama Ignacego Naramowskiego, Dominika Rudnickiego, Józefa Andrzeja Załuskiego czy Michała Olszewskiego) niewiele dziś mówią nawet miłośnikom literatury?

Regres dotknął także życie religijne. Zmalała liczba szkół parafialnych i obniżył się poziom edukacji. Dominowała obrzędowość uczuciowa i sentymentalna, najczęściej pozbawiona głębszej refleksji duchowej. Ówczesną religijność szlachty dobrze ilustruje napis wotywny, jaki kazał umieścić wojewoda pomorski Władysław Łoś w swym rodzinnym Narolu na figurze Chrystusa, wzniesionej w podzięce za uratowanie od utonięcia w rzece Tanwi: „Za grzeczność, że pan pana od śmierci wybawił, pan panu na pamiątkę ten pomnik postawił".



„Na Popasie" Józef Tadeusz Polkowski, 1859 r.

Na porządku dziennym były zabobony, magia i wróżby. Dochodziło do procesów czarownic przed sądami świeckimi, czemu sprzeciwiali się katoliccy hierarchowie, m.in. prymasi Czartoryski i Szembek. Kościół preferował inne metody, np. egzorcyzmy. Adam Moszczeński tak opisywał w swych pamiętnikach częste w czasach Augusta III sceny: „Na każdym odpuście w kościele widzieć można było opętanych, krzyczących głosem przeraźliwym i po kilku słowach mówiących różnymi językami, napastujących kobiety, które postraszone mdlały lub dostawały słabości; tu znów księży egzorcystów, zaklinających czartów opętanych do milczenia, a kiedy na nich kładli relikwie lub wodą święconą kropili, niesłychany krzyk i jęk, i ryk wydawali, i w ciele kontorsje i łamaniny robili".

W tamtym czasie Kościół w Polsce nie wydał żadnego wielkiego przywódcy duchowego na miarę Jakuba Świnki, Mikołaja Trąby czy Stanisława Hozjusza. Biskupi nie mówili w sprawach publicznych jednym głosem, lecz opowiadali się za różnymi partiami magnatów, a nawet za wrogimi mocarstwami. Nie potępiali niemoralnych praktyk, lecz sami często w nich uczestniczyli. Historyk Szymon Askenazy pisał np. o prymasie Janie Lipskim: „Człowiek małego serca, równie małej świątobliwości [...], bez żadnych podstaw moralnych, intrygant, karciarz i smakosz, który bawiąc się, robiąc politykę, robiąc przede wszystkim własną karierę [...], dawał gorszący przykład nieposzanowania dla wysokiej godności Księcia Kościoła i podniosłych obowiązków duszpasterza". Podobnych przypadków wśród wyższego duchowieństwa było niestety więcej.

Niemal sto lat później, oceniając postawę hierarchów katolickich w XVIII stuleciu, biskup Ludwik Łętowski napisał, iż na ścianie widniał już napis „mane, tekel, fares", lecz polscy dostojnicy nie potrafili go dostrzec lub odczytać. Tak oto kryzys duchowy i moralny Kościoła pociągał za sobą kryzys społeczeństwa, narodu i państwa.

FOT. LIGIER PIOTR/MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Autopromocja

eprasa.pl 287b547067

NAJTANIEJ
I Z PREZENTEM!





ROCZNA PRENUMERATA PAKIETU:

tygodnik SIECI
+ magazyn wSIECI HISTORII
ponad **38% taniej**
i zawsze z atrakcyjną
książką w prezencie

ZAMÓW JUŻ DZIŚ!

tel. 22 616 36 00 | prenumerata@fratria.pl
www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

eprasa.pl 287b547067



Dragon królewskiej chorągwi, XVII w.

AKT PRZEMOCY I SAMOWOLI MÓGŁBY BYĆ PRZYCZYNĄ JEDNOZNACZNIE NEGATYWNEJ OCENY TEJ HISTORYCZNEJ POSTACI, GDYBY NIE INNE WZMIANKI, JAKIE POZOSTAŁY W ŹRÓDŁACH HISTORYCZNYCH NA JEJ TEMAT

REMIAN JELEC – NIEDOSZŁY FUNDATOR



HENRYK LITWIN

Niejaki Łukasz Piotrowski, woźny województwa kijowskiego, 18 czerwca 1643 r. złożył w księgach grodzkich żytomierskich skargę na Remiana Jelca w związku z okolicznościami próby doręczenia pozwu ojcu Remiana, Fedorowi chorążemu kijowskiemu w sprawie o zbiegłych poddanych. Kiedy Piotrowski przybył do dworu Jelców, Remian odebrał mu pozew i przymusił woźnego do zjedzenia dokumentu, po czym rozkazał służbie, by nieszczęśnika pobić i wrzucić do stawu. Scenka nierzadka w dziejach szlacheckiego „obrotu prawnego", dość emblematyczna, by jej wzorzec trafił do „Pana Tadeusza" („nad Woźnego głową trzymał goły rapier/ Krzycząc: Albo Cię zetnę, albo zjedz swój papier").

Z prawosławnego i starego rodu

Remian czy też Remigian Jelec, bo obie te wersje jego imienia odnajdujemy w źródłach, szczycił się przynależnością do rodu, który był od wieków związany z ziemią kijowską i spokrewniony z kniaziami Glińskimi. Jelcowie byli przez pokolenia wyznawcami i opiekunami prawosławia, a ich rodowa kaplica grobowa mieściła się w najważniejszej chyba świątyni wschodniego chrześcijaństwa w Rzeczypospolitej – cerkwi Uspieńskiej w Ławrze Peczerskiej. Tam złożono doczesne szczątki

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl 287b547067

dziada Remiana – Dymitra, pisarza ziemskiego kijowskiego; oraz stryjów – Iwana, Filona i Konstantego. Fedor Jelec, ojciec Remiana, pozostał wierny prawosławiu i był w województwie kijowskim niezwykle ważną postacią. W latach 1619–1628 sprawował urząd podwojewodziego kijowskiego z nominacji wojewody Tomasza Zamoyskiego i faktycznie zastępował w czynnościach permanentnie nieobecnego nad Dnieprem dygnitarza. W 1621 r. został uhonorowany prestiżowym urzędem ziemskim – chorążego kijowskiego. Po awansie Zamoyskiego w roku 1628 na urząd podkanclerzego koronnego Fedor Jelec pozostał w ścisłym gronie „przyjaciół" pana na Zamościu, ale był też bliskim współpracownikiem kolejnych wojewodów i jednocześnie swoich szwagrów – Aleksandra kniazia Zasławskiego, który tytułował go w swych listach „mój miłościwy panie i powinny", oraz Janusza Tyszkiewicza. Przez małżeństwo z Dorotą z Marcinkowa Baranowską, bratanicą prymasa Wojciecha (zmarłego w 1615 r.), Fedor związał się z katolicką elitą koronną, ale pozostał jednocześnie liderem środowisk dyzunickich, zachowując przyjazne stosunki z nieuznawanym przez króla metropolitą kijowskim Hiobem Boreckim, a potem z całkowicie już legalnym metropolitą Piotrem Mohyłą. Chorąży kijowski dysponował znacznym majątkiem, ciesząc się przyjaźnią i poparciem znacznej części lokalnej elity szlacheckiej.

Służba Ojczyźnie

Remian, jego jedyne dziecko, urodził się zapewne w drugim dziesięcioleciu XVII w. Jako nastolatek trafił w 1628 r. „na nauki" do Akademii Zamoyskiej, jak wielu innych młodzieńców z zamożnych ruskich rodów szlacheckich z Kijowszczyzny. Nie dysponujemy świadectwami obrazującymi tok jego studiów, ale zapewne opuścił mury uczelni, nie uzyskując formalnego dyplomu w 1630 lub 1631 r. W marcu 1632 r., na ostatnim sejmie w czasach panowania Zygmunta III, Remian Jelec pojawił się w roli posła województwa kijowskiego. Miał wówczas nie więcej niż 22 lata i nie posiadał jeszcze własnego majątku ziemskiego, więc wybór zawdzięczał bez wątpienia pozycji i prestiżowi ojca, który najwyraźniej sposobił syna do wielkiej kariery. Działalność polityczna miała być jej ważnym fundamentem, ale nie mniej istotnym stać się miała aktywność wojskowa. Na wyprawę smoleńską nowego króla Władysława IV Remian stawił się z własną chorągwią „petyhorską" w sile 120 koni. W diariuszu tej kampanii zapisano, iż 27 września 1633 r. „Pan Czarnecki (Paweł, brat słynnego Stefana) i Pan Jelec [...], dla dostania języków wyprawieni [...], napadłszy na nieprzyjaciela, z nim się podkali i pod sto Moskwy położywszy, sześciu języków przyprowadzili". Nie była to zapewne jedyna pomyślna „impreza" Jelca w czasie tej wojny, po zakończeniu kampanii czekały go bowiem królewskie „fawory". W 1635 r. został mianowany królewskim rotmistrzem oraz otrzymał przywilej upoważniający go do wykupienia starostwa owruckiego z rąk Samuela Łaszcza w nagrodę za „zasługi w dziełach wojskowych", a w szczególności oddane „w czasie ekspedycji moskiewskiej", jak świadczy dokument wpisany do Metryki Koronnej. W kolejnych latach Remian Jelec „z konia nie zsiadał" i brał udział w kampaniach przeciw rebeliom kozackim w latach 1635–1638. Udzielał się też w służbie publicznej, będąc m.in. członkiem powołanej przez sejm 1638 r. komisji do spraw rozgraniczenia województw kijowskiego i czernihowskiego.

Rodzinne stronnictwo katolicko-prawosławne

Pan chorąży kijowski zapewne jeszcze przed posłowaniem na sejm 1632 r. przeszedł na katolicyzm. Było to z pewnością związane z wychowaniem przez matkę, Dorotę z Baranowskich. Nie prowadziło to jednak do zerwania więzów z pozostającym przy prawosławiu ojcem. Fedor i Remian stanowili nieprzerwanie zwarte rodzinne „stronnictwo", o czym świadczyć może to, że ojciec zabiegał o „przejęcie" przez syna urzędu chorążego kijowskiego, co stało się faktem po rezygnacji Fedora z chorąstwa w roku 1646 (wydarzenie niezwykle rzadkie w epoce dożywotniego sprawowania urzędów ziemskich) i nominacji królewskiej dla Remiana. Najwyraźniej w odczuciu obu Jelców akces do katolicyzmu nie stanowił sprzeniewierzenia się więziom rodzinnym i poczuciu wierności ruskim tradycjom. Potwierdza to niezwykle ciekawe źródło zachowane w watykańskim archiwum jezuitów. Jest nim list Remiana Jelca z 1647 r. (bez daty dziennej) skierowany do generała zakonu jezuitów Wincentego Caraffy. Chorąży kijowski informuje w nim o planie powołania do życia katolickiego uniwersytetu w Ksawerowie, w województwie kijowskim. W miejscowości tej funkcjonowała od 1632 r. rezydencja jezuicka ufundowana przez Aleksandra Jelca, brata stryjecznego Remiana, który wstąpił do jezuitów i pod imieniem Ignacy działał w ich szeregach. Przypadły mu po ojcu, Filonie, majątek zapisał zakonowi i uposażył nim nowo powstałą placówkę. W roku 1647 powstało w Ksawerowie kolegium, którego program nauczania obejmował humaniora i retorykę. Ambicje Jelców były jednak znacznie większe, jak wskazuje przywołany wyżej list Remiana. Wynika z niego, że ksiądz Ignacy powołał stryjecznego brata „do ofiary i modlitw spolnego uczestnictwa" w fundacji i razem zamyślili w Ksawerowie utworzyć uniwersytet. Najbardziej interesujące jest uzasadnienie tej intencji. Remian wyjaśnia bowiem Caraffie, że celem braci jest, by „w tych Państwach Ruskich te altiora studia młódzi naszej ruskiej »

LIST DOWODZI, IŻ RUSKI PATRIOTYZM W RZECZYPOSPOLITEJ MÓGŁ MIEĆ TAKŻE OBLICZE KATOLICKIE, A ŚWIADOMOŚĆ ISTNIENIA „TRZECIEGO NARODU" W PAŃSTWIE POLSKO-LITEWSKIM BYŁA POD KONIEC PIERWSZEJ POŁOWY XVII w. UGRUNTOWANA

eprasa.pl 287b547067



Bitwa pod Beresteczkiem

FOT. ARCHIWUM

» tłumaczyć". W takim przedsięwzięciu Jelcowie widzieli bowiem „świętszą sławę domostwa naszego, a nie mnieyszą przysługę u Pana Boga i Rzeczypospolitej".

Polski językiem komunikacji

Co ciekawe, list został napisany po polsku i w takiej wersji trafił „na biurko" generała jezuitów. Najwyraźniej chorąży kijowski uznał, że język ten jest dobrym instrumentem komunikacji z Rzymem, co zresztą nie było wyjątkiem w korespondencji magnatów z Rzeczypospolitej z zakonną „centralą". W archiwum jezuitów przechowywane są bowiem także listy z tej samej epoki pisane po polsku przez Adama Aleksandra Sanguszkę, Jeremiego Wiśniowieckiego i Annę z Ostrogskich Chodkiewiczową. Trzeba tu podkreślić, że takie postępowanie na pewno nie wynikało z nieznajomości łaciny, którą absolwent Akademii Zamoyskiej musiał się posługiwać bardzo sprawnie. Warto przy tym zaznaczyć, że Remian Jelec daleki jest w swej korespondencji od jakiejkolwiek uniżoności. Pisze z głębokim poczuciem własnej wartości, dumy rodowej i znaczenia swej koncepcji dla Kościoła oraz Rzeczypospolitej. Wobec trudności, na jakie napotyka inicjatywa Jelców ze strony polskiego prowincjała jezuitów, Remian „szachuje" generała perspektywą zwrócenia się do innego zakonu o zaangażowanie w realizację wielkiego planu, kończąc swój list słowami: „Bo i onego rozumiem, że to musiałoby znacznie pomieszać, żebym na co inszego podpisać się rozmyślił".

List jest niewątpliwym dowodem poczucia obywatelskiej powinności oraz patriotyzmu odnoszącego się synergicznie do tradycji ruskiej i obowiązku wobec Rzeczypospolitej i Kościoła. Ukazuje nam kijowskiego szlachcica, którym kieruje rodowa duma, ale też świadomość znaczenia, jakie dla ojczyzny małej, wielkiej i uniwersalnej ma edukacja młodego pokolenia oraz kształtowanie postaw obywatelskich. Dowodzi, iż ruski patriotyzm w Rzeczypospolitej mógł mieć także oblicze katolickie, a świadomość istnienia „trzeciego narodu" w państwie polsko-litewskim była pod koniec pierwszej połowy XVII w. ugruntowana. Nie od rzeczy będzie zaznaczyć, że list został napisany rozwiniętą i bogatą polszczyzną, a pełna znaków diakrytycznych ortografia wyróżnia autora wśród wielu innych twórców epistolografii tej epoki.

Pogrzebane plany

Wielki plan Jelców nie doczekał się niestety realizacji. Wiosną kolejnego, 1648 r. wybuchło powstanie Chmielnickiego i zniweczyło zamierzenia chorążego kijowskiego oraz jego stryjecznego brata. W pierwszych tygodniach wojny kozackiej i rebelii ludowej zginął tragicznie Fedor Jelec. Ruski i prawosławny kronikarz tej epoki Joachim Jerlicz zapisał w swej „Kroniczce...": „W tychże czasach w jesieni Pana Teodora Jelca, dla zarażenia paraliżem niemogącego uciekać z domu, chłopi właśni naszedłszy w majętności jego własnej zabili, a napotem z dworem spalili". Nieco wcześniej w czerwcu 1648 r. „inkursja kozacka" zdemolowała rezydencję jezuicką w Ksawerowie, a 1 sierpnia oddział kozacki „po strasznej męce ściskania głowy wiciowym powrozem" zasiekł szablami braci Walentego Stępocyusza i Adama Panderkiewicza. Koncepcja trzech narodów szlacheckiej Rzeczypospolitej legła w gruzach wobec pojawienia się lekceważonego wcześniej podmiotu ruskiej tożsamości, jakim była Kozaczyzna oraz w obliczu nieokiełznanej rebelii chłopstwa.

Remian Jelec pozostał wierny własnemu widzeniu wierności Rusi. Był dowódcą jednego z oddziałów wystawionych w roku 1648 przez województwo kijowskie w obliczu rebelii. Brał udział we wszystkich walkach wojny kozackiej w kolejnych latach. Działał pod dowództwem Jeremiego Wiśniowieckiego i w bitwie beresteckiej (1651) dowodził chorągwią pozostającą w składzie dywizji kniazia. Nie wrócił już chyba nigdy do swych „dziedzin" na Kijowszczyźnie. Zmarł w 1658 r. i dopiero jego synowie Jan Wacław i Michał Teodor upominali się w latach 60. XVII w. o ojcowską schedę nad Dnieprem. Swoje domostwa przenieśli jednak do ziemi sanockiej i przemyskiej i tam wypełniła się historia rodu kijowskich Jelców, kiedy w 1722 r. zmarł bezdzietnie wnuk Remiana, podczaszy przemyski Antoni.

eprasa.pl 287b547067

W SĄDZIE Z KRZYŻAKAMI

PROCES W INOWROCŁAWIU I BRZEŚCIU KUJAWSKIM WYTOCZONY ZAKONOWI KRZYŻACKIEMU W LATACH 1320–1321



FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

SĘDZIOWIE ROZPATRYWALI SKARGĘ WNIESIONĄ PRZEZ KRÓLA POLSKI NA KRZYŻAKÓW O BEZPRAWNE ZAJĘCIE I SPRAWOWANIE WŁADZY NA POMORZU. WŁADYSŁAW ŁOKIETEK DOMAGAŁ SIĘ ZWROTU POMORZA I DOCHODÓW POBRANYCH PRZEZ ZAKON OD 1309 r. »

epress.pl 2705547067



MACIEJ MACIEJOWSKI

Początek XIV w. należy do szczególnie burzliwych okresów w dziejach Polski. W 1306 r., po nieoczekiwanym wygaśnięciu czeskiej dynastii Przemyślidów, polską schedę po nich przejął Władysław Łokietek, ambitny i zdeterminowany przedstawiciel kujawskiej linii Piastów. Od tego momentu utrzymał on ciągłość swojej władzy w Małopolsce, na Kujawach i ziemi sieradzko-łęczyckiej. W 1314 r. objął także rządy w niechętnej mu dotąd Wielkopolsce. Jego celem było ponowne zjednoczenie ziem polskich po okresie rozbicia dzielnicowego. Koronację królewską na Wawelu 20 stycznia 1320 r. uznać wypada za symboliczne zamknięcie wspomnianej epoki i osobisty sukces Władysława Łokietka. Dotkliwym ciosem dla władcy i Królestwa Polskiego była natomiast utrata Pomorza Wschodniego.

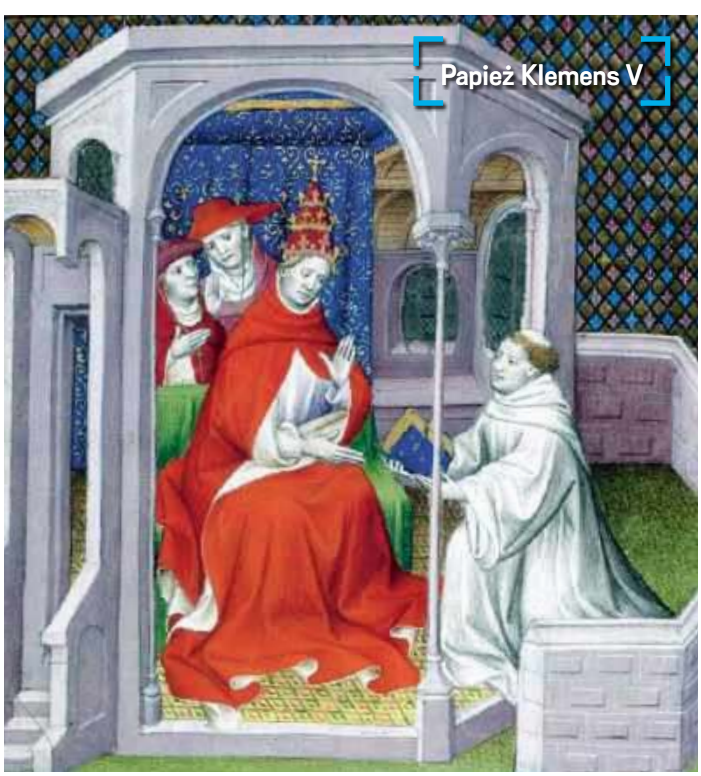
Podbój Pomorza i jego konsekwencje

Podbój powyższych ziem dokonany przez zakon krzyżacki w latach 1308–1309 wykazał wyższość militarną i organizacyjną agresorów. Przyczyn porażki upatruje się obecnie nie tylko w przewadze zbrojnej Krzyżaków. Wskazuje się również na działalność opozycji antyłokietkowej w Małopolsce odciągającej księcia Władysława od spraw pomorskich czy też zaangażowanie kujawskiego Piasta w sprawy ruskie. Pewną rolę odegrały dodatkowo jeszcze dwie sprawy: zlekceważenie kwestii Pomorza przez elity małopolskie – nadające polityczny ton w otoczeniu Łokietka – oraz mizerny ówcześnie stan książęcego skarbca. Utrata Pomorza osłabiła Polskę pod względem terytorialnym, demograficznym oraz ekonomicznym. Dla Krzyżaków zabór Pomorza, po usunięciu polskich i brandenburskich konkurentów, stanowił natomiast zwieńczenie realizacji planów stworzenia własnego państwa nad Bałtykiem. Nie przypadkiem właśnie w 1309 r. przeniesiono stolicę zakonu z Wenecji do przygotowywanego od dłuższego czasu do tej roli Malborka.

Brak dostatecznych sił i środków uniemożliwił szybką rewindykację Pomorza. Próby rokowań i wniesienie skargi do kurii papieskiej w Awinionie również nie przyniosły zmiany stanu rzeczy. Informacje o krzyżackim podboju Pomorza i jego okolicznościach udało się jednak stronie polskiej nagłośnić w Europie. Za sprawą wspólnej interwencji arcybiskupów: Rygi Fryderyka von Pernsteina oraz Gniezna Jakuba Świnki, papież Klemens V wydał 19 czerwca 1310 r. bullę, w której znalazł się fragment o szczególnie niebezpiecznym wydźwięku dla zakonu. W bulli była mowa, że Krzyżacy wtargnęli do ziemi „[...] umiłowanego Syna, szlachetnego męża Władysława, księcia Krakowa i Sandomierza, zabijając w Gdańsku ponad 10 tysięcy ludzi, w tym niemowlęta w kolebkach płaczące, które oszczędziłby nawet nieprzyjaciel wiary". Papież nakazywał sprawdzić, czy jest to prawda.

Liczba ofiar „rzezi Gdańska" została mocno zawyżona (według ustaleń współczesnych historyków przynajmniej dziesięciokrotnie), jednak brutalna agresja zakonu pozostaje faktem. Krzyżacy dokonali, wbrew swojej pierwotnej misji, którą była walka z poganami, podboju dużego terytorium dawno schrystianizowanego. Sprawa Pomorza była podnoszona przy okazji starań koronacyjnych w Awinionie przez kolejnych metropolitów gnieźnieńskich Borzysława i Janisława. Stosunki z zakonem były do tego stopnia napięte, że abp Janisław jesienią 1318 r. przewiózł część skarbca katedralnego z Gniezna do małopolskiego zamku w Chęcinach. W sprawach Pomorza obie strony zajmowały nieugiętą postawę. Skupowanie po 1309 r. przez Krzyżaków licznych majątków ziemskich od lokalnego rycerstwa i Kościoła na Pomorzu świadczy o odrzuceniu myśli o zwrocie Piastom powyższego terytorium.

Kolejny polski dyplomata w Awinionie, biskup włocławski Gerward, zdołał skłonić papieża Jana XXII do mianowania sędziów w przygotowywanym przez stronę polską procesie przeciw zakonowi. W bulli papieskiej z 11 września 1319 r. został postawiony Krzyżakom zarzut, iż powołani niegdyś przez księcia Konrada do obrony wiary chrześcijańskiej i przezeń uposażeni, nasycili niewdzięcznością jego wnuka Władysława Łokietka, wydzierając mu Pomorze, należące do diecezji włocławskiej, która leży w granicach Królestwa Polskiego. Ponadto biskup włocławski zręcznie zwrócił uwagę papieża na niepłacenie przez Krzyżaków świętopietrza z Pomorza. Z antykrzyżacką akcją Gerwarda prawdopodobnie łączyć należy mianowanie przez papieża sześciu notariuszy dla diecezji włocławskiej. W perspektywie nieodległych już procesów w Inowrocławiu i Brześciu Kujawskim było to niewątpliwie uzasadnione posunięcie.



Papież Klemens V

FOT. GALLICA.BNF.FR

Początek procesu

Sędziami w procesie, który rozpoczął się 14 kwietnia 1320 r. w kaplicy kościoła św. Mikołaja w Inowrocławiu, byli arcybiskup gnieźnieński Janisław, biskup poznański Domarat oraz Mikołaj, opat klasztoru benedyktynów, w leżącym blisko granicy Ku-

eprasa.pl 287b547067

jaw wielkopolskim Mogilnie. Trzy tygodnie wcześniej świeżo koronowany król Władysław Łokietek wyznaczył w Sandomierzu prokuratorów mających go reprezentować. Byli to duchowni wykształceni w zakresie prawa kanonicznego: kanclerz wielkopolski Filip z Miłosławia, podkanclerzy krakowski Zbigniew ze Szczyrzyca oraz kapelan królewski i kanonik w Rudzie Jan Bródka. Wszyscy wymienieni należeli do ścisłego grona stronników polskiego władcy. Wzmocnieniu politycznej pozycji Janisława służyło uprzednie ustanowienie arcybiskupa starostą królewskim w Wielkopolsce i na Kujawach. Był on też w tym czasie generalnym kolektorem świętopietrza na ziemiach polskich.

Sędziowie w trakcie procesu rozpatrywali skargę króla Polski o wyrzucenie go przemocą z Pomorza i bezprawne sprawowanie rządów w tej ziemi przez zakon. Władysław Łokietek domagał się od wielkiego mistrza oraz trzech komturów pomorskich z Gdańska, Gniewu i ze Świecia zwrotu Pomorza i dochodów pobranych przez zakon od 1309 r., które król szacował na 30 tys. grzywien polskich, oraz pokrycia kosztów procesu. Pełnomocnik zakonu w Inowrocławiu duchowny krzyżacki Zygfryd z Papowa rozpoczął obronę od zarzutu stronniczości sędziów blisko związanych z królem Polski. Zażądał również odroczenia procesu do Bożego Narodzenia, w celu umożliwienia mu konsultacji z wielkim mistrzem i kapitułą generalną. Była to strategia gry na czas mająca umożliwić zakonowi interwencję w Awinionie. Sędziowie skrócili postulowany termin do 9 lipca.

Zeznania świadków

W międzyczasie, 30 maja 1320 r., w Brześciu Kujawskim sędziowie rozpoczęli przesłuchania 25 świadków. Wśród nich byli książę płocki Wacław oraz książęta kujawscy Leszek i Przemysław, biskupi włocławski Gerward oraz płocki Florian. Ponadto zeznawali w porządku hierarchicznym: prałaci kapituł katedralnych, urzędnicy ziemscy, kanonicy katedralni i kolegiaccy, duchowieństwo parafialne, rycerze i mieszczanie. Przed przesłuchaniem świadkowie oświadczyli, że nie działają pod wpływem strachu, nienawiści lub sympatii. W odniesieniu do świadków świeckich zapytania były tłumaczone z łaciny na język ojczysty. Świeccy świadkowie składali przysięgę na krzyż święty, duchowni na Ewangelię. Przesłuchania odbywały się oddzielnie i w ścisłej tajemnicy. Świadkowie zostali zobowiązani do odpowiedzi krótkim potwierdzeniem bądź zaprzeczeniem, mogli też swoje stanowisko uargumentować bardziej szczegółowo.

Sędziów interesował w pierwszej kolejności stan prawny posiadania Pomorza w momencie poprzedzającym krzyżacki podbój, a więc sprawowanie jurysdykcji przez Władysława Łokietka na powyższym terytorium oraz okoliczności jego utraty. Obszerne i rzeczowe zeznanie złożył biskup włocławski Gerward, który określił m.in. listopadowe wydarzenia w Gdańsku w 1308 r. jako „wielką rzeź" (strage magna). Opisał również zdobycie innych czołowych ośrodków Pomorza: Tczewa i Świecia. Gerward zaznaczył, że Krzyżacy podbili Pomorze w momencie, gdy polski władca walczył z ruskimi schizmatykami. Okrucieństwa krzyżackie eksponował w podobny sposób książę kujawski Leszek. Dużo bardziej wstrzemięźliwi w opiniach (choć nie w antyłokietkowym duchu) byli natomiast książę płocki Wacław i biskup płocki Florian, reprezentujący Mazowsze niepodlegające władzy Władysława Łokietka. Ich orientacja w dużej mierze uwarunkowana była zagrożeniem ze strony agresywnej pogańskiej Litwy, które zneutralizować w tym czasie mógł przede wszystkim zakon krzyżacki.

Sporo szczegółów dotyczących zaboru Pomorza dostarczył mieszczanin brzeski Tylon, który wspomniał o 60 rycerzach i mieszczanach oraz niezliczonej ilości „ludu" zabitych w Gdańsku przez Krzyżaków. Tylon wspomniał ponadto, że widział w Brześciu uciekinierów z Pomorza w opłakanym stanie. Rycerze kujawscy i pomorscy zeznawali, że rycerze lojalni wobec Łokietka po 1309 r. byli rugowani ze swoich dóbr pomorskich przez Krzyżaków. Z kolei Henryk, proboszcz z Miłobędza pod Tczewem, przedstawił apokaliptyczną wizję psów chłepczących ludzką krew w Gdańsku oraz podał przykłady mordowania przez Krzyżaków pojedynczych rycerzy szukających schronienia na wieży kościelnej bądź u spowiedników. Zeznania wszystkich świadków nie były ze sobą sprzeczne, lecz uzupełniały się wzajemnie. Warto dodać, że ofiarami krzyżackiego pogromu w Gdańsku byli głównie polscy rycerze oraz mieszczanie sympatyzujący z Brandenburgią, wywodzący się głównie z północnych Niemiec.

Linia obrony Krzyżaków i zakończenie procesu

Zygfryd z Papowa i wspierający go inny duchowny krzyżacki, proboszcz kościoła św. Jana w Toruniu doktor dekretów Fryderyk, przede wszystkim dążyli do podważenia wiarygodności procesu pod względem formalnym, nie zaś merytorycznym. Krzyżaccy prokuratorzy wskazywali na stronniczość sędziów, politycznie blisko związanych z Władysławem Łokietkiem. Próbowali również dowieść, że Pomorze nigdy nie należało do króla Polski ani jego przodków. Wskazywali, że po śmierci ostatniego władcy Pomorza Wschodniego wywodzącego się z lokalnej dynastii Sobiesławiców Mściwoja II (+1294 r.) rządy na tym terytorium przeszły w ręce króla czeskiego Wacława II, a następnie Brandenburczyków, od których nabyli je Krzyżacy. Pominięcie legalnych rządów na Pomorzu Przemysła II (1294–1296) oraz Władysława Łokietka (1296–1300, 1306–1308/1309) było ewidentnym zafałszowaniem praw Piastów na powyższym obszarze.

W dniach 9–10 lutego 1321 r. odbyło się w Inowrocławiu ostatnie posiedzenie procesu polsko-krzyżackiego. Sędziowie nie uznali argumentów krzyżackich. Zakon krzyżacki został skazany na zwrot zagarniętego przemocą Pomorza i zapłacenie 30 tys. grzywien polskich oraz 150 grzywien groszy praskich jako kosztów procesowych. W trakcie ogłaszania wyroku przez notariusza Bogusława, a następnie arcybiskupa Janisława, doktor Fryderyk w arogancki sposób równocześnie odczytywał treść krzyżackiej apelacji.

Wyrok, który zapadł równo 700 lat temu w Inowrocławiu, pozostał na papierze. Na skutek apelacji krzyżackiej w Awinionie ugrzązł w meandrach papieskiej biurokracji. Proces inowrocławsko-brzeski pozostał jednak świadectwem konsolidacji ówczesnych elit Królestwa Polskiego wokół jednej z najistotniejszych kwestii państwa, jaką było odzyskanie Pomorza. Profesor Krzysztof Ożóg zwraca uwagę, że w procesie wzięło udział aż 13 intelektualistów, duchownych wykształconych w zakresie prawa kanonicznego i rzymskiego wywodzących się z kręgu kapituł katedralnych Gniezna, Poznania i Włocławka. W wyniku braku możliwości wyegzekwowania treści inowrocławskiego wyroku Władysław Łokietek rozpoczął przygotowania do orężnego rozstrzygnięcia konfliktu z Krzyżakami i zacieśniania politycznych sojuszy.

eprasa.pl 287b547067

UJŚCIA
OBRAZ PRAWDZIWY

W HISTORII POLSKIEJ WOJSKOWOŚCI WYDARZENIEM PRZEŁOMOWYM JEST KAPITULACJA WOJSKA POLSKIEGO PRZED SZWEDAMI POD UJŚCIEM 25 LIPCA 1655 r. NA TĘ NARRACJĘ SKŁADA SIĘ JEDNAK WIELE MITÓW I PÓŁPRAWD



„Bitwa pod Ujściem" Erik Dahlbergh

FOT. ERIK DAHLBERGH/MUZEUM-POLSKIE.ORG



BARTOSZ STARĘGOWSKI

Wydarzenie to uznaje się za początek II wojny północnej, którą król szwedzki Karol Gustaw rozpoczął zwycięskim pochodem w głąb Korony Królestwa Polskiego, zatrzymanym dopiero pod murami częstochowskiego klasztoru.

Kapitulacja pod Ujściem, podobnie jak układ w Kiejdanach zawarty przez Radziwiłłów długo funkcjonowały jako przykłady zdrady narodowej, słabości ówczesnych elit oraz układów, które godziły w żywotne interesy państwa. Po latach dzięki najnowszym ustaleniom historyków udało się nieco krytyczniej spojrzeć na oba wydarzenia. Zajmijmy się bliższym nam Polakom Ujściem. Aby wyjaśnić wszystkie newralgiczne kwestie dotyczące początku „potopu", warto przeanalizować genezę konfliktu, gdyż to w niej tkwi klucz do zrozumienia niezwykle skomplikowanej sytuacji.

Zagrożenie, które zlekceważono

Lata 1654–1655 nie były najszczęśliwsze dla Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Państwo uwikłane w wojnę z Rosją i Kozakami na froncie wschodnim coraz bardziej traciło swoje siły i zasoby. Mimo ważnego zwycięstwa pod Ochmatowem

eprasa.pl 287b547067

w 1654 r. nie udało się uzyskać znaczącej przewagi w toczącym się konflikcie. Wobec takiego przebiegu zdarzeń uwaga ośrodka królewskiego skupiona była głównie na wschodnim teatrze działań. Całkowicie zlekceważono wszelkie inne zagrożenia.

Tymczasem na sesjach szwedzkiego Riksdagu gorąco debatowano nad kierunkiem aktywności zbrojnej. Armię szwedzką, która przez wiele lat uczestnictwa w wojnie 30-letniej nawykła do grabieży, trzeba było koniecznie zająć, najlepiej kolejnym konfliktem. W przeciwnym razie grabieże mogły dotknąć własnych obywateli. Rozważano dwa kierunki uderzenia: moskiewski i polski. Część szwedzkich kół politycznych optowała za zaatakowaniem Moskwy we współpracy z Rzecząpospolitą, jednak ostatecznie zdecydowano się obrać kierunek polski. Powodem była nieuregulowana kwestia korony szwedzkiej, do której pretensje rościli sobie polscy Wazowie, oraz sprawa przynależności Inflant. Kilka nerwowych incydentów w Inflantach, nienależyte potraktowanie misji poselskiej Jana Andrzeja Morsztyna oraz ogólne nastawienie szwedzkiej dyplomacji zwiastowały wybuch konfliktu. Jan Kazimierz jednak nie dawał wiary tym rewelacjom.

Tymczasem do wysokich dygnitarzy wielkopolskich docierały niepokojące informacje. Dzięki kontaktom z baronem Władysławem Kurtzbachem-Zawadzkim, radcą kameralnym Marchii Brandenburskiej, elity wielkopolskie w osobach m.in. Bogusława Leszczyńskiego, Krzysztofa Opalińskiego i Jana Leszczyńskiego dysponowały informacjami o kierunkach polityki Królestwa Szwecji. Tym samym wiedziały o zamiarach ewentualnej wojny. Pozyskanie tej wiedzy od barona Zawadzkiego było możliwe dzięki korespondencji, jaką utrzymywał Karol Gustaw z elektorem brandenburskim Fryderykiem Wilhelmem.

12 marca 1655 r. na zjeździe senatorów w Warszawie delegacja wielkopolska, w której znaleźli się obaj Leszczyńscy i Krzysztof Opaliński, próbowała przekonać króla o zagrożeniu i skłonić go do podjęcia decyzji zorganizowania pomocy dla Wielkopolski, która stałaby się pierwszym celem w przypadku szwedzkiej agresji. Ten jednak nie dał wiary ich zapewnieniom, a na dodatek zarzucił im tchórzostwo i brak rozeznania politycznego. Niezadowoleni z obrotu spraw na zjeździe politycy wielkopolscy powrócili do domów i zorganizowali sejmik ziemski.

28 kwietnia 1655 r. odbył się zjazd, na którym zapadły decyzje odnośnie do obrony prowincji. Ze względu na stanowisko królewskie oba województwa wielkopolskie – poznańskie i kaliskie – zadecydowały, że będą się bronić same przy użyciu środków, które były dla nich dostępne. Plan zakładał powołanie wszystkich możliwych formacji zbrojnych samorządu szlacheckiego, czyli wojska powiatowego, pospolitego ruszenia i piechoty łanowej. Wyznaczono też miejsce obrony, które miało się oprzeć na brzegach rzeki Noteć i trzech punktach: Piła–Ujście–zamek wieleński. Jedyna kontrowersja dotyczyła werbunku wojska powiatowego, który odbywać się miał na terenie Marchii Brandenburskiej.

Z tymi postanowieniami wysłano posłów na sejm walny. W tym samym czasie do króla dotarł list od szwedzkiej Rady Państwa, w której zawarto żądania skierowane do strony polskiej. W przypadku ich niespełnienia Szwecja miała wypowiedzieć wojnę. Dotyczyły one zrzeknięcia się praw do korony przez Jana Kazimierza i zwrotu Inflant. Król oczywiście nie miał zamiaru ustąpić, ale list wreszcie uświadomił mu zagrożenie szwedzkie. Wobec takiego stanu rzeczy zdecydowano się podzielić armię na dwie części, jedna miała dalej walczyć na froncie wschodnim, a druga wesprzeć Wielkopolan pod Ujściem. Ostatecznie wsparcie dla Wielkopolski okazało się wręcz symboliczne. Można nawet powiedzieć, że spowodowało pewne problemy, o których będzie mowa w dalszej części tekstu. Istotne jest natomiast to, że król zatwierdził plan obrony Wielkopolski uchwalony na sejmiku w Środzie pod koniec kwietnia. Zatem wszystko, co się tyczy zatrzymania Szwedów, pozostawało w rękach Wielkopolan.

Militarne aspekty obrony Ujścia

Pozostawieni sami sobie mieszkańcy Wielkopolski właściwej rozpoczęli przygotowania do obrony. Szybko wyjaśniła się sprawa wojska powiatowego werbowanego na obszarze Marchii. Zaporowe warunki elektora domagającego się obsadzenia twierdz przygranicznych oraz skandal z jego szpiegiem Jakubem Holstem wpłynęły na decyzję o zerwaniu współpracy z Fryderykiem Wilhelmem. Tym samym odpadało istotne ogniwo w planie obronnym. Zbieranie się pospolitego ruszenia oraz gromadzenie żołnierzy łanowych szło niezwykle opieszale. Wynikało to jednak nie tyle z braku wojowniczości Wielkopolan, podkreślanego często jako powód klęski, ile z trwającego okresu żniw i tego, że szlachta zajęta była sprawami gospodarskimi.

Dodatkową opieszałość spowodowała również sytuacja wynikła ze wsparcia królewskiego. Do pomocy w walce ze Szwedami Jan Kazimierz przysłał dwie chorągwie pod komendą Jacka Szemberka. Żołnierze ci jednak, zamiast stanowić wsparcie, stali się utrapieniem dla miejscowej ludności, grabiąc i niszcząc jej majątki. Efektem tego była niechęć do stawiennictwa na popisy pospolitego ruszenia oraz lęk przed opuszczeniem własnego domu. Co prawda król w obliczu licznych skarg na chorągwie Szemberka odwołał je na Ukrainę, jednak wpłynęło to dość mocno na szybkość i sprawność całego procesu organizacyjnego. W ostateczności udało się zebrać ok. 6 tys. pospolitaków i 1,2 tys. żołnierzy łanowych. Bardzo długo funkcjonowało przekonanie, że uczestników pospolitego ruszenia było pod Ujściem aż 12 tys. Jednak są to liczby zdecydowanie zawyżone.

Pospolite ruszenie zostało opisane bardzo krytycznie, i to zarówno na kartach powieści popularnych, jak i wczesnej historiografii, przedstawiającej przebieg wypadków pod Ujściem. Faktycznie, dalekie było ono od doskonałości armii regularnej, ale należy wspomnieć, że z taktycznego punktu widzenia nie mogło ono osiągnąć swojej pełnej sprawności bojowej. Jak wiemy, pospolitacy stawali przede wszystkim konno, tymczasem tereny, które okalały wyznaczone miejsce do obrony, nie pozwalały na właściwe wykorzystanie jazdy. Grunt był bagnisty, podmokły i grząski, co nie pozwalało polskiej kawalerii na właściwe zastosowanie szarży i wykonanie manewrów. Dowodem na to jest sytuacja w trakcie obrony nadnoteckich wałów, kiedy wojewoda kaliski Andrzej Grudziński wysłał przeciwko Szwedom własną prywatną chorągiew husarską. Niestety ugrzęzła ona w błocie, po czym spadło na nią uderzenie piechoty szwedzkiej i dragonii. Warunki terenowe pozbawiły polską armię głównej siły uderzeniowej.

Wobec takiego rozwoju sytuacji ciężar walki spadł na piechotę łanową »

eprasa.pl 287b547067

» obsadzającą wały nadnoteckie. Pomimo braku doświadczenia łanowi dowodzeni przez Stanisława Skrzetuskiego i Władysława Skoraszewskiego stawili zacięty opór i godnie odpierali szturmy wojsk nieprzyjaciela. Swoje pozycje opuścili dopiero wówczas, gdy zabrakło prochu. Przy wykazywaniu przyczyn porażki należy wspomnieć również o tym, że przewaga w sprzęcie artyleryjskim po stronie Szwecji była wręcz przytłaczająca. Przerwanie szańców polskich pod Dziembowem i wdarcie się Szwedów na tyły polskich pozycji było ostatnim akordem obrony Ujścia, po którym nastąpiły rozmowy o kapitulacji.

Przytoczenie powyższych argumentów pozwala nam nieco łaskawszym okiem spojrzeć na siły Wielkopolan pod Ujściem, a przynajmniej zdjąć z nich pełne poczucie klęski. Plan obronny nie był doskonały, ale sprzysięgło się więcej czynników niż tylko wartość bojowa pospolitego ruszenia czy łanowych. Poza tym bierność ośrodka królewskiego w zakresie wsparcia również miała kolosalny wpływ na wynik całej konfrontacji. Jak to słusznie zauważył anonimowy uczestnik ówczesnych wydarzeń – władze centralne wystawiły Wielkopolan „jak z kuszą na wróble".

Słabość lokalnych przywódców czy plan sięgający w przyszłość?

Skoro zostały przedstawione, a następnie omówione, czynniki militarne, warto się przyjrzeć również aspektom politycznym całej sprawy. Przez wiele lat odpowiedzialnością za ostateczny przebieg wypadków pod Ujściem obarczano elitę wielkopolską, w szczególności Krzysztofa Opalińskiego. Sienkiewicz na kartach swojej powieści odmalował jego wizerunek jako człowieka ceniącego sobie splendor, rozumującego tylko w kategoriach własnego interesu, pierwszego zdrajcę oraz zwykłego tchórza. Tymczasem rzeczywistość miała bardziej skomplikowany wymiar. Alojzy Sajkowski, biograf Opalińskiego, wskazał, że w jego postawie widać było „szczerą chęć przeciwstawienia się nawale szwedzkiej". Niestety wojewoda nie dysponował odpowiednimi do tego celu środkami. Wojsko szwedzkie zaprawione w bojach i dobrze wyposażone w sprzęt artyleryjski stanowiłoby twardy orzech do zgryzienia nawet dla regularnej armii. W działaniach elity wielkopolskiej można dostrzec elementy wybiegającego w przyszłość planu. W obliczu silnej przewagi wroga lepiej było pertraktować, by oszczędzić żołnierzy i przystąpić do ataku w znacznie dogodniejszych okolicznościach w przyszłości. Sądząc po tym, co się wydarzyło w ciągu następnych kilku miesięcy, nie było to zupełnie błędne założenie. W październiku za-



Wojewoda poznański Krzysztof Opaliński na portrecie z epoki, autorstwa Łukasza Vorstermana (1595–1675)

czął działać ruch partyzancki, który następnie doprowadził w 1657 r. do wyzwolenia Wielkopolski z rąk szwedzkich i brandenburskich.

Ponadto warto zauważyć, że Krzysztof Opaliński, Andrzej Karol Grudziński i inni kasztelani stanęli pod Ujściem, pomimo wiedzy o dysproporcji sił. Było to stanowisko w kontrze do tego, jak postąpił Bogusław Leszczyński, który jako starosta generalny ponosił największą odpowiedzialność za zapewnienie bezpieczeństwa obu województwom. Tymczasem wspomniany magnat wykpił się nawrotem podagry i uciekł z Wielkopolski, zanim jeszcze na dobre rozpoczęły się działania wojenne. Następnie pertraktował ze Szwedami, by oszczędzili oni jego majątki i pozwolili zachować klejnoty koronne, którymi dysponował jako podskarbi koronny. Pozostali urzędnicy jednak stawili się oraz wypełniali swoje obowiązki względem organizacji pospolitego ruszenia czy piechoty łanowej.

Ostatnim często podawanym argumentem, uderzającym w elity wielkopolskie, były powody wytyczenia tego konkretnego miejsca obrony. Nierzadko przywoływaną przyczyną było skomasowanie w pobliżu nadnoteckich wałów majątków najwyższych dygnitarzy. W istocie sytuacja wyglądała tak, że Sieraków i Złotów były blisko Ujścia, ale nie można zapominać, iż z punktu widzenia strategicznego było to optymalne miejsce do obrony – posiadające naturalne bariery w postaci rzeki i grząskiego podłoża. To pozwalało zatrzymać wroga dłużej. Niestety teren okazał się szczególnie trudny dla jazdy, o czym już wcześniej wspomniano, ale wszystko to podyktowane było krótkim czasem dostępnym na przygotowanie sensownego planu obrony.

To jak w końcu było z tą klęską?

Niewątpliwie ujska kapitulacja budzi pewne negatywne uczucia i długo będzie symbolem porażki. Tymczasem jej rozmiar nie był wcale aż tak duży, jak zwykło się o nim mówić. Niedługo po kapitulacji Wielkopolanie przystąpili do kontrofensywy, organizując zasadzki na mniejsze oddziały i atakując przejęte garnizony. Zrzucanie całej winy na urzędników wielkopolskich i pospolite ruszenie wydaje się krzywdzące. Aleksander Kamieński, opisując kulisy kapitulacji pod Ujściem, stwierdził, że winę należałoby rozłożyć solidarnie na wszystkie czynniki, szczególnie biorąc pod uwagę rolę króla. Wydaje się też, że przedstawione przez autora argumenty pozwalają nieco odmienić obraz sytuacji i tym samym zweryfikować to, do czego zdążyły przyzwyczaić nas dzieła pisarzy w osobach Henryka Sienkiewicza czy Bohdana Królikowskiego.

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl 287b547067



eprasa.pl 287b547067

RZĄDOWA PRZYGODA MARGRABIEGO GONZAGI-MYSZKOWSKIEGO



PIOTR ŚWIĄTECKI

CZY ALEKSANDER WIELOPOLSKI, JAKŻE SUROWO OCENIONY PRZEZ HISTORIOGRAFIĘ, MUSIAŁ PRZEGRAĆ?

Należało od razu stłumić w sobie wszelkie polskie marzenia, zapomnieć, że istnieje na kuli ziemskiej jakaś Ruś i Litwa, lecz przyzwawszy na pomoc siłę rozumu, doświadczenia i przezorności, ściśle ograniczyć swe działania do jednej tylko Kongresówki, i cokolwiek by dziać się miało wokoło, jakiekolwiek pokusy i marzenia oblegały serce i głowę, iść ściśle wytkniętą drogą i raczej paść trupem, niż na krok z niej zboczyć" – napisał Mikołaj Wasylewicz Berg, rosyjski historyk, odnosząc się do objęcia przez Aleksandra Wielopolskiego stanowiska ministra w marcu 1861 r. I dodał: „...on się podziewał wyprowadzić ojczyznę z błędnych marzeń i przygotować na drogę ocalenia, obdarzyć kraj reformami; a jemu już w pierwszej chwili najlepsi ludzie w kraju zaczynali stawiać przeszkody...".

Nadzieja na zmiany

W latach 60. XIX w. w Królestwie Polskim (tj. w zaborze rosyjskim) mieszkało prawie pięć milionów ludzi, z tego 80 proc. żyło z rolnictwa. Wieś czekała na uwłaszczenie i ostateczne zniesienie pańszczyzny.

W marcu 1855 r. zmarł car Mikołaj I, w lutym 1856 r. – Iwan Paskiewicz, namiestnik Królestwa. Rosja przegrała wojnę krymską. Opinia publiczna w Królestwie z optymizmem oczekiwała pierwszych decyzji nowego cara Aleksandra II. Ten w 1856 r. zniósł na Litwie i w Królestwie stan wojenny, pozwolił na powrót emigrantom z 1831 r. i zesłańcom z Syberii, zapowiedział też reformę rolną w imperium. W końcu maja 1856 r. Warszawa powitała go więc z entuzjazmem. Aleksander II jednak wyjątkowo niezręcznie zmarnotrawił kapitał zaufania, kilkakrotnie publicznie zastrzegając: „Panowie, żadnych marzeń" („Messieurs, point de reviêries").



Hr. Aleksander Wielopolski na fotografii Karola Bayera

FOT. ARCHIWUM

Początek demonstracji

W Europie emocje rosły. Tysiąc walecznych w czerwonych koszulach w maju 1860 r. wylądowało z Garibaldim na Sycylii. Włochy się jednoczyły. Patriotyczna polska młodzież tworzyła tajne grupy w Warszawie, Kijowie, Petersburgu. 11 czerwca 1860 r. pogrzeb wdowy po gen. Sowińskim – bohaterskim obrońcy Woli w 1831 r. – stał się patriotyczną manifestacją, pierwszą w Warszawie od powstania listopadowego. Rozpoczynały się „polskie czasy" – uroczyste obchodzenie rocznic, wspólne publiczne modlitwy, demonstracje, nabożeństwa. Zaborcy reagowali niekonsekwentnie – raz udawali, że tych publicznych wystąpień nie dostrzegają, innym razem używali siły. 26 lutego 1861 r. padła pierwsza salwa, pod warszawskim Zamkiem zginęło pięciu mężczyzn. Namiestnik carski Aleksandr Gorczakow zgodził się na uroczysty pogrzeb ofiar, wycofał policję z ulic, powierzając odpowiedzialność za porządek konstablom (ochotnikom) zorganizowanym przez tzw. Delegację Miejską, która, choć ukonstytuowała się pierwotnie wyłącznie w celu przygotowania uroczystości pogrzebowych, także po nich próbowała odgrywać rolę swoistego presamorządu stołecznego. Po pogrzebie Pięciu Poległych w miastach Królestwa trwały prawie nieskrępowane demonstracje patriotyczne.

Polskie czasy

Wielu polityków rosyjskich rozumiało konieczność złagodzenia kursu i liczyło na porozumienie się przynajmniej z częścią środowisk polskich. Gorczakow odsuwał się od skompromitowanych urzędników,

np. szefa administracji edukacyjno-religijnej, zażartego rusyfikatora Pawła Muchanowa. Rosnący wpływ zyskiwał ambitny, błyskotliwy naczelny prokurator Juliusz Enoch, który też podsunął Gorczakowowi Aleksandra Wielopolskiego. Namiestnik podchwycił sugestię, rozczarował się bowiem osobą ówczesnego narodowego autorytetu Andrzeja Zamoyskiego. Przewodniczący Towarzystwu Rolniczemu, przywódca konserwatystów był człowiekiem rzetelnym, prawym, patriotycznie usposobionym, lecz podobno niezbyt lotnym. Zamoyskiego i Wielopolskiego dzieliły głęboka niechęć wzajemna i poglądy (Zamoyski wierzył w powrót do granic przedrozbiorowych). Paradoksalnie obaj mieli podobny, powściągliwy sposób bycia, co u Zamoyskiego uznawano za dowód klasy, a u Wielopolskiego postrzegano jako przejaw pychy.

27 marca 1861 r. prasa ogłosiła akceptowane przez cara reformy samorządu, szkolnictwa oraz powołanie Wielopolskiego na stanowisko szefa Komisji Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Margrabia przekonał bowiem cara do zmian. Zaczął od uspokajania nastrojów, niestety – inspirując działania przynoszące odwrotne skutki, jak rozwiązanie Towarzystwa Rolniczego czy Delegacji Miejskiej. Wbrew intencjom władz napięcie więc rosło, co znajdowało wyraz w trwających manifestacjach, a także w wyglądzie ulicy – barwnych konfederatkach i kontuszach – zastąpionych żałobną czernią i szarością, gdy znów polała się krew.

Masakra na pl. Zamkowym

Wielopolski skłonił Gorczakowa do wprowadzenia prawa o zgromadzeniach. Niestety nadzieja, iż doprowadzi to do uspokojenia nastrojów, okazała się płonna. Już następnego dnia po przyjęciu nowego prawa 8 kwietnia 1861 r. na pl. Zamkowym z jednej strony stanęło rosyjskie wojsko, z drugiej – tłum mieszkańców Warszawy. Próby rozpędzenia zbiegowiska kozackimi nahajkami i kolbami karabinów się nie powiodły, padły salwy. Nie wiemy, ile było ofiar (Berg pisze o przeszło 200 zabitych) ani czy była to prowokacja Rosjan, lecz za współwinnego tragedii uznano Wielopolskiego. Schorowany Gorczakow zmarł kilka tygodni później. Jego następca Karol Lambert uważał za swój naczelny cel organizowanie wyborów municypalnych, tolerował więc nadal patriotyczne demonstracje. Wielka manifestacja 10 października w rocznicę unii horodelskiej nie zakończyła się jatką tylko dzięki rozsądkowi dowodzącego w Lubelskiem gen. Aleksandra Chruszczowa.

Stan wojenny

Po wyborach samorządowych car kazał Lambertowi wprowadzić stan wojenny. 14 października 1861 r. na ulicach stanęły armaty i namioty. Wojsko aresztowało uczestników patriotycznych nabożeństw szukających azylu w kościołach. W odpowiedzi kapituła zamknęła sprofanowane warszawskie świątynie. Lambert złożył dymisję w końcu października, a Wielopolski od grudnia do czerwca czekał w Petersburgu na decyzję co do dalszych losów. Dostał jeszcze jedną szansę i w czerwcu 1862 r. wrócił do Warszawy jako szef rządu cywilnego Królestwa, aby wprowadzać postulowane przez siebie dekrety carskie: o wychowaniu, o oczynszowaniu, o równouprawnieniu Żydów. Powołał Szkołę Główną. Postawił sobie zadanie – uniknąć konfrontacji i wydaje się, że miał nawet umiarkowane szanse powodzenia. Był przez to dla rewolucjonistów niebezpieczny, stał się więc celem zamachów, wykazywał się przy tym osobistą odwagą. Zanotował potem, iż nakazano dwóm uzbrojonym policjantom za nim jeździć, lecz ci prosili, aby ich uwolnił, bo mają żony, dzieci i boją się o własne życie. Wymógł więc uwolnienie od takich aniołów stróżów...

PARADOKSALNIE OBAJ MIELI PODOBNY, POWŚCIĄGLIWY SPOSÓB BYCIA, CO U ZAMOYSKIEGO UZNAWANO ZA DOWÓD KLASY, A U WIELOPOLSKIEGO POSTRZEGANO JAKO PRZEJAW PYCHY

We władzach dojrzewała myśl o przywróceniu zawieszonego poboru do wojska jako sposobie na aktywniejszych opozycjonistów... Podziemny Komitet Centralny ostrzegał: reakcją na pobór będzie powstanie. Nocą z 14 na 15 stycznia 1863 r. nastąpiła branka. Spokojna, choć nie do końca owocna; wielu młodych mężczyzn z miast skryło się wcześniej w lasach. Komitet Centralny czuł się zmuszony do wykonania zapowiedzi; by kilku młodych ludzi mogło zachować twarz, kraj miał spłynąć krwią. Nocą 22 stycznia 1863 r. rozpoczęła się walka.

Koniec margrabiego

W czerwcu Wielopolski opuścił rząd. Nie zapobiegł zbrojnemu wybuchowi, więc nie był już potrzebny. W opinii biografa, Adama M. Skałkowskiego, Wielopolski odwoływał się do rozsądku, „przeceniając w istocie jego nikły wpływ, zwłaszcza na ówczesną społeczność polską". Sam Wielopolski powiedział publicznie: „Dla Polaków można czasem coś dobrego zrobić, ale z Polakami nigdy". Biali wierzyli, że Rosjanie będą bez końca ustępować, i wzywali, by „brać i nie kwitować", Czerwoni rozkołysali zaś emocje, stając się w końcu ich zakładnikami i decydując o wybuchu skazanym na klęskę – w wyjątkowo niedobrym momencie. Natomiast Wielopolskiemu brakło umiejętności odczytywania oczekiwań społeczeństwa i przekonywania do swoich racji. Choć wprowadzał zmiany korzystne dla wielu środowisk, Biali wciąż podkopywali jego pozycję (brał w tym udział także wcześniejszy protektor, Enoch). Za zdrajcę sprawy narodowej uważała go inteligencka czerwona młodzież, przed którą otwierał nowe możliwości, zastępując rosyjskich urzędników Polakami, dla Rosjan był zaś niegodnym zaufania polskim konspiratorem.

Ze zdjęcia warszawskiego fotografa Karola Bayera patrzy na nas duży, silny, stanowczy mężczyzna. Przed powołaniem do rządu zapisał: „Lepsze jest powołanie gorzkie, ciężkie, połączone z cierpieniami, które może nad miarę osobistość ludzką przyciera, niż próżnia zupełna w życiu..." (cyt. za Bergiem). Gdyby przekonał do siebie i sprawę wsi rozwiązał, miałby pewnie pomnik w Warszawie...

eprasa.pl 287b547067

ŁUKASIEWICZ I DŁUGOSZ – POLSCY NAFCIARZE, SPOŁECZNICY I FILANTROPI

PRZEŁOM WIEKÓW XIX I XX WCIĄŻ FASCYNUJE. SZCZEGÓLNIE GDY PRÓBUJEMY ZNALEŹĆ ODPOWIEDZI NA NASZE „POLSKIE PYTANIA": KIEDY, GDZIE I JAK RODZIŁ SIĘ PRZEMYSŁ NA ZIEMIACH POLSKICH POD ZABORAMI, JAK RODZIŁY SIĘ I FORMOWAŁY PRĄDY SPOŁECZNO-POLITYCZNYCH KONCEPCJI CO DO PRZYSZŁEJ WOLNEJ POLSKI?



WALDEMAR CZECHOWSKI

W tym krótkim eseju zobaczymy, jak w jednej tylko dziedzinie – wydobyciu i przetwórstwie ropy naftowej – powstawały rodzime fortuny polskich nafciarzy, jak działali oni jako społecznicy i filantropi. Mowa będzie głównie o Władysławie Długoszu (1864–1937) i Ignacym Łukasiewiczu (1822–1882). Zanim do nich przejdziemy, kilka słów wstępu.

Historia oleju skalnego, nazywanego później ropą naftową, z której wytwarzano naftę i benzynę, prowadzi nas do karpackich lasów. Region Podkarpacia, okolice Gorlic, Jasła czy Krosna, pełne są tzw. kopanek i dołków, z których od setek lat sączyła się z głębi ziemi czarna maź. W starych kronikach, sięgających XV w., nazywana już była „olejem skalnym". Maź, czyli produkt prostego zagęszczania ropy przy jednoczesnej destylacji, była pierwszym ludowym produktem. Miejscowa ludność, widząc interes ze sprzedaży mazi i pierwszych produktów olejarskich, zaczęła tworzyć sieci połączeń, które rozwinęły się na szeroką skalę, wspierając później tworzący się przemysł naftowy. Smarowidło do kół wozów konnych rozwozili „maziarze". Tak pojawił się biznes maziar-



Borysław – kopalnie ropy naftowej

ski – najpierw indywidualny, potem rodzinny. W powiecie gorlickim leży wieś Łosie, nazywana też „wioską maziarską". Łemkowie i mieszkańcy podkarpackich wiosek wydobywali ropę z pogłębianych dołów i naturalnych wycieków metodą chałupniczą. Docierali ze swoim produktem do odległych miejsc i ościennych krajów. Z podkarpackich Łosi i Ropy dowożono tę cenną maź na Słowację i Węgry, a nawet do Wiednia, a w pierwszych dekadach XX w. także do Rygi czy Wilna.

Od mazi do benzyny

Maziarski zawód rodził się i rozwijał w dwóch zagłębiach zachodniej Galicji: borysławskim i gorlickim, już w pierwszych dekadach XIX w. Na południe od Lwowa równolegle powstawał trzeci ośrodek – Słoboda Rungurska (związany zresztą z osobą wymienionego niżej Stanisława Szczepanowskiego i Feliksa Vincenza). Huculszczyzna, oprócz Zagłębia Borysławskiego i Gorlickiego, stanowiła najbardziej na południe wysuniętą placówkę przemysłu naftowego. Wielkie i znane postaci epoki nafty można szeroko wyliczać. Zaliczali się do nich zarówno bogaci właściciele ziemscy (Hr. Skotnicki), jak i aptekarze oraz chemicy (Ignacy Łukasiewicz, Jan Zeh), przemysłowcy (wspomniani Vincenz, Szczepanowski czy Władysław Długosz).

Stanisław Szczepanowski tworzył na południowo-wschodnich rubieżach Polski, na terenie Huculszczyzny, należącej obecnie do Ukrainy, własną małą ojczyznę ropy i dobrobytu. Budował w lasach Pokucia, podobnie jak Długosz w Borysławskim, linie kolejowe służące do transportu ropy. Za jego sprawą zachodnia część Huculszczyzny wkroczyła w początki nowoczesności. Czarne złoto Karpat zasilało wielkie ośrodki miejskie w nowy produkt: naftę, czyli medium „światła i mobilności". Powszechne używanie benzyn i wynalazek automobilu zmieniły kompletnie świat.

Z kolei o Władysławie Długoszu gorliczanie mówią: „Nasz lokalny bohater". Mieszkańcy okolic Borysławia: „To ten, który naszą małą ojczyznę, galicyjskie zagłębie naftowe, podniósł do poziomu ośrodka cywilizacji przemysłowej".

Trzecią wielką postacią, a pierwszym konstruktorem lampy naftowej, był – rzecz jasna – Ignacy Łukasiewicz. On i Długosz uczestniczyli w życiu politycznym Galicji, reprezentując polskie sprawy w Wiedniu. Zasiadali w radach państwowych i parlamentach (Austro-Węgier oraz II RP), byli wybitnymi obywatelami, reprezentującymi interesy lokalne i zarazem polską rację stanu na forum imperium austro-węgierskiego.

Wszyscy wyżej wymienieni byli społecznikami i filantropami. Ich udział w życiu publicznym i wkład w rozwój myśli patriotycznej oraz narodowej dla wyłaniającej się z mroków rozbio-



Władysław Długosz

rów Polski był bezcenny. Nie walczyli szablą ani karabinem, ale siłą myśli politycznej i wyobraźnią techniczną. To był ten być może najbardziej brakujący element „pozytywizmu" i pragmatyzmu w życiowej aktywności Polaków na przestrzeni dziejów. To była też cecha takich wielkich postaci jak Maria Skłodowska-Curie, Bronisław Piłsudski czy wybitny artysta polityk Ignacy Paderewski. Wszyscy oni mieli ten sam gen wrażliwości społecznej, humanitaryzmu czy myśli politycznej, pozwalający im wpływać na serca i budzić empatię przyszłych sojuszników odradzającej się Polski.

A oto nasi bohaterowie i kilka obrazów z ich życia.

Władysław Długosz (1864–1937)

Był nazywany jednym z pionierów rozwoju przemysłu naftowego, poseł na sejm krajowy do Austrii, poseł do austriackiej rady państwa, minister dla Galicji, prezes krajowego towarzystwa naftowego.

Urodzony w Krakowie, po ukończeniu technicznych studiów w Wiedniu zainteresował się gorlickim przemysłem naftowym, osiadł w Siarach niedaleko Gorlic, w wiosce o stu domach krytych strzechą. Pracował w pobliskich kopalniach ropy w Siarach, Sękowej i Ropicy Ruskiej. Przebył drogę od pomocnika kowala przez pomocnika szybowego do intratnego zawodu wiertacza w kopalniach ropy naftowej. Potem został kierownikiem kopalni w Klęczanach. Aby opanować kanadyjski system wiercenia, pracował u Kanadyjczyków w Krygu i Kobylance. Dorobił się własnej kopalni, pierwszej, drugiej, potem trzeciej. Uważa się, że odkrył w sąsiednim regionie na wschód od Lwowa zagłębie naftowe w okolicach Borysławia. Gdy dorobił się fortuny, z własnych środków zakładał szkoły, budował drogi, fundował kościoły. Pomagał też pracownikom kopalń zakładać towarzystwa ubezpieczeniowe. O Władysławie Długoszu, wybitnym przemysłowcu naftowym, senatorze II Rzeczypospolitej, mówi się jako o patriocie lokalnym. W jego rodzinnym mieście Gorlicach mieszkańcy w dowód pamięci postawili mu pomnik. To bohater regionalny.

Przeprowadził pionierskie wiercenia głębokie na potoku w Borysławiu. Do wierceń wprowadził wiele cennych ulepszeń, m.in. udoskonaloną konstrukcję żurawia kanadyjskiego. Aż do I wojny światowej obserwujemy u Długosza najświetniejszy okres w jego »

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA; NAC

eprasa.pl 287b547067

» życiu. Z dyrektora Karpackiego Towarzystwa Naftowego stał się samodzielnym przemysłowcem polskim. W 1914 r. Długosz, jako przedstawiciel ludowców (PSL „Piast") był członkiem sekcji zachodniej Naczelnego Komitetu Narodowego. Wraz z Włodzimierzem Tetmajerem, swoim kolegą klubowym, w wiedeńskim domu Długosza 28 maja 1917 r. opracowali rezolucję o wolnej, niepodległej i zjednoczonej Polsce z dostępem do morza.

Ignacy Łukasiewicz (1822–1882)

Pochodził ze zubożałej rodziny szlacheckiej, która kultywowała tradycje powstańcze. Sam też stał się rewolucjonistą i działaczem niepodległościowym.

Urodził się w 1822 r. w Zaduszynikach w szlacheckiej rodzinie inteligenckiej pochodzenia ormiańskiego. Jego ojcem był Józef Łukasiewicz – zarządca folwarku i żołnierz Tadeusza Kościuszki. Ignacy Łukasiewicz w latach 1832–1836 uczęszczał do popijarskiego gimnazjum w Rzeszowie, gdzie ukończył cztery klasy. W szkole tej nauczył się łaciny i języka niemieckiego. Znajomość języków ułatwiła mu dalszą edukację. W latach 1836–1840 rozpoczyna się także jego działalność w organizacjach demokratyczno-niepodległościowych, za którą został aresztowany. Ważnym epizodem było spotkanie Łukasiewicza z Tytusem Trzecieskim, właścicielem majątku w Polance koło Krosna. Pan Trzecieski zobaczył, że do leczenia owiec chorych na motylicę używano dziegciu i innych mazideł. Był człowiekiem wykształconym, interesował się kopalnictwem rud, a nawet był właścicielem kopalni żelaza. Kiedy spostrzegł na swoim terenie tłustą maź, zabrał ze sobą próbkę do Lwowa w poszukiwaniu przedsiębiorcy czy kupca, który chciałby ją wykorzystać i zrobić interes.

Pierwsze spotkanie Trzecieskiego z Łukasiewiczem odbyło się w aptece w Gorlicach. Łukasiewicz od razu zademonstrował mu jasno palącą się, niekopcącą lampę naftową i pokazał cały proces rafinacji ropy. Ujawnił bez zawahania się autorską metodę, która w tym czasie była strzeżona w Austrii patentem. Trzecieski powiedział wtedy do Łukasiewicza: „Ten płyn to przyszłe bogactwo kraju, to dobrobyt i pomyślność mieszkańców, to nowe źródło zarobków dla biednego ludu, ale też może być nową gałęzią przemysłu". Łukasiewicz wiedział, że można sięgnąć w głąb ziemi do ukrytych pokładów oleju skalnego, a nie tylko korzystać z naturalnych wycieków, które nazywane były kopankami. I pierwsza kopalnia została uruchomiona w Bóbrce w roku 1854. 20 lat później, na międzynarodowej wystawie powszechnej w Wiedniu, Łukasiewicz prezentował swoje osiągnięcia w badaniach nad naftą. I otrzymał tu medal, dyplom oraz został odznaczony papieskim Orderem św. Grzegorza. Pojawili się tu z USA wysłannicy z koncernu Standard Oil Company Johna D. Rockefellera. Tam poznali Łukasiewicza. Ponoć rozmawiali z nim o współpracy. Zjawili się potem w Gorlicach i Krośnie, gdzie mieli zaproponować mu kupno opracowań rafineryjnych i patentu na pompę wydobywczą, dzięki której można było kopać ropę poniżej 80 m i głębiej. I tu wkracza legendarna opowieść, jak pan Ignacy nie zgodził się na biznes z Amerykanami, ale za darmo podzielił się całą swoją wiedzą. Miał bowiem przeświadczenie, że nafta i jego lampa są dobrodziejstwem całej ludzkości i nie można nią handlować. I dalej przytaczane są słowa samego Rockefellera, gdy jego delegacja wróciła do Nowego Jorku, że „dziwni są ci Polacy, naiwni i wręcz niemądrzy, nie korzystając z szans pomnażania dóbr i fortun – myśląc wyłącznie o ideałach".


Ignacy Łukasiewicz

Łukasiewicz był przede wszystkim człowiekiem nauki i myśli. Najpierw był farmaceutą – potem przedsiębiorcą, a na końcu i społecznikiem. Barbara Pratzer w swojej książce „A pieniądze zamieniał na ideały: jak Łukasiewicz uczył Rockefellera" pisze: „Łukasiewicz w sejmie krajowym (CK austriackim) pomagał rozwiązać problemy i różne sprawy okolicznych szkół, które sam zresztą kiedyś założył. Rozdzielał fundusze w gminnych kasach pomocy, które współorganizował i zawsze wspierał. Rozmawiał z robotnikami wiercącymi w Bóbrce. Wreszcie w rafinerii w Chorkówce, w swoim laboratorium, analizował, liczył, sprawdzał, dyskutował, kierował całymi zespołami ludzi. Był, bez wątpienia pionierem przemysłu naftowego".

Łukasiewicz region, w którym żył, i mieszkańców z biednej Galicji wydobył z zacofania. W połowie XIX w. świat czekał na tanie i wygodne źródło energii. I pojawiła się nafta. 150 lat po wynalezieniu ropy naftowej i zastosowaniu jej do oświetlenia Łukasiewicz nadal nie zajął w historii należnego mu miejsca. Wciąż na świecie jest bardzo mało znany. A w Polsce jest znany głównie jako wynalazca lampy naftowej. Po śmierci nad grobem Łukasiewicza prezes krajowego towarzystwa naftowego i przyjaciel zmarłego August Gorajski mówił: „Temu prostemu człowiekowi dane było zostać twórcą wielkiego wynalazku oświetleniowego. Z obowiązku narodowego zaszczytu tego wydrzeć sobie nie damy. Z obowiązku narodowego powinniśmy uczcić trwale nazwisko wynalazcy i przekazać potomności jego zasługę".

FOT. NAC

eprasa.pl 287b547067



KRÓL KASZUBÓW

ZASŁUŻYĆ NA TYTUŁ KRÓLA W RZĄDZONEJ PRZEZ KOMUNISTÓW POLSCE TO COŚ Z PEWNOŚCIĄ NIEBYWAŁEGO. ZASZCZYTU TEGO DOSTĄPIŁ CZŁOWIEK WYJĄTKOWY, NIEZŁOMNY KAPŁAN, KS. HILARY JASTAK, KTÓRY DAŁ KASZUBOM POWÓD DO DUMY, PRZEZ CAŁE ŻYCIE WIERNIE SŁUŻĄC BOGU, OJCZYŹNIE I LUDZIOM

FOT. IPN

eprasa.pl 287b547067



DARIUSZ WALUSIAK

Pochodził z wielodzietnej rodziny kaszubskiej. Ojciec był działaczem narodowym w Kościerzynie. Przywiązanie do endecji udzieliło się również jego synowi. Hilary niezwykle cenił Romana Dmowskiego oraz gen. Józefa Hallera, który w lutym 1920 r. dokonał symbolicznych zaślubin Polski z morzem. Po wybuchu II wojny światowej Kościerzynę, tak jak i całe Kaszuby, szybko opanowali Niemcy, rozpoczynając krwawą rozprawę z Polakami przeciwstawiającymi się trwającej od wielu lat germanizacji. W pierwszej kolejności mordowano duchowieństwo. Młody kleryk, jakim wówczas był Hilary Jastak, cudem uniknął śmierci. Musiał jednak opuścić rodzinne strony. W 1941 r. w Warszawie z rąk abp. Stanisława Galla przyjął święcenia kapłańskie, został też kapelanem AK. Po wojnie wrócił na Kaszuby. Otrzymał funkcję dyrektora okręgu Caritas w Gdyni. Pracy było co niemiara, jak wspominał po latach. Zrujnowane miasto ze zdziesiątkowaną przez Niemców i Sowietów społecznością powoli dźwigało się do życia. Dodatkowo pomocy wymagała także ludność napływowa pochodząca z zajętych przez Rosję sowiecką Kresów Wschodnich. Aktywny duchowny od razu podpadł nowej władzy, która zażądała jego usunięcia. W końcu komunistom udało się dopiąć swego. W 1949 r. bp Kazimierz Kowalski pozbawił ks. Jastaka funkcji dyrektora Caritasu. Mimo nacisków pozostawił go jednak w Gdyni, powierzając mu probostwo nowo utworzonej parafii. Nie był to koniec prześladowań. W 1950 r. aresztowano księdza na kilka miesięcy, mając nadzieję, że zastraszony opuści Gdynię. Tak się oczywiście nie stało. Mimo wielu trudności po kilku latach udało mu się wybudować kościół pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa. W rządzonej przez komunistów Gdyni świątynia stała się prawdziwą oazą wolności.

Czarny czwartek 1970

To dzięki ks. Jastakowi kard. Stefan Wyszyński poznał prawdę o tzw. gdyńskim czarnym czwartku. 17 grudnia 1970 r. komunistyczna władza brutalnie rozprawiła się ze stoczniowcami, którzy odważyli się zaprotestować przeciwko wprowadzeniu drastycznych podwyżek cen żywności. Kiedy robotnicy, dzień wcześniej wezwani przez wicepremiera Stanisława Kociołka do powrotu do pracy, zjechali do stoczni, na ich drodze stanęły czołgi. Do zaskoczonych ludzi otworzono ogień. Padli pierwsi zabici. Kilkadziesiąt osób zostało ciężko rannych. Brutalnie zaatakowani robotnicy złapali za kamienie. W mieście przez kilka godzin trwała nierówna walka. Jerzy Miotke, wówczas młody stoczniowiec, mieszkał na czwartym piętrze budynku, w którego pobliżu trwały starcia z milicją. Po powrocie do domu był świadkiem użycia śmigłowców do tłumienia protestu: „Na wysokości naszych okiem zawisł helikopter wojskowy. Strzelano z niego do ludzi kryjących się za samochodami". Bezpośrednio po tych tragicznych wydarzeniach parafia, w której proboszczem był ks. Jastak, objęła pomocą poszkodowanych. Jednocześnie zbierano informacje o ofiarach. Władza za wszelką cenę usiłowała ukryć skutki swego działania. Na polecenie ks. Jastaka księża zaczęli spisywać ofiary. „Po świętach Bożego Narodzenia ruszyliśmy z kolędą. Otwierało to możliwości bezpośredniego dotarcia do uczestników i świadków masakry. Ludzie bali się, że stracą pracę, i nieraz rezygnowali z pomocy ambulatoryjnej. W hotelu robotniczym, gdzie mieszkali przyjezdni pracownicy stoczni, dowiedzieliśmy się o rannych, którzy wyjechali z Gdyni w obawie przed aresztowaniem" – wspomina ks. Henryk Bietzke, wieloletni wikary parafii NSPJ. Zebrane informacje znalazły się w opracowanym przez ks. Jastaka raporcie sporządzonym specjalnie dla kard. Stefana Wyszyńskiego. „To było wówczas bardzo ważne. Ks. kardynał pisemnie podziękował za ten raport" – podkreśla ks. Bietzke. To wtedy wzburzony tłum poniósł na drzwiach zabitego Zbyszka Godlewskiego. Scena ta stała się symbolem czarnego czwartku. Znana jest przede wszystkim z pieśni „Janek Wiśniewski padł". Tytułowy Wiśniewski to właśnie Zbyszek Godlewski, młody robotnik ze stoczni im. Komuny Paryskiej.

W 1950 r. ARESZTOWANO KSIĘDZA NA KILKA MIESIĘCY, MAJĄC NADZIEJĘ, ŻE ZASTRASZONY OPUŚCI GDYNIĘ. TAK SIĘ OCZYWIŚCIE NIE STAŁO

Pamiętna msza 1980

Drzwi, na których wówczas niesiono Godlewskiego, trafiły do kościoła NSPJ, gdzie ks. Jastak urządził kaplicę stoczniowców. Oprócz tej swoistej relikwii znajduje się tam także drewniany krzyż, przy którym niezłomny kapłan w sierpniu 1980 r. odprawił mszę dla strajkujących stoczniowców. Wówczas na czele protestu w stoczni gdyńskiej stanął Andrzej Kołodziej. „Zupełnie nie znałem tego zakładu. Pracowałem wcześniej w Gdańsku, skąd mnie zwolniono". Kołodziej, który na Wybrzeże przyjechał z drugiego końca Polski, z Bieszczad, związał się z ludźmi tworzącymi Wolne Związki Zawodowe, mocno zwalczane przez komunistów. „Tak się złożyło, że bezpośrednio po przyjęciu do stoczni gdyńskiej w pierwszym dniu mojej pracy wezwałem ludzi do rozpoczęcia strajku". Andrzej Kołodziej nie przebierał w środkach. Na jego polecenie włamano się do zakładowej drukarni. Wyszły stąd setki tysięcy druków informujących o strajku. Wyruszające z Gdyni pociągi były zasypywane ulotkami. Dzięki temu informacje o protestach na Wybrzeżu trafiały w odległe rejony Polski. Kołodziej „internował" także dyrekcję stoczni, która nie chciała opuścić zakładu. „Kiedy po dwóch dniach zapytałem pilnujących ich stoczniowców, jak tam nasi aresztanci, usłyszałem, że na początku jeszcze się rzucali, ale teraz nie mają już siły, bo nic nie jedli. Na moje zdziwienie – jak to nie jedli? – szef pilnujących odparł: – Prze-

eprasa.pl 287b547067



Ks. Hilary Jastak (na zdjęciu w białej sutannie i birecie) od lat 70. utrzymywał kontakty ze środowiskami na Wybrzeżu, które od 1980 r. aktywnie działały w szeregach NSZZ „Solidarność”

FOT. IPN

cież jak pytałem, co im wolno, powiedziałeś, że jedynie siusiu i nic więcej”. Utrzymanie strajku w Gdyni nie było proste. Zwłaszcza kiedy Lech Wałęsa po spełnieniu przez dyrekcję postulatów płacowych ogłosił zakończenie protestu w stoczni w Gdańsku. Niespodziewanie z pomocą przyszedł ks. Hilary Jastak. „Gdyby nie on, strajk by z pewnością nie przetrwał. Większość załogi w Gdyni to Kaszubi przyzwyczajeni, że w niedzielę razem z rodziną idą na mszę do kościoła. Musieliśmy coś wymyślić, żeby ludzie nie opuścili zakładu. Rozwiązaniem było zaproszenie księdza na teren stoczni” – wspomina Andrzej Kołodziej. Ks. Jastak zgodził się od razu. Uznał, że skoro go tam potrzebują, nie może odmówić. Odprawienie mszy św. na terenie państwowego zakładu pracy nikomu wówczas nie mieściło się w głowie. Jak wspomina Jerzy Miotke: „Wszelkie symbole katolickie były zabronione. Nie można było mieć świętego obrazka na biurku”. Władze próbowały wpłynąć na zmianę decyzji księdza. Z dokumentów IPN wynika, że usiłowano zrobić to na różne sposoby. Nic jednak nie wskórali ani przedstawiciele władz partyjnych, ani hierarchowie duchowni. „Jastak nie liczył się z nikim. No chyba, że byłby to kard. Stefan Wyszyński, ale z prymasem współpraca układała się nadzwyczaj dobrze” – twierdzi ks. Bietzke. „Msza w stoczni odprawiona 17 sierpnia 1980 r. była przełomowym momentem strajku. Stoczniowcy uznali, że ksiądz jest wyrazicielem stanowiska całego Kościoła katolickiego”. Uczestnicy tamtej mszy podkreślają, że było to niezmiernie budujące. W ludzi wstąpił nowy duch. Ks. Jastak udzielił wszystkim absolutorium, dopuszczając do przyjęcia komunii świętej. „Potraktował nas tak, jakbyśmy szli na wojnę. Zawsze to podkreślam, że bez ks. Jastaka ten strajk by nie przetrwał” – zapewnia Andrzej Kołodziej.

Na parafii w Gdyni-Śródmieściu

Ks. Jastak jeszcze przed rokiem 1980 nawiązał kontakty z przedstawicielami Wolnych Związków Zawodowych. W 1978 r. odwiedził mieszkanie Krzysztofa Wyszkowskiego, gdzie trwał protest głodowy po aresztowaniu jego brata Błażeja. Pojawienie się przed drzwiami nieznanego kapłana zdziwiło gospodarza. Ks. Jastak zaproponował odprawienie mszy w parafii NSPJ w Gdyni w intencji uwolnienia aresztanta. Po jego zwolnieniu odbyła się jeszcze jedna msza, tym razem dziękczynna, oficjalnie za uwolnienie Błażeja Wyszkowskiego. Przy okazji modlono się także w intencji WZZ-tów. Od pamiętnej masakry w Gdyni w kościele NSPJ regularnie odprawiano nabożeństwa za grudniowe ofiary komunizmu. Parafia w tym czasie była także miejscem schronienia dla działaczy Młodej Polski. „W charakterze archiwistów byli zatrudnieni Arkadiusz Rybicki i Andrzej Jarmakowski. Na plebanii drukowano pisma drugiego obiegu” – wspomina ks. Bietzke. Zdarzało się, że pod kościół podjeżdżały samochody SB. Próbowano zatrzymać przebywających na plebanii działaczy Ruchu Młodej Polski. „Urządzaliśmy wtedy akcję. Zbieraliśmy dzieci i młodzież, które przyszły na katechezę, i o umówionej godzinie otwieraliśmy wszystkie drzwi w kościele i wypuszczaliśmy ich, jednocześnie gasząc światła na zewnątrz. Powstawało wtedy duże zamieszanie, które wykorzystywano, by wyprowadzić bez przeszkód tych, których usiłowano zatrzymać. Esbecy nie mogli się w tym połapać, a my mieliśmy duży ubaw. Ks. Jastak też się cieszył, że po raz koleiny przechytrzył komunę” – śmieje się ks. Bietzke i dodaje: „Prałat nie cierpiał esbeków. Miał oficjalny dokument podpisany przez komunistycznego premiera, który jednoznacznie wskazywał, że należy zwracać się do niego per ksiądz. Inne urzędowe pisma zapewniały, że w stosunku do Jastaka należy używać tytułu prałat, a także doktor. Zastanawialiśmy się, po co mu to potrzebne. Okazywało się, że korzystał z tego, kiedy odwiedzali go ubecy. Wystarczyło, że taki delikwent powiedział, że przyszedł do obywatela Jastaka, a on miał na piśmie, że należy się zwracać do niego per ksiądz. Wtedy esbek, zanim cokolwiek jeszcze powiedział, był już za drzwiami. Podobnie było, gdy pominął tytuły prałata czy też doktora. On się nikogo nie bał”. Ks. Bietzke był świadkiem wielu nietypowych zdarzeń związanych z całkowitym brakiem zaufania ks. Jastaka do komunistów. Podczas pierwszej wizyty papieża Jana Pawła II działającą w parafii Scholę Cassubia zaproszono do Gniezna na spotkanie z Ojcem Świętym. „W PKS wynająłem autobus. Ks Jastak stwierdził jednak, że i tak nie dotrzemy na miejsce. Powiedział, zobaczysz, że popsuje się po drodze. Uznał, że trzeba zabezpieczyć się na taką ewentualność. Schola do Gniezna podróżowała autobusem, za którym jechało kilka załatwionych przez prałata samochodów na wypadek, gdyby coś nas spotkało po drodze”. W stanie wojennym ks. Jastak pisał pisma do władz w sprawie uwięzionych działaczy Solidarności. Wstawiał się m.in. za Krzysztofem Jankowskim skazanym na pięć lat czy też Ewą Kubasiewicz odsiadującą najwyższy wyrok stanu wojennego dziesięciu lat. Odwiedzał w więzieniu skazanych opozycjonistów, walcząc o ich prawa. „Biskupa by nie wpuścili, ale Jastaka nie był w stanie nikt zatrzymać. Znał dobrze prawo i wiedział, na co się powoływać. Dla świętego spokoju lepiej było go wpuścić, niż się mu narazić. Zaraz pisał do ministerstwa, że władze więzienia nie przestrzegają prawa” – mówi ks. Bietzke.

Ksiądz prałat Hilary Jastak zmarł w styczniu 2000 r. Na grobie znajdującym się w podcieniach bocznej ściany kościoła NSPJ, w którym przez 35 lat był proboszczem, umieszczono napis „My trzymamy z Bogiem” będący kredo Kaszubów i ich króla ks. Hilarego Jastaka.

Autor tekstu nakręcił film dokumentalny o ks. Hilarym Jastaku „My trzymamy z Bogiem”

eprasa.pl 287b547067



Od lewej: Tadeusz Komorowski ps. Bór, Marian Drobik ps. Dzięcioł, Ryszard Białous ps. Jerzy, Stefan Rowecki ps. Grot

„PSOTNY KAZIK" I „PIJAWKI" – O EMOCJACH DOWÓDCÓW W KONSPIRACJI

SŁUŻBA W KONSPIRACJI OBARCZONA BYŁA CIĄGŁYM STRESEM – NAPIĘCIEM I ZDENERWOWANIEM WYNIKAJĄCYM Z ZAGROŻENIA ARESZTOWANIEM CZY UTRATĄ ŻYCIA



MARIUSZ OLCZAK

Dowódcy doświadczający ekstremalnych sytuacji, widzący śmierć podkomendnych, często nie byli w stanie zachowywać łagodnego tonu perswazji w stosunkach służbowych. Ich emocje oddają nie tylko powojenne, mniej lub bardziej wiarygodne relacje opisujące nerwowe spotkania, ale niekiedy adnotacje na dokumentach bezpośrednio sporządzane w czasie wojny. Zdarzało się to rzadko, ale się zdarzało. Spory wybuchały najczęściej na tle wzajemnych animozji, z powodu biurokracji, finansów czy za sprawą niesubordynacji podwładnych. Poniżej kilka przykładów, które mogą niektórych zdziwić, ale również bawić swoją bezpośredniością. Pominę te związane z akcją czynną.

* * *

Chyba do najbardziej ekspresyjnych w tym wymiarze należał Komendant Główny ZWZ Stefan Rowecki ps. Grot, znany ze stanowczości i twardego charakteru – cech na pewno przydatnych w kierowaniu wielkimi podziemnymi strukturami. Roweckiemu szczególnie zależało na scaleniu wysiłku zbrojnego i organizacyjnego Podziemia. Po rozkazie nr 74 „Scalenie wysiłków wojskowych w Kraju" z listopada 1942 r. niezwykle nerwowo reagował na indywidualne

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA, WBC.POZNAN.PL, AAN, PAP/RAFAŁ GUZ

eprasa.pl 287b547067

niesubordynacje podkomendnych, a tym bardziej był zdeterminowany w dyscyplinowaniu politycznych zapędów niektórych dowódców. Sytuację podgrzewały zresztą informacje bezpośrednio uderzające w ważnych podkomendnych „Grota", którzy mieli być zlikwidowani właśnie przez krnąbrnych wobec zjednoczenia.

Kiedy Uderzeniowe Bataliony Kadrowe (UBK) uformowane przez Bolesława Piaseckiego i Konfederację Narodu ruszyły na wschód, „Grot" nie krył oburzenia. 13 marca 1943 r., wyraźnie wyprowadzony z równowagi i poirytowany po otrzymaniu kolejnych informacji o działaniach Piaseckiego, wielkimi literami ołówkiem napisał z tyłu i na marginesie meldunku od Remigiusza Grocholskiego ps. Waligóra: „Waligóra! Cóż za bzdury wyprawia ten »Bolesław«. Weźcie go za łeb – albo każę przerwać w ogóle jakiekolwiek wykorzystanie jego gromadki i docisnę jedynie likwidację K[onfederacji] N[arodu]". Przyznam, że tak stanowczo nie wypowiadał się w adnotacjach żaden z komendantów głównych. Do KG AK spływały kolejne raporty, meldunki i pisma obrazujące działalność zarówno samego Bolesława Piaseckiego, jak i Konfederacji Narodu. Drobik zawiadomił 31 marca 1943 r. Pełczyńskiego o dalszych przygotowaniach UBK, kończąc słowami: „Impreza Piaseckiego zaczyna przybierać niebezpieczne formy i może pociągnąć za sobą katastrofalne skutki". Z miejsca w adnotacji do tego meldunku dołączył się szef sztabu KG AK, który do Remigiusza Grocholskiego napisał: „Beznadziejna paplanina, ciągle zagrażająca wszystkim, zapowiedz im, że nie pójdą na wschód. Marek".

Rowecki może nie rozemocjonowany, ale nieco podenerwowany wystawnością posiedzeń KG AK i empatycznie nastawiony do okupacyjnej rzeczywistości napisał do Szefowej Oddziału V-K KG AK Janiny Karasiówny ps. HK, H Kościesza: „Janka, stwierdziłem po obu pierwszych obiadach odprawowych, że są za bardzo luksusowe jak na dzisiejsze czasy. Trzeba zmniejszyć dotacje pieniężne na ten cel idące, polecenie większych ograniczeń zarówno ilości (zbędne II śniadanie jak na przykład dla Kuchni), jak i jakości". Skomentował i uściślił to Pełczyński już konkretnie, jak przystało zresztą na szefa sztabu KG AK. Zaordynował, że w związku z tym, iż „zostaliśmy potraktowani nadmiernie obfitym jedzeniem, to: 1) przeszkadza w pracy, 2) nie czas na wyżerę". Jednocześnie podał konkretny przepis i skład posiłków, co może dziś nieco śmieszyć, ale w warunkach powszechnie panującego głodu i braku zaopatrzenia nie było wówczas bez znaczenia. Zaordynował 7 maja 1943 r.: „Dla wszystkich odpraw miało być przygotowane: jedno jedzenie – obiad, możliwie smaczny i dość obfity, składa się z zupy, dania mięsnego i kawy lub herbaty z ciastkiem. Poza tym jedzenia nie ma, natomiast na żądanie przed obiadem lub przed wieczorem szklanka herbaty. Żadne kanapki, żadne drugie śniadanie, żadne podwieczorki". Jak widać, nie pozostawił wielkiego wyboru kwatermistrzostwu. Czasami obrywało się od „Grota" również Kedywowi, u którego nie był w stanie tolerować pierwszych nieprzygotowanych dobrze akcji dywersyjnych, o czym pisał do szefa oddziałów dyspozycyjnych w dość stanowczych słowach, za którymi kryły się o wiele mocniejsze wypowiadane podczas narad.

* * *

Podobny w reakcjach szef Oddziału II KG ZWZ-AK Marian Drobik ps. Dzięcioł bywał z kolei wyraźnie poirytowany biurokracją kancelarii i zachłannością finansową podkomendnych. Chyba najbardziej rozsierdziła go działalność na terenie podległego mu Oddziału II Kazimierza Gorzkowskiego ps. As (1899–1983), szefa komórki więziennej Komendy Okręgu Warszawskiego ZWZ-AK. Zdenerwowany Drobik, nie przebierając w słowach, w krótkich żołnierskich frazach 18 sierpnia 1942 r. skomentował: „Obecnie po raz ostatni apeluję do Pana w imieniu Służby, by Pan zaprzestał nieodpowiedzialnego hasania – bezpośredniego czy zza spódniczek życzliwych Panu Pań przynajmniej po terenach powierzonych mojej odpowiedzialności. Ani Pańska bezsporna ideowość, ani chęć ulżenia doli cierpiącym, ani wysoka samoocena własnej rzutkości nie daje Panu uprawnień do grania bez końca roli „postrachu rodziny: psotnego »Kazika«, który »z dobrego serca« i w nieustannej chęci poprawiania innych przejawia nieposkromioną działalność, która w gruncie jest szkodliwym dla Służby wścibstwem. Byłbym niezmiernie rad, by apel ten wystarczył, żeby skłonić Pana do opamiętania i poniechania błędnych dróg, na które Pana pcha Pański temperament i pewna część otoczenia. Oszczędziłoby mi to dalszych wysiłków zmierzających do wymuszenia dyscypliny, Panu zaś – nieuchronnych przykrości". Widać szczególnie wrażliwość Drobika odnośnie do łączniczek z komórki więziennej. „Dzięcioł" pisał: „Kilkakrotnie obijały mi się o uszy echa Pańskiej osobistej »ruchliwości« oraz intryg, prowadzonych przez związane z Panem niewiasty" oraz „przysłaniając się »paniusiami« z dawnej komórki więziennej, prowadzi Pan tam nadal jakąś akcję werbunkową". Zresztą Drobik potrafił rozdygotanym emocjonalnie podwładnym przedstawić jasną konsekwencję ich zachowań, pisząc o szefie jednego z referatów wywiadu KG AK tak: „Jeśli stan jego nerwów w połączeniu z przewrażliwieniem na punkcie swojej nieomylności będą nadal stały Szefowi 204 na przeszkodzie w dostosowaniu się do moich żądań, przewiduję przeniesienie go do rezerwy bez względu na przejściowe skutki". Drobik wściekał się również na niektórych podwładnych pochłaniających zbyt wiele środków finansowych. Czasami potrafił skwitować to dość dosadnie, nazywając takich „pijawkami". Nerwowo reagował także na wszelkie przejawy biurokracji. To podejście Drobika do spraw służbowych skomentowali wierszykiem jego podkomendni z Biura Studiów Przemysłowych Oddziału II KG AK kryptonim Lombard: „Pan Prezes burczy, łaje, klnie/ Głos jego jest donośny!/ Wszystko nie w porę, wszystko źle!/ Roboty tyle piętrzy się –/ Bo..., »Lombard« ma przenośny".

* * *

Komendanta Głównego AK Tadeusza Komorowskiego ps. Bór przedstawia się jako dobrze wychowanego arystokratę i statecznego dowódcę. Wielokrotnie jednak pokazał, że potrafił być twardym i zdecydowanym przełożonym. Za przykład niech świadczy choćby mało lub zupełnie nieznany rozkaz „Bora" nakazujący zlikwidować „Teklę" Borkowską. Młoda maszynistka Ludwika Widerszala ps. Pisarczyk z BIP KG AK okazała się szkodliwą agentką Gestapo, o czym zresztą sama poinformowała dowództwo. „Bór" z zimną krwią, bez emocji rozkazał: „Należy ją bezzwłocznie zlikwidować w sposób taki, by nie pozostał ślad i by o tym nikt nie wiedział, bo w przyszłości nikt by się więcej nie przyznał, gdyby wiedział, jaki koniec jest w takim wypadku. Doniesienie do sądu przedstawić dodatkowo, a likwidację wykonać bezzwłocznie, nie czekając »

eprasa.pl 287b547067

» na wyrok. Polećcie pilnować, by przy przeprowadzaniu nie uciekła ani nie zrobiła alarmu. Trzeba całą sprawę dobrze zorganizować". Co ciekawe, „Tekla" lipiec 1944 r. przeżyła, w powstaniu zdążyła zaszkodzić walczącym, a i po wojnie była agentką UB i SB (więcej w artykule Mariusza Olczaka „O likwidatorach z kontrwywiadu" w „wSieci Historii" nr 11–12 (90-91)/ 2020). „Bór" potrafił też zrugać za nieścisłe i wymyślone informacje „Biuletyn Informacyjny", który, jak się wyraził: „Nie jest przedsiębiorstwem prasowym, tylko organem Komendy, o czym wszyscy wiedzą". Ta awantura była na tyle głośna, że redakcja „zaniechała – na wszelki wypadek – wręczenia Komendantowi »Warszawa walczy«, gdyż tam jest zbyt już wiele bujd i »prawdopodobieństw«".

* * *

Zupełnie inny wymiar mają pretensje skierowane do przełożonych. Konkretni dowódcy tylko w wyjątkowych sytuacjach nie byli w stanie powściągnąć emocji i takich przypadków mamy relatywnie mało. Warto zacytować explicite pismo, jakie skierował do dowódcy Oddziałów Dyspozycyjnych Kedywu KG AK mjr. Jana Wojciecha Kiwerskiego ps. Rudzki i pośrednio samego dowódcy Kedywu KG AK Emila Fieldorfa ps. Nil dowódca batalionu „Zośka" Ryszard Białous ps. Jerzy. Nie ulega kwestii, że wyrzucając swoim przełożonym złą wolę i zamiłowanie do biurokracji, wykazał się odwagą. Nie był bowiem w stanie się pogodzić z tym, że jego młodzi podkomendni ryzykują życiem, giną za Ojczyznę, a siedzący w spokoju biurokraci wstrzymują im odznaczenia i awanse. Inna sprawa, że „Jerzy" pisał do swojego nie tyle przełożonego, ile de facto współpracownika. W meldunku z 4 października 1943 r. czytamy:

„Jeszcze raz podkreślam, że wierzymy mocno w dobrą wolę Pana i Pana Nila, niemniej jednak na dalszych bezdrożach drogi służbowej w jej górnym biegu musi tkwić jakaś »persona«, która, albo celowo przez jakąś małostkową zawiść, lub też przez karygodne niedołęstwo, wniosków tych nie chce, lub nie umie w sposób właściwy załatwić.

CZASAMI OBRYWAŁO SIĘ OD „GROTA" RÓWNIEŻ KEDYWOWI, U KTÓREGO NIE BYŁ W STANIE TOLEROWAĆ PIERWSZYCH NIEPRZYGOTOWANYCH DOBRZE AKCJI DYWERSYJNYCH, O CZYM PISAŁ DO SZEFA ODDZIAŁÓW DYSPOZYCYJNYCH W DOŚĆ STANOWCZYCH SŁOWACH

Tu muszę podkreślić, że aż do »Długiej« z żadnymi wnioskami nie występowaliśmy i jedynie na wyraźne życzenie panów podajemy listy ludzi do odznaczeń.

Ogólnie rzecz biorąc, sprawę odznaczeń należałoby specjalnie rozpatrzyć, bo zupełnie humorystycznie /choć humor to makabryczny/ wygląda oczekiwanie na śmierć »bohatera«, żeby wreszcie, po długich staraniach i zabiegach, jako już nie groźną konkurencję zaszczycić go krzyżem, gdy już inny krzyż – drewniany jest dostatecznym symbolem męstwa w walce o niepodległość Ojczyzny.

Aż dziwne jest pomyśleć, że częstokroć szafarzem odznaczeń może być człowiek, którego bohaterstwo ogranicza się [do] imponowania starym ciotkom i wysiadywania stołków przy »jakże ważnych« czynnościach biurowych.

Czyż nie lepiej byłoby dać prawo odznaczania dowódcy na polu walki, czy też bezpośredniemu jego przełożonemu, ale człowiekowi, który jak Pan czy Pan Nil bierze udział w tej walce, raz to będzie bezpośrednio, innym razem głową, a zawsze – sercem, ale ludziom z linii, a nie biurokratom, którzy poza rozdzielnikami nic nie widzą i w których głowach nie może się pomieścić fakt, że bohaterstwo może wyjść poza ramy kontyngentu czy rozdzielnika; biurokratom powtarzam, którzy w atmosferę czynu żołnierskiego wnoszą swojski wprawdzie, ale jakże niemiły odorek »radosnej twórczości« sprzed września 39 r.

Wybaczy mi Pan ton tego listu, podyktowany może rozgoryczeniem, ale gdy człowiek patrzy na rosnący szpaler mogił na cmentarzu wojskowym i widzi jednocześnie małostkowe zabiegi różnych gryzipiórków sztabowych zawistnych o odznaczenia, lecz zachowujących swoje »cenne« głowy dla spijania wymarzonej śmietanki, która im się »kontyngentowym bohaterom«, w przyszłej Wolnej Polsce jako elicie Narodu »słusznie« przecież należy, to może człowieka krew nagła zalać, a na usta cisną się słowa, które w tych okolicznościach są chyba usprawiedliwione.

Jeżeli Panowie, którzy posiadacie nasze zaufanie, wypowiedzą zdecydowaną wojnę temu rozdzielnikowemu kołtuństwu, to wierzę, że będzie nam w przyszłości oszczędzony widok wyorderowanych oficerów, którzy dawali takie skandaliczne przykłady tchórzostwa, jak to niejeden z nas widział w 1939 r.

Jeszcze raz Pana przepraszam za to, że to właśnie Pan ten list czytać będzie, ale jeśli będzie uważał Pan za stosowne zużytkowanie go na dalszych szczeblach służbowej drabiny, to bardzo proszę – co powiedziałem to podpisuję. Z poważaniem /–/ Jerzy ".

* * *

Rzecz jasna to tylko fragment mniejszych lub większych dowódczych emocji wylewanych na papier meldunków, rozkazów i oficjalnych pism dowódczych. Kiedy nie były one rozwiązywane polubownie lub nie osiągano kompromisu, wówczas wylewały się na karty okupacyjnych meldunków, rozkazów i pism. Już po wojnie emocjonalne sytuacje i konflikty urastały do jeszcze większych rozmiarów w relacjach samych uczestników i świadków zdarzeń. Z kolei osoby, które o nich słyszały z drugiej ręki, nierzadko dopowiadały nieistniejące zdarzenia. Dlatego ograniczyłem się do samych meldunków i dokumentów z czasów, kiedy podawanie nieprawdy w dokumentach mogło się zakończyć poważną konsekwencją, z karą śmierci włącznie.

eprasa.pl 287b547067



Barbara Sadowska z rodzicami, siostrzenicą i Michałem Sadowskim, Klarysew

KAPITAN BARBARA SADOWSKA

18 LISTOPADA OBCHODZILIŚMY 30. ROCZNICĘ ŚMIERCI BARBARY SADOWSKIEJ. W MOMENCIE ARESZTOWANIA 13 MARCA 1946 r. MIAŁA NIESPEŁNA 25 LAT



JACEK CZAPUTOWICZ

Była kapitanem, dowódcą ekspozytury wywiadowczej „Liceum” podległej bezpośrednio II Korpusowi gen. Andersa, odznaczona Virtuti Militari. Sadowska była też symbolem młodzieży akowskiej – jej postać skupiała w sobie dylematy, przed jakimi stali żołnierze AK po zajęciu Polski przez wojska sowieckie i narzuceniu komunizmu.

Dzieciństwo w alei Róż

Barbara Sadowska urodziła się 23 sierpnia 1921 r. w domu Henryka Rewkiewicza, przedsiębiorcy, dyrektora Monopolu Zapałczanego w II RP. Mieszkała z rodzicami i trzema siostrami w alei Róż w Warszawie oraz w podwarszawskim Klarysewie. Miała szczęśliwe dzieciństwo: francuska guwernantka Natalie, wakacje za granicą, prywatna szkoła żeńska im. Cecylii Plater-Zyberkówny, dyskusje z przyjaciółmi i kuzynami, marzenia i pierwsze sympatie...

23 sierpnia 1939 r. obchodziła swoje 18. urodziny. Data symboliczna, tego bowiem dnia ministrowie spraw zagranicznych Niemiec i Rosji – Ribbentrop i Mołotow – podpisali pakt, który zmienił losy Europy, Polski i życie jej samej. Barbara weszła do konspiracji w ramach Związku Walki Zbrojnej. Roznosiła listy i meldunki po Warszawie. Po pewnym czasie zgłosiła się do Biura Informacji Propagandy i została kurierem dalekobieżnym. Była to praca wyczerpująca, wymagająca zachowania czujności, kontrole w pociągach i na dworcach były bowiem częste.



Barbara Sadowska, wrzesień 1945

Jesienią 1943 r. z inspiracji Michała Sadowskiego przeniosła się do wywiadu AK. Moment ten opisała Halina Zakrzewska „Beda”: „Dziewczyna wyglądała na 18 lat. Blondynka, bardzo atrakcyjna, elegancka, rezolutna »smarkula«... Patrzyłam, nie wierząc własnym oczom, że to śliczne dziewczę o jasnych długich lokach od dawna woziło do Krakowa naszą prasę”.

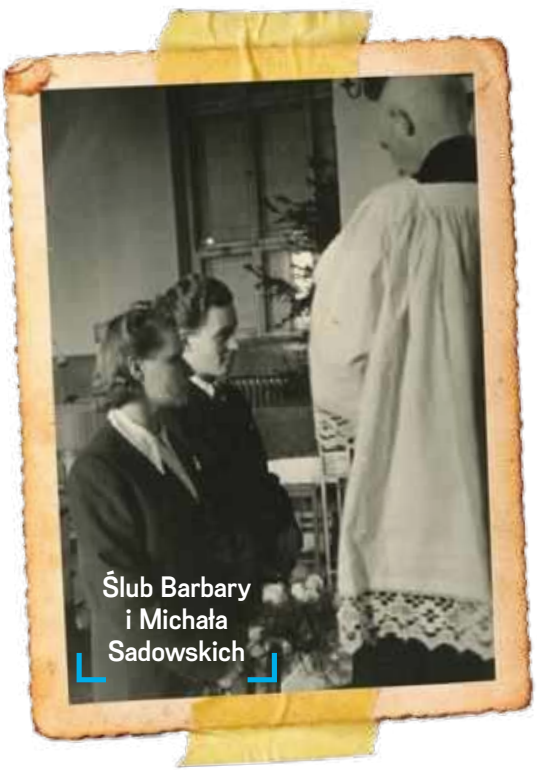
Początki nie układały się jednak szczęśliwie. Już na pierwszym wyjeździe do Mińska Sadowska została przez Niemców aresztowana. Posługiwała się dokumentami niemieckiej organizacji paramilitarnej Todta. Michałowi Sadowskiemu udało się przekupić strażników i nierozpoznana została zwolniona. Niedługo po tym – 28 stycznia 1944 r. – biorą ślub. Udziela im go o. Tomasz Rostworowski, kapelan AK. »

FOT. ARCHIWUM RODZINNE MAGDALENY SADOWSKIEJ-CZAPUTOWICZ; IPN

eprasa.pl 287b547067

„Ekipa Wschód"

Szybkie posuwanie się frontu groziło odcięciem placówek wywiadowczych na Wschodzie. W lipcu 1944 r. została wysłana „Ekipa Wschód", której celem było nawiązanie łączności, ewakuowanie ludzi i – jeżeli możliwe – kontynuowanie wywiadu o charakterze politycznym. Na czele stanął Henryk Żuk, a w skład ekipy wchodzili także Michał i Barbara Sadowscy. Zadanie Sadowskiej polegało na przewożeniu meldunków do dowództwa w Warszawie.



Ślub Barbary i Michała Sadowskich

Michał Sadowski przekroczył Bug 15 sierpnia, by objąć placówkę w Brześciu, został jednak aresztowany. Sadowska wyruszyła w poszukiwaniu męża w brzeskich więzieniach, jednak bezskutecznie. Z późniejszych relacji wiemy, że po kilku miesiącach pobytu w więzieniu trafił do obozu w Archangielsku, skąd powrócił po czterech latach.

Kontakt ze sztabem AK został zerwany, jednak działalność wywiadowcza była kontynuowana, o czym świadczą meldunki, które są w aktach spraw „WiN" i „Liceum". Z depeszy gen. Leopolda Okulickiego do Londynu wiemy, że ekspozytury w Mińsku, Baranowiczach, Brześciu i Siedlcach zostały podjęte, natomiast nie została nawiązana łączność z ekspozyturami lwowskimi.

Pod koniec stycznia 1945 r. Żuk i Sadowska przeszli po lodzie Wisłę i zamieszkali w willi Rewkiewiczów w Klarysewie. Na przełomie marca i kwietnia 1945 r. nawiązali kontakt z dowództwem AK w Częstochowie. Ich ekspozytura „Pralnia II" została włączona w sieć wywiadowczą Delegatury Sił Zbrojnych. Była największa, zatrudniała 70 osób, podczas gdy trzy pozostałe w sumie 20 osób. Barbara Sadowska została zastępcą Żuka.

Wyjazd do gen. Andersa

7 maja 1945 r. płk Jan Rzepecki został powołany na stanowisko Delegata Sił Zbrojnych. Latem 1945 r. rozwiązał „Pralnię II", pozostawiając jedynie komórki wywiadu wojskowego i transportu samochodowego. Żuk i Sadowska postanowili się skontaktować z władzami na Zachodzie. Nie zdołali się dostać do Londynu, dotarli jednak do II Korpusu gen. Andersa we Włoszech. Tam otrzymali polecenie kontynuowania działalności, instrukcje, radiostację oraz 4 tys. dol. na pierwszy miesiąc pracy. Po powrocie zebrali swoich pracowników i wznowili działalność. Jednak już 9 listopada 1945 r. Żuk został aresztowany, w momencie gdy odbierał od kuriera instrukcję do radiostacji.

Na czele ekspozytury stanęła Barbara Sadowska. Nadała jej kryptonim Liceum, a sama przyjęła pseudonim Robert. Przeniosła się wraz z najbliższymi współpracownikami do Łodzi. Opracowała wytyczne wywiadowcze dotyczące sprawozdawania ruchu transportów kolejowych, działalności oddziałów partyzanckich AK i NSZ, ingerencji władz rosyjskich i represji ze strony UB.

W Warszawie funkcjonowała komórka kontrwywiadowcza i samochodowa „Cyrk", którą kierował Stanisław Karolkiewicz, „Szkoła" z Bolesławem Zieleniewskim oraz „Biuro Studiów" z Tadeuszem Kwiekiem. Kurierzy obsługiwali komórki w Gdańsku, Katowicach Lublinie, a także w Wilnie. Ta ostatnia dostarczała też informacji z Mińska i starała się dotrzeć do Smoleńska i Moskwy. Przyjęła ona później nazwę „Auszra", co po litewsku oznacza jutrzenkę.

Kontakt z II Korpusem gen. Andersa Sadowska utrzymywała przez kurierów Mieczysława Błaszkiewicza i Zbigniewa Markowskiego. Oddział II oczekiwał, by w pracy wywiadowczej położyć nacisk na informacje wojskowe, pogłębić wywiad za linią Curzona i starać się dotrzeć jak najbliżej Moskwy. Obaj kurierzy przywieźli też po 8 tys. dol. na dwa miesiące pracy.

Wpadka „Liceum"

Wpadkę „Liceum" zapoczątkowało zatrzymanie 28 lutego 1946 r. żołnierzy z komórki samochodowej. Podczas rewizji u Karolkiewicza znaleziono raport kontrwywiadowczy, broń i pieczęcie legalizacyjne. Kierowca Sadowskiej podał adresy, na które ją woził, oraz rysopisy osób, z którymi się spotykała i o czym rozmawiali.

Aresztowany został kpt. Mieczysław Sokołowski, szef komórki wywiadu wojskowego, i Józef Czerniawski. Obaj zostali skazani na karę śmierci, którą wykonano w listopadzie 1946 r. Kary śmierci dostali też Halina Zwinogrodzka i Henryk Dzięgielewski, zamienione następnie na dożywocie. Śledczy wpadli również na trop wileńskiej „Auszry", podległej warszawskiej centrali „Liceum". Wieloletnie wyroki dostało 70 osób, sądzonych przez sądy sowieckie.

Barbara Sadowska wpadła w zasadzkę zastawioną przez Humera. 13 marca 1946 r. wysłała małą dziewczynkę do starszej kobiety, która pośredniczyła w przekazywaniu paczek dla aresztowanych. Sama, obawiając się zatrzymania, czekała na zewnątrz. Po chwili wybiegł por. Karpiński, funkcjonariusz UB. W raporcie z zatrzymania pisał: „W pogoni za nią oddałem dwa strzały i po krótkiej gonitwie i szamotaniu się przytrzymałem ją i doprowadziłem do gmachu MBP".

Sadowska była przesłuchiwana przez kilka dni niemal bez przerwy. Pozwalano jej wyjść do celi najwyżej na godzinę. Na przesłuchaniu 18 marca powiedziała, że nie poda struktury „Liceum", „ponieważ prowadziłoby to do dekonspiracji ludzi tego wywiadu". Śledczy mieli jednak zeznania członków komórki „Cyrk", w których przyznali się oni do zabójstwa żołnierza sowieckiego i napadów rabunkowych. Sadowską poinformowano, że działalność „Liceum" jest zagrożona karą śmierci lub wieloletniego więzienia. W tej sytuacji zdecydowała się na napisanie listu, w którym bierze całą odpowiedzialność na siebie. Podkreśla, że jej współpracownicy działali z pobudek ideowych i na skutek wywieranej przez nią moralnej presji oraz prosi o ich uwolnienie i wydanie na nią kary śmierci. Dodaje, że honor

eprasa.pl 287b547067

nie pozwala jej na wydanie „Liceum", a po jej aresztowaniu siatka zaprzestanie działalności.

Wtedy Różański zaproponował jej ujawnienie „Liceum" w zamian za uwolnienie współpracowników lub mniejsze wyroki. Sadowska postawiła warunek, że decyzja musi zostać podjęta razem z Henrykiem Żukiem. Różański zgodził się na ich spotkanie bez świadków, podczas którego wspólnie zdecydowali, że należy ratować ludzi. Mieli także świadomość, że wszyscy i tak byliby aresztowani na podstawie zeznań osób już zatrzymanych. Kurier Mieczysław Błaszkiewicz na procesie mówił: „Ostatecznie kiedy nas aresztowano, dowiedziałem się, że Barbara kazała wszystko ujawnić. Przyjąłem to z ulgą, bo to było jedyne wyjście z tej sytuacji".

Likwidacja „Liceum" nastąpiła w czasie, gdy II Korpus został przekształcony w Korpus Przysposobienia i Rozmieszczenia, stając się częścią brytyjskich sił zbrojnych. Oddział II został rozwiązany, a polski wywiad przejęty przez Brytyjczyków. Ponieważ Sadowska i jej współpracownicy co do zasady odrzucali pracę wywiadowczą na rzecz innego państwa, likwidacja „Liceum" nastąpiła we właściwym momencie.

Proces

Proces „Liceum" odbył się w lipcu 1947 r. Sadowska była szantażowana, by nie mówić o umowie z władzami bezpieczeństwa, ponieważ zaszkodzi to jej współpracownikom. Musiała też poddać krytyce działalność władz emigracyjnych i kontynuację konspiracji, co było jednak uzasadnione i zgodne z jej przekonaniami. Przypomnijmy, że gen. Anders liczył wówczas na konflikt zbrojny, być może nuklearny, między ZSRR a Anglią. Z kolei polskie władze w Londynie nie uznawały postanowień poczdamskich odnośnie do zachodnich granic Polski. Symbolicznym wyrazem tego były słowa premiera Arciszewskiego: „Nie chcemy Szczecina, nie chcemy Wrocławia". Sadowska miała wątpliwości, czy ta polityka leży w interesie Polski.

Różański oczekiwał pokajania się, jednak Sadowska stwierdziła, że świadczyłoby to o braku kośćca moralnego i w wypadku „Liceum" jest to niemożliwe. Jako główna oskarżona przemawiała jako pierwsza. W sposób spokojny przedstawiła swoją drogę konspiracyjną i racje przemawiające za kontynuowaniem działalności. Broniła swoich współpracowników, biorąc całą winę na siebie. Uderzający był kontrast między narzuconym przez propagandę obrazem szpiega a tym, kim była ona w rzeczywistości. Obserwatorom trudno było ukryć zdumienie, że ta młoda dziewczyna kierowała największą ekspozyturą wywiadowczą w kraju, doświadczonymi oficerami, którzy siedzieli za nią na ławie oskarżonych.

Tego pierwszego wrażenia z procesu nie udało się już zatrzeć. Musiał interweniować główny ideolog partyjny Roman Werfel, który na łamach „Głosu Ludu" zarzucił oskarżonym, że przyznają się do winy jedynie powierzchownie, a winy ich są wielkie, dlatego ma nadzieję, że sąd to uwzględni. Sadowska została skazana na dziewięć lat więzienia, jej współpracownicy – od pięciu do ośmiu lat, a trzy osoby otrzymały kary w zawieszeniu. Nieco wyższe wyroki otrzymały osoby, którym udowodniono udział w napadach.

Więzień polityczny

Barbara Sadowska była nie tylko odważnym wywiadowcą, wybitnym dowódcą, ale i wyjątkowym więźniem politycznym. Ponad dwa lata spędziła w więzieniu na Mokotowie, a resztę kary odbyła w więzieniu w Fordonie. Barbara Otwinowska wspomina, że „miała ona naturalną młodzieńczą werwę, poczucie humoru i romantyzm młodej dziewczyny". Prowadziła gimnastykę, dawała lekcje angielskiego, nauczyła współwięźniarki piosenki „Czerwone maki na Monte Cassino", którą poznała, będąc u gen. Andersa. W jednej z piosenek śpiewano na Mokotowie: „Są tu WiN-y, Eneszety i »Liceum« z Basią swą, wszystkie klawe są kobiety, same asy tutaj są".

Sadowską cechowała jednak pewna szczególna determinacja w dążeniu do celu, jakim było uwolnienie jej współpracowników. Padraic Kenney w książce „Dance in Chains" zestawia Sadowską z takimi działaczami jak Nelson Mandela i irlandzki działacz Bobby Sands, który w wyniku głodówki zmarł w więzieniu. Sposobem oddziaływania Sadowskiej były protesty głodowe, które podejmowała pięciokrotnie. Ruta Czaplińska wspomina o jednym z nich: „Basia nie jadła i nie piła. Głodówki nie zgłaszała, bo chciała się znaleźć na krawędzi życia i śmierci, żeby w ten sposób wymóc na UB realizację swoich żądań... Basia była rozpalona, buchało od niej acetonem. Wtedy dopiero zgłosiła głodówkę. Zabrano ją natychmiast do szpitala". W ten sposób uzyskiwała pewne ustępstwa, władze udzielały członkom „Liceum" przerw w wykonywaniu kary. Gdy jednak zorientowała się, że wrócili oni do więzienia, ogłaszała kolejną głodówkę.

Po śmierci Stalina w marcu 1953 r. władze proponowały jej wyjście na wolność, odpowiedziała jednak, że nie widzi takiej możliwości, skoro siedzą inni. Została zwolniona 30 października 1953 r. na mocy decyzji Rady Państwa. W PRL utrzymywała się z nauczania języka angielskiego i tłumaczenia literatury angielskiej. Zmarła 18 listopada 1991 r., jest pochowana na Powązkach Wojskowych.



Kenkarta Barbary Sadowskiej

FOT. ARCHIWUM RODZINNE MAGDALENY SADOWSKIEJ-CZAPUTOWICZ; IPN

eprasa.pl 287b547067

URSZULA

NA KANWIE WIZYTY KS. F. BLACHNICKIEGO W STANACH ZJEDNOCZONYCH W 1978 r.

DOKUMENTUJĄC HISTORIĘ ODNOWY W DUCHU ŚWIĘTYM W POLSCE, MUSIELIŚMY ZAJRZEĆ NIE TYLKO DO WIELU ARCHIWÓW, LECZ TAKŻE PRZEPROWADZIĆ ROZMOWY Z KILKUSET OSOBAMI, ŚWIADKAMI WYDARZEŃ SPRZED KILKU DEKAD – DZIŚ ROZSIANYMI PO CAŁYM ŚWIECIE

MAŁGORZATA I MAREK NOWICCY

Jedną z takich osób jest Urszula Piotrowska, do dziś mieszkająca w Wielkiej Brytanii, przed 40 laty tłumaczka ks. Franciszka Blachnickiego w trakcie jego wyjazdów do Stanów Zjednoczonych i Irlandii. Choć założyciel Ruchu Światło-Życie jako Sługa Boży czeka na beatyfikację, to jednak nikt dotąd nie postarał się o to, aby o nim z nią porozmawiać.

Spełnione marzenie

W sobotę 1 kwietnia 1978 r. w domu państwa Piotrowskich w Brighton nad kanałem La Manche rozdzwonił się telefon. Dyrektor angielskiego oddziału Campus Crusade for Christ pilnie poszukiwał Urszuli. Kiedy podeszła do słuchawki, zapytał: „Do you believe that God make dreams come true?" („Czy wierzysz, że Pan Bóg spełnia marzenia?"). Urszula do dzisiaj pamięta to pytanie i odpowiedź, której udzieliła, że owszem wierzy, ale z tego, co widzi, to na razie Bóg spełnia marzenia innych. A bardzo chciała wyjechać do Stanów Zjednoczonych. W latach 70. nie było to jeszcze takie ani łatwe, ani tanie – nawet jeśli się mieszkało w Wielkiej Brytanii. No i właśnie wtedy dowiedziała się, że pojutrze wylatuje do USA.

Urszula Piotrowska urodziła się w Brighton w 1947 r. w obozie dla polskich uchodźców. Jej rodzice poznali się nieco wcześniej w Niemczech; ojciec w polskim mundurze wyzwalał tereny na pograniczu niemiecko-holenderskim i tam spotkał wywiezioną z Polski na roboty swoją przyszłą żonę. Urszula była ich pierwszym dzieckiem i automatycznie – na co od razu po wojnie pozwalało wyspiarskie państwo – otrzymała brytyjskie obywatelstwo. W domu w Brighton ojciec wprowadził zakaz mówienia po angielsku: obowiązywały tylko polski język, polskie tradycje i polska wiara. Przy wychodzeniu z domu na pożegnanie mówiło się: „Szczęść Boże", a na powitanie: „Niech będzie pochwalony". Pomimo wychowania w katolickiej rodzinie w okresie studiów Urszula za pośrednictwem ludzi z Campus Crusade for Christ zmienia wyznanie na protestanckie i staje się etatowym pracownikiem organizacji. To wywołuje ogromne napięcie w domu. Rodzice,


One of her colleagues describes her as "the m
Urszula's kind heart has won her scores
easy for this very human, ver
When Urszula was nine, she saw a television programme that showed Jesus being whipped and
says of Urszula. "T
when she managed t
with a taxi driver a

Urszula Piotrowska (ur. 1947 r.). Zdjęcie pochodzi z czasopisma wydawanego przez CCC: „Outlook Magazine Spring"/ Summer 1981 r.

zwłaszcza ojciec, z trudem akceptują ten wybór. Matka uprasza córkę, aby przynajmniej w czasie swoich wizyt w Brighton przykładnie chodziła z nimi na katolickie nabożeństwa. Urszula się zgadza.

31-letnia kobieta nie mieszka już od dawna ze swoimi rodzicami, tylko 350 mil na północ w Newcastle upon Tyne. Informacja o wyjeździe zastaje ją jednak w rodzinnym Brighton, dokąd przyjechała z bliskimi spędzić Wielkanoc. Za daleko, by wracać po bagaże. Od matki i siostry pożycza ubrania na zmianę, a od ojca –

FOT. KOPIA Z ZASOBÓW URSZULI PIOTROWSKIEJ

eprasa.pl 287b547067

pieniądze. Przyjaciółkę prosi, aby odnalazła w jej mieszkaniu w Newcastle paszport i wysłała kurierem do Londynu. Na lotnisku musi zameldować się w poniedziałek w samo południe. Po drodze noc spędzi u znajomych, pozostaje więc tylko jedna „drobna" sprawa do załatwienia... wiza do USA. W poniedziałek rano o 9 melduje się więc pod amerykańską ambasadą w Londynie. Mimo że biuro jeszcze nie zostało otwarte, na zewnątrz kłębi się jakieś pół setki osób. Urszula siada i zaczyna się modlić. Pani siedząca obok zapytuje uprzejmie, kiedy Ula planuje wyjechać, a słysząc niepoważną odpowiedź, że za trzy godziny, milknie i już się nie odzywa. To po prostu po ludzku nie mogło się udać. A jednak się udaje. Pracownicy ambasady, aby rozładować wyjątkowo długą tego dnia kolejkę, uruchamiają nadzwyczaj szybko kolejne okienka wizowe i Urszuli udaje się zdążyć na samolot.

Wrócisz

W tym czasie ks. F. Blachnicki już dotarł do South Bend w stanie Indiana – tu następnego dnia oboje się spotkają. Urszula będzie jego tłumaczką podczas całej podróży. Znają się z Polski sprzed dwóch lat, gdzie jako pracownica CCC razem z innymi misjonarzami tej organizacji przyjechała na ewangelizację do Krościenka. Wyjazd do Stanów na ostatnią chwilę wynikał z tego, że do końca Amerykanie powątpiewali, czy SB wypuści Proroka z kraju. W poprzednich latach bezpieka nie pozwalała na wyjazdy, jednak w 1978 r. uczyniła wyjątek. Blachnicki odbiera paszport 16 marca, a pięć dni później w Krakowie urzędnik amerykańskiego konsulatu wbija do niego półroczną wizę turystyczną. Na wszelki wypadek jednak obok stawia – wszakże to obywatel komunistycznego państwa – dodatkowe pieczątki z informacjami, że okaziciel wizy zamierza w Stanach przebywać nie dłużej niż pięć tygodni i nie może tam pracować. Dopiero wtedy zaczynają się starania o bilet lotniczy. Biurokratyczne formalności trzeba jednak załatwiać do końca – jeszcze 1 kwietnia w dniu wylotu o 6.20 rano ks. Blachnicki odbiera w Sekretariacie Prymasa na Miodowej kościelną pisemną zgodę na wyjazd za granicę – bez niej, mimo posiadania paszportu i wizy, mógłby mieć kłopoty nawet z przekroczeniem granicy na lotnisku w Warszawie. W autorytarnym państwie wszystko może się zdarzyć, więc międzywyznaniowy ruch CCC, który sponsoruje wyjazd katolickiego księdza, dopiero po jego wylądowaniu w Chicago uruchamia całą organizacyjną machinę związaną z wizytą. Staje się to tego samego długiego dla Proroka 1 kwietnia 1978 r. Wtedy rozgrzewają się telefony, ktoś kupuje kolejne bilety na kolejne loty międzystanowe, ktoś inny rezerwuje noclegi, a angielski dyrektor dzwoni do tłumaczki.

Ks. Blachnicki zna historię życia Urszuli i wie o jej konwersji na protestantyzm: „Chyba za bardzo mu to nie przeszkadzało, widział, że poświęcam się ewangelizacji i to wydawało mu się najważniejsze. Tak mi mówił: »Urszula, ty kiedyś wrócisz do katolicyzmu, bo ty masz polską duszę«. Można powiedzieć, że traktował mnie jak córkę. On był w wieku mojego ojca, więc i dla mnie był jak ksiądz i ojciec" .

Ks. Blachnicki w Stanach uczy się ewangelizować po amerykańsku – z rozmachem: poznaje katolicką Odnowę w Duchu Świętym i uzgadnia z Billem Brightem szczegóły misyjnej współpracy międzywyznaniowej. To właśnie wtedy powstają zręby pierwszej w Polsce i jednej z pierwszych na świecie katolickich Szkół Ewangelizacji. To u Brighta oazowy lider poznaje osobiście Larry'ego Thompsona, który tamtego roku zostanie mianowany dyrektorem Agape w Polsce, będzie z Blachnickim współtworzył Training Center i pozostanie przez tę całą ostatnią niezwykłą dekadę życia Proroka jego wiernym przyjacielem. To w trakcie tej podróży Bright i Blachnicki z uśmiechem podzielą się światem po połowie: Blachnicki zobowiąże się zewangelizować Wschód, a Bright – Zachód. O tym ewangelizacyjnym dzieleniu Ziemi nie przeczytamy jednak w dziennikach Proroka. Aby się o tym dowiedzieć, trzeba wysłuchać Urszuli, której wspomnienia nagrywamy 40 lat później – w Polsce w 2016 r. Ku swojemu zaskoczeniu konstatujemy, że jesteśmy pierwszymi osobami, które proszą o udokumentowanie jej współpracy z księdzem, Sługą Bożym i kandydatem na ołtarze.

W Disneylandzie

Z fragmentów dziennika ks. Blachnickiego opublikowanych w Polsce w 2005 r. nie dowiemy się o jego wizycie w Disneylandzie. Założyciel Ruchu Światło-Życie w Centrali CCC w Arrowhead Springs spędził 10 dni. Bill Bright pyta go o jego marzenia – co chciałby zobaczyć w słynnej na cały świat Kalifornii? Gdzie pójść, odpocząć, może zaznać trochę rozrywki? No i ks. Blachnicki wyraża życzenie, aby odwiedzić Disneyland, czym nieco zaskakuje Billa Brighta – tak przynajmniej wspomina Urszula, która tłumaczyła rozmowę. Kalifornia mieni się mnóstwem ciekawych rzeczy do zobaczenia, a ks. Blachnicki jawił się gospodarzom jako poważny, może nieco sztywny nauczyciel akademicki, ksiądz, profesor; dlatego przywódca z Agape nie spodziewał się raczej, że ten, który planuje połowę świata zdobyć dla Chrystusa, wyrazi w pierwszej kolejności chęć spotkania z Myszką Miki i Kaczorem Donaldem.

Gospodarze życzeniu uczynili zadość. Następnego dnia progi Parku Disneya przekroczyła silna pięcioosobowa grupa: oprócz ks. Blachnickiego, Urszula i jej koleżanka oraz przewodniczka i Mabel Peek – żona pastora protestanckiego, która okazała się najwdzięczniejszą towarzyszką tej wyprawy. Była niewysokiego wzrostu, okrągła, około sześćdziesiątki, a więc mniej więcej w wieku wysokiego i raczej szczupłego księdza z Polski. „Mabel i ks. Blachnicki nie potrzebowali tłumacza. Zachowywali się jak dwoje dzieci. Chłopczyk i dziewczynka weszli do »

KU SWOJEMU ZASKOCZENIU KONSTATUJEMY, ŻE JESTEŚMY PIERWSZYMI OSOBAMI, KTÓRE PROSZĄ O UDOKUMENTOWANIE JEJ WSPÓŁPRACY Z KSIĘDZEM, SŁUGĄ BOŻYM I KANDYDATEM NA OŁTARZE

eprasa.pl 287b547067

» Parku. On zostawił te wszystkie wizje ewangelizacyjne za bramą i wszedł do Disneylandu jako dziecko. To było ujmujące – byłam zafascynowana. Ks. Blachnicki mówił po angielsku tylko: very nice, very nice oraz thank you i się dużo uśmiechał. A ona czasami go szturchała łokciem i mówiła wesoło: Hey, Father is'nt it great?! W trójkę się śmialiśmy, bo on naprawdę nie potrzebował tam tłumacza. Ja nic tam nie tłumaczyłam, może tylko raz zapytałam: Czy by ksiądz chciał lody, czy może czegoś się napić lub zjeść? Oni jak dzieci to zwiedzali i było w tym coś pięknego, że to jego wewnętrzne dziecko okazało się takie mocne. On był w tym Disneylandzie zafascynowany wszystkim. I czasami tylko mi mówił: Urszula, o! czy to nie jest fantastyczne? I ciągle tylko miał takie Oh! Oh!".

Po zakończeniu wizyty w Arrowhead Springs pojechali do Atlanty, Ann Arbor i Waszyngtonu, by na końcu wylądować w Nowym Jorku. Wszędzie działy się ważne rzeczy – dla Odnowy, dla ekumenizmu i ewangelizacji w Polsce. No i dla Ruchu Światło-Życie. W Ann Arbor ks. Blachnicki po raz pierwszy na spotkaniu modlitewnym tamtejszej grupy Odnowy usłyszał „Our God reigns" i się zakochał w tej pieśni od pierwszego „wejrzenia". „On, jak ją usłyszał, to jak choinka się zapalił. Do dziś pamiętam tę jego twarz". Urszula wstępnie przetłumaczyła tekst, a potem w pierwszych dniach maja, zaraz po powrocie Blachnickiego do Polski, wersety doszlifował na jego prośbę ks. W. Danielski. W ten sposób narodziło się polskie „Zwiastunom z gór", którym z kolei wkrótce potem zachwycił się K. Wojtyła.

U Neumanów spod Giżycka

1 maja w Nowym Jorku ks. Blachnicki zamieszkuje u państwa Neumanów, Mazurów spod Giżycka przyznających się do narodowości niemieckiej, mówiących trochę po polsku, bardzo pobożnych ludzi, protestantów. Po wojnie, mimo że większość Prus przypadła Polsce, oni nie wyjechali na Zachód – jeszcze jakiś czas mieszkali pod tym Giżyckiem. W końcu jednak postanowili przenieść się do USA. Na początek wspólna kolacja – z Glenem Kleinknechtem, który ich tam przywiózł, i Urszulą, która dostała trzy dni wolnego; bardzo napracowała się w ciągu całego miesiąca, tłumacząc niemal non stop rozmowy polskiego gościa, i krótki urlop



FOT. IPN

Ks. Franciszek Blachnicki

wydawał się dla niej jak najbardziej zasłużony. Tak więc ks. Blachnicki zostaje z Niemcami sam na sam. Było to możliwe i dlatego w ten sposób w ogóle zaaranżowane, że cała trójka porozumiewała się swobodnie po niemiecku. Już w czasie tej pierwszej kolacji jeszcze w obecności Urszuli i Glena wyszło, że gospodarz służył w Wehrmachcie, a ks. Blachnicki wspomniał, że był w Auschwitz. Atmosfera w ocenie tłumaczki „była niepewna", choć Prorok w swoich zapiskach temu wydarzeniu dał pozytywną notę: „Bardzo miła atmosfera". Z inicjatywą pojednania wyszedł Niemiec. „Do dziś widzę jego twarz. Zaczął mówić: »Byliśmy w czasie wojny po różnych stronach. W międzyczasie nawróciliśmy się, idziemy za Jezusem. Chcieliśmy was przeprosić, za wojnę i wszystko, co wam zrobiliśmy«. Od tego się zaczęło. Ksiądz Blachnicki powiedział wtedy, że on w czasie wojny walczył z Niemcami i on ma też za co ich przepraszać. I oto popłynęła piękna modlitwa, w trakcie której nastąpiła wymiana przebaczenia. W całości. Modlili się po niemiecku – ks. Blachnicki i ci gospodarze. Na koniec ks. Blachnicki część modlitwy wypowiedział po polsku, żebym mogła ją przetłumaczyć na angielski Glenowi. Nigdy tego nie zapomnę. Siedzieliśmy przy stole. Pamiętam nawet wzory na obrusie – to był taki niemiecko-polski obrus z ciężkiego materiału, prawie jak firana. W Holandii też takie widziałam. Oni te słowa wypowiadali do siebie nawzajem – nie do Pana Jezusa, tylko w obecności Pana Jezusa. Człowiek do człowieka. On przebaczał i prosił o wybaczenie. Oni prosili jego też o wybaczenie i wybaczali. Bardzo osobiste doświadczenie. Jezus w tym musiał być, bo tylko przez Niego i przez krzyż jesteśmy w stanie dokonać czegoś podobnego. Bardzo mnie ta modlitwa poruszyła; zrozumiałam, że nienawiść ma korzenie w nieprzebaczeniu. A kiedy ludzie wzajemnie sobie wybaczają, to przychodzi uzdrowienie. Niewybaczenie to jest rak dla duszy, i ja to zrozumiałam dzięki ks. Blachnickiemu. Brak przebaczenia potrafi rosnąć w każdym z nas i zabijać. W ks. Blachnickim też kiedyś była ta nienawiść; on już wcześniej przebaczył, ale nigdy do tamtego momentu nie miał możliwości, aby to wierzącym Niemcom przekazać. To było jego bardzo osobiste przebaczenie".

Szybko się porozumieli; kolejne dni spędzili na spacerach i rozmowach. Ks. Blachnicki opowiedział im o tym, jak Niemcy skazali go na śmierć, gospodarz zaś relacjonował swoją służbę w hitlerowskim wojsku. Dzielili się bólem z perspektywy ludzi wierzących. W czasie pożegnalnej kolacji trzy dni później, 4 maja, atmosfera wydawała się zdecydowanie luźniejsza.

„Widać było, że oni przez tych kilka dni się zżyli. Znowu popłynęła modlitwa. Ta pani płakała i ja płakałam, ks. Blachnicki miał pełne oczy i ten mężczyzna gospodarz też". Prorok jednak potrafił skutecznie trzymać emocje na wodzy. „Bardzo miły wieczór zakończony modlitwą" – tyle dowiadujemy się o tym spotkaniu z jego pamiętników.

Uśmiech Proroka

Urszula Piotrowska przez 20 lat pracowała na etacie w CCC. Jeszcze w 1984 r. tłumaczyła wystąpienia oazowego lidera w Irlandii. W tej chwili nie jest już związana z Kościołami ewangelicznymi. Opowiada o swoich dylematach z przynależnością do Kościoła anglikańskiego. W 2016 r. dokumentujemy jej wspomnienia w Polsce w domu jej cioci na Śląsku, dokąd systematycznie przyjeżdża na wakacje i święta. Krewni zachowują wiarę katolicką. Zjadamy obiad, a potem, ponieważ dochodzi 15, wszyscy młodzi i starzy klękają przed obrazem do koronki. Urszula też. Na koniec pytana delikatnie, czy wróci do Kościoła katolickiego, nie daje jasnej odpowiedzi: „Myślę, że ks. Blachnicki, jeżeli z góry przygląda się mojemu życiu, to się uśmiecha".

eprasa.pl 287b547067

HISTORIA PEWNEJ FOTOGRAFII



FOTOGRAFIE DAJĄ NAM SZANSĘ UPAMIĘTNIĆ NAJWAŻNIEJSZE MOMENTY ŻYCIA. UWIECZNIAMY WYDARZENIA ŻYCIA OSOBISTEGO, RODZINNEGO, SPOŁECZNEGO I CORAZ CZĘŚCIEJ TAKŻE NARODOWEGO CZY RELIGIJNEGO. ZAPEWNE W NIEJEDNEJ RODZINIE ZACHOWAŁY SIĘ ALBUMY, KTÓRE KRYJĄ WIELE OSOBISTYCH HISTORII



KAMIL SULEJ

Szczególną troską i dbałością otaczamy fotografie uwieczniające osoby, które już odeszły, oraz te, które pamiętają przełomowe wydarzenia. Tak też było ze zdjęciem znalezionym w archiwum rodziny Genca. Na fotografii pochodzącej z okresu okupacji widzimy dwóch uzbrojonych mężczyzn stojących na tle budynku z godłem w koronie.

Historię fotografii odkrywamy, poznając losy jednego z bohaterów, którym jest żołnierz Narodowych Sił Zbrojnych, więzień stalinowski – Ryszard Genca ps. Fred. Urodził się 5 czerwca 1924 r. w Lublinie. Od najmłodszych lat fascynował się wojskiem. Zainteresowanie rozwijał poprzez zaangażowanie w działalność harcerską. Gdy wybuchła II wojna światowa, Ryszard szybko włączył się >>



„Młodzi ZWM-wcy strzegą budynków państwowych w wyzwolonym Lublinie w lipcu 1944 r." – takim fałszywym podpisem prasa w PRL z uporem opatrywała zdjęcie przedstawiające żołnierza NSZ Ryszarda Genca (z prawej) i jego kolegę z oddziału

FOT. ARCHIWUM IPN

eprasa.pl 287b547067

» w działalność konspiracyjną. Ojciec Władysław wspominał po latach, że „kiedy w 1939 r. zobaczył go wchodzącego do domu z karabinem większym niż on sam – mało nie zemdlał z wrażenia i strachu".

Droga do NSZ

Bohater fotografii na początku okupacji niemieckiej został wcielony do obozu pracy Baudienst, w którym jako junak pracował przy budowie torów kolejowych. Praca przymusowa i wydarzenia, które spotkały młodego Ryszarda, na zawsze zmieniły jego życie. Podczas wykonywanych prac był świadkiem brutalnego pobicia współwięźnia przez jednego ze strażników. Jego szybka reakcja i obezwładnienie strażnika zmusiły go w następstwie do ucieczki i ukrycia. Brak możliwości bezpiecznego powrotu do domu i grożące aresztowanie trwały aż do 1943 r. Wtedy w czerwcu 1943 r. Genca nawiązał kontakt konspiracyjny przez przyjaciela N.N. ps. Siwy z organizacji NSZ na terenie miasta Lublin. Rodzinne miasto, które Genca znał znakomicie, stało się z czasem również dla niego niebezpieczne. Jedyną szansą było pogłębienie konspiracyjnej działalności w NSZ na terenie Lubelszczyzny. Po kilku miesiącach w styczniu 1944 r. na polecenie kpt. Zbigniewa Wyrwicza ps. Maciej Witold przedostał się w kraśnickie do zgrupowania NSZ dowodzonego przez mjr. Leonarda Zub-Zdanowicza ps. Ząb, po czym został odesłany do oddziału plut. Jana Imbirowicza „Jacka I", w którym przyjął pseudonim konspiracyjny Fred. Podczas pobytu w oddziale leśnym od stycznia do lipca 1944 r. przeszedł przeszkolenie w szkole podoficerów, uzyskując stopień plutonowego. Natomiast przysięgę złożył przed ppor. Leonem Cybulskim ps. Znicz, co wiązało się z równoważnym wstąpieniem w szeregi Okręgu III NSZ Lublin.

Energiczne i odpowiedzialne zaangażowanie Gency w pracy konspiracyjnej przejawiało się udziałem w licznych akcjach zbrojnych. Uczestniczył w akcji obronnej w czasie pacyfikacji przez Niemców wsi Borów, Szczecyn, Wólka Szczecka, Łążek Zaklikowski i Łążek Chwałowski – ta okolica stanowiła zaufany teren dla oddziałów NSZ, szczególnie pod dowództwem mjr. „Zęba". Lubelszczyzna była także terenem walki z komunistycznymi bandami rabunkowymi. Wiosną 1944 r. Genca, służąc pod dowództwem N.N. ps. Jacek II, wziął udział w akcji przeciwko bandzie, na której czele stał Stanisław Kiełbasa ps. Dziadek. Uczestniczył w akcjach przeciwko oddziałom AL dowodzonym przez Bolesława Kaźmieraka ps. Cień i Feliksa Kozyrę ps. Błyskawica, zmierzających do całkowitej likwidacji oddziałów konspiracyjnych NSZ, a także AK. Pod koniec maja 1944 r. wziął udział w akcji we wsi Batorz przeciwko sowieckim oddziałom partyzanckim dowodzonym przez Mikołaja Kunickiego ps. Mucha, które zajmowały się rabowaniem miejscowej ludności.

NA ŁAMACH „SZTANDARU LUDU" FOTOGRAFIA, NA KTÓREJ ZNAJDUJE SIĘ GENCA, WIELOKROTNIE BYŁA WYKORZYSTYWANA DO UWIERZYTELNIANIA KOMUNISTYCZNYCH DZIAŁAŃ

24 czerwca 1944 r. oddział ppor. „Jacka II" przeprowadził akcję na stację kolejową w Zemborzycach k. Lublina. Według raportu NSZ „w akcji nastręczającej duże niebezpieczeństwo dla oddziału pewne patrole wykazały się niezwykle rycerską postawą". Akcja, w której zdobyto broń i uprowadzono jeńców, zakończyła się jednak fatalnie dla Gency, który został ranny i musiał się przedostać do Zakrzówka, aby tam powrócić do zdrowia.

Wyzwolenie Lublina

Nadciągający front był okazją do powrotu do rodzinnego Lublina. Genca natychmiast zgłosił się tam do wzięcia udziału w walkach o wyzwolenie miasta w strukturach PAS NSZ i AK-Korpusu Bezpieczeństwa pod dowództwem Kazimierza Łuszczyńskiego ps. Mateusz, Rosa. Jego zadaniem była ochrona przed zniszczeniem budynku dyrekcji Poczty Niemieckiej i cennej aparatury urządzeń centrali telefonicznej w gmachu przy ul. Chopina 9 i ul. Sądowej. W tym miejscu rozpoczęła się historia wspomnianej fotografii. Nasz bohater został uwieczniony na taśmach kroniki filmowej, która u boku walczących żołnierzy rejestrowała momenty „wyzwolenia" Lublina. Uwiecznieni żołnierze szybko stali się w oczach ówczesnej propagandy funkcjonariuszami MO i ZWM, o czym mogli się dowiedzieć z propagandowej prasy. Na łamach „Sztandaru Ludu" fotografia, na której znajduje się Genca, wielokrotnie była wykorzystywana do uwierzytelniania komunistycznych działań i rzekomego zaangażowania komunistów w walki o wyzwolenie Lublina. W numerze z 24 lutego 1958 roku opublikowano fotografię z podpisem „Młodzi ZWM-owscy strzegą budynków rządowych". Marek Kielasiński w publikacji „Raport o zabijaniu" pod fotografią, na której znajduje się „Fred", umieścił podpis: „Wartownicy przed Komendą Główną MO w Lublinie". Inny przykład to publikacja na łamach „Kuriera Lubelskiego" w 1969 r. z opisem „Kolejne zdjęcie z naszej akcji Pamiętamy lipiec 1944. Na zdjęciu dwaj milicjanci przed jednym z posterunków, prawdopodobnie w Lublinie". Propagandowych niuansów było zbyt wiele, lecz nikt nie zadał sobie trudu znalezienia odpowiedzi, kim są bohaterowie fotografii tak wtedy popularnej, ponieważ przypominanej przy każdej rocznicy. Rodzi się pytanie: dlaczego sam Genca nie reagował na powielane kłamstwa?

Okres końca lipca 1944 r. przyniósł rozwiązanie oddziału „Jacka II" i przejście do głębszej konspiracji, co także nie uchroniło żołnierzy NSZ przed aresztowaniami. Znajdujące się przy ul. Kołłątaja w Lublinie mieszkanie Gency stało się miejscem kontaktowym dla spalonych żołnierzy. Niebezpieczeństwo ze strony aparatu bezpieczeństwa nie ominęło „Freda", który wpadł w kocioł UB i 28 października 1944 r. został aresztowany przez MUBP w Lublinie. Podczas pokazowego procesu, który odbył się na lubelskim zamku 22 listopada 1944 r., wraz z grupą 13 żołnierzy podziemia nie-

eprasa.pl 287b547067

podległościowego został skazany przez Sąd Wojskowy Lubelskiego Garnizonu w składzie: przewodniczący kpt. Jan Krzechowiec i ppor. Stanisław Wróblewski oraz sędzia ppor. Czesława Kotwicza i sekretarz Erazm Oleszkiewicz. Skazano go z art. 11 Dekretu P.K.W.N. o ochronie Państwa, z dn. 30.10.1944 r. /Dz.U.R.P. Nr 10 poz. 50/ na karę ośmiu lat pozbawienia wolności za działalność antypaństwową. Został osadzony w celach więziennych lubelskiego zamku.

Brawurowa ucieczka

1 marca 1945 r. „Fred" wezwany jako świadek na rozprawę sądową podczas drogi powrotnej dokonał brawurowej ucieczki z konwoju. Początkowo ukrywał się w Lublinie, a następnie karetką szpitalną przedostał się do Warszawy do siedziby PCK mieszczącej się przy ul. Nowogrodzkiej 49, gdzie zdobył dokumenty wystawione na nazwisko Ryszard Lewandowski. Grożące mu aresztowanie zmusiło go do zmiany wizerunku i wyjazdu początkowo do Łodzi, a później do Gdańska. Funkcjonariusze UB mimo przeprowadzonej gry operacyjnej nie zdołali schwytać „Freda". Zakamuflowany powrócił na Lubelszczyznę, gdzie na początku maja 1945 r. nawiązał kontakt z oddziałem dowodzonym przez kpt. Mieczysława Pazderskiego ps. Szary. W oddziale spotkał kolegów, z którymi walczył pod dowództwem „Jacka I". Ostrożność dowódcy i zachowanie wszelkich względów bezpieczeństwa przyczyniły się do przesłuchania „Freda" na okoliczność jego walk podczas okupacji niemieckiej, czas aresztowania i ucieczki na zamku w Lublinie. Potwierdzone informacje wpłynęły na zachowanie wiarygodności „Freda" i pozostanie w konspiracji. Pod dowództwem „Szarego" wziął udział w akcjach zbrojnych przeciwko siłom UB i NKWD, m.in. w akcji pod Hutą, w której zginął dowódca. Po śmierci „Szarego" w lipcu 1945 r. przeszedł pod dowództwo sierż. Eugeniusza Walewskiego ps. Zemsta, a po jego śmierci dowództwo objął por. Stefan Brzuszek ps. Boruta, z którym „Fred" walczył do maja 1946 r.

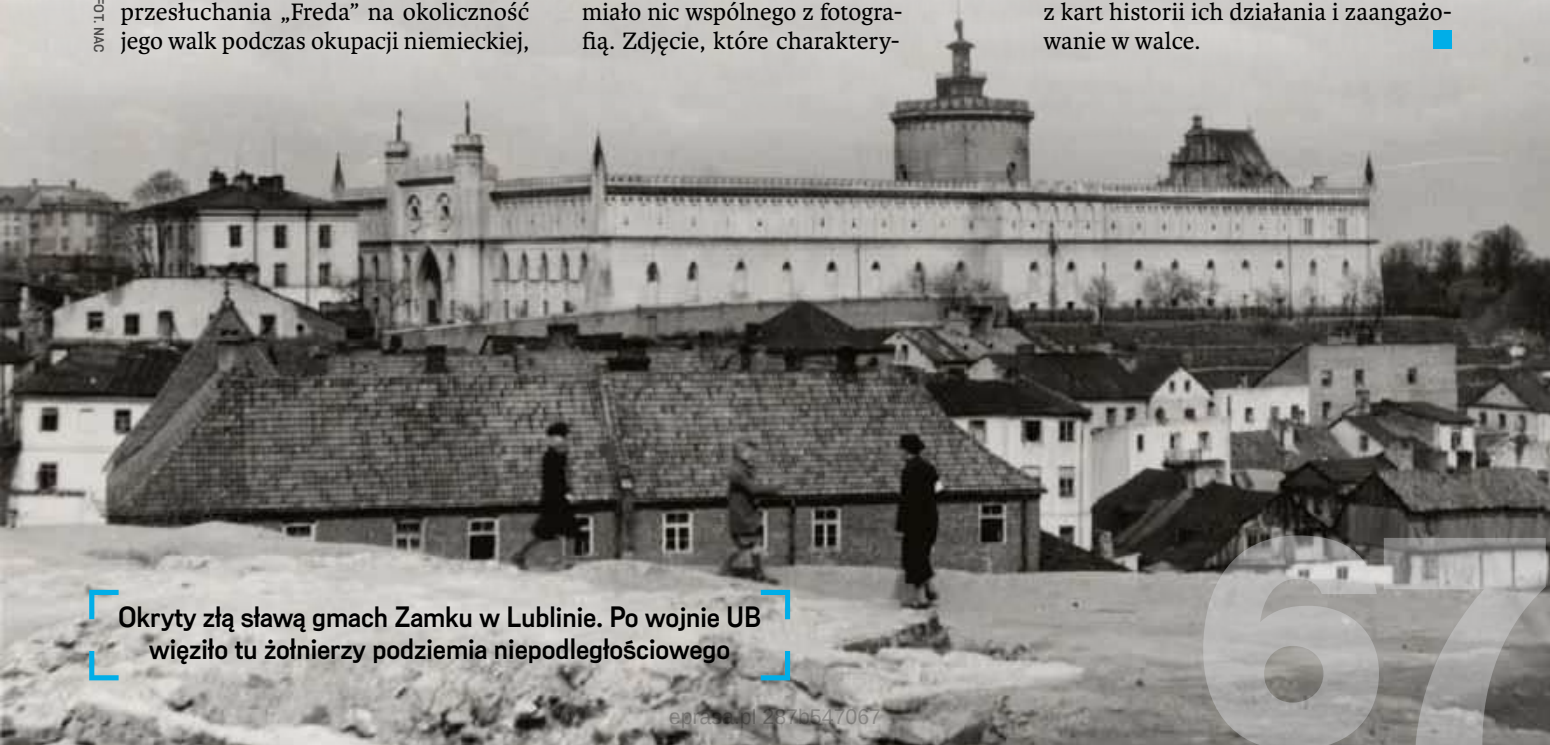
Według zachowanych relacji prawdopodobnie 17 maja 1946 r. został zdradzony przez N.N. ps. Grom. Został aresztowany wraz z dwoma żołnierzami NSZ, m.in. Stanisławem Maińskim ps. Maryś we wsi Białka k. Jaszczowa. Został przewieziony do WUBP mieszczącego się przy ul. Krótkiej w Lublinie. Śledztwo rozpoczęte w więzieniu przy ul. Krótkiej było kontynuowane na lubelskim zamku. Jak wynika z zapisu w księdze głównej więźniów wojskowych – Lublin za okres od 13 lutego 1946 r. do 9 września 1946 r., Ryszard Genca osadzony został w więzieniu na zamku 13 czerwca 1946 r. Wyrokiem WSR z dnia 6 lutego 1948 r. skazany został na 8 lat i 2 miesiące więzienia z art. 86 KKWP. Czas liczył się od 17 maja 1946 r. do 17 lipca 1954 r. 11 listopada 1948 r. Ryszard Genca został przewieziony do więzienia we Wronkach.

Historia zdjęcia

Zapewne aresztowanie Gency nie miało nic wspólnego z fotografią. Zdjęcie, które charakteryzowało się wysokim walorem artystycznym, żyło własnym życiem. W latach 50. powiększone do formatu plakatu wisiało w jednej z sal Muzeum Wojska Polskiego. Opuszczając więzienne mury 17 lipca 1954 r., usłyszał od naczelnika więzienia, „że gdyby posiadał władzę, to nie pozwoliłby na Jego zwolnienie". Nachodzony przez UB i SB był stale szykanowany, a przez 10 lat nie otrzymał stałej pracy, trudnił się jedynie pracami dorywczymi. W okresie PRL nie należał do żadnej organizacji komunistycznej. Natomiast 20 czerwca 1990 r. przystąpił do Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Kraju Federacja Światowa oraz Związku Żołnierzy Narodowych Sił Zbrojnych, otrzymując legitymację nr 13. Po latach wspominał: „Miałem możliwość zapisania się do dotychczasowego związku ZBOWiD, a nawet często proponowano mi, z czego nie skorzystałem [...], czekam wciąż na związek kombatancki, w którym nie będzie moich oprawców". Ryszard Genca ps. Fred zmarł nagle 26 grudnia 1996 r. w wieku 72 lat, został pochowany w Lublinie.

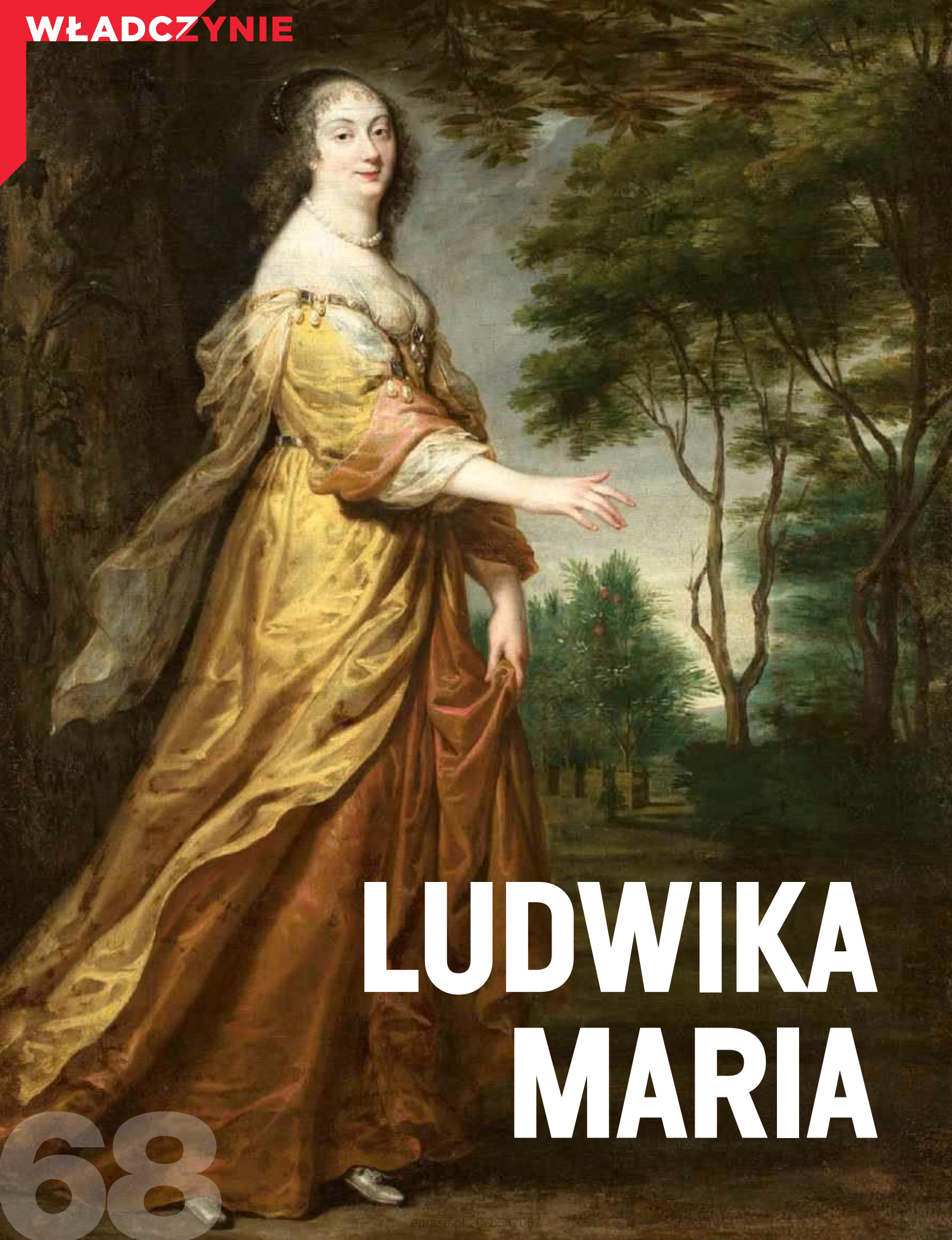
Dziś wiemy, że fotografia została wykonana dla udokumentowania tamtych dni. Nie zrobił jej nikt z konspiracji, lecz prawdopodobnie „kościuszkowscy" wchodzący z oddziałami Armii Czerwonej. Komunistyczna propaganda pomimo przypisania sobie wizerunku naszego bohatera nie zmieniła historii oddziałów podziemia niepodległościowego i band komunistycznych. Jednak skutecznie przez wiele lat wymazała z kart historii ich działania i zaangażowanie w walce.

FOT. NAC



Okryty złą sławą gmach Zamku w Lublinie. Po wojnie UB więziło tu żołnierzy podziemia niepodległościowego

epraca.pl 287054706



LUDWIKA MARIA

eprasa.pl 287b5a7067

ŻONA DWÓCH MONARCHÓW Z DYNASTII WAZÓW NIE BYŁA MALOWANĄ KRÓLOWĄ, CHOĆ NIE WSZYSTKIE JEJ POSUNIĘCIA BYŁY SZCZĘŚLIWE



MAREK BARAŃSKI

Ludwika Maria urodziła się w 1611 r. Jej ojcem był Karol, książę Mantui i Montferrat, po kądzieli potomek cesarzy bizantyjskich, matką zaś Katarzyna de Lorraine. O pozycji jej rodziny świadczy to, że do chrztu trzymali ją Maria de Medici i jej syn król Ludwik XIII.

Kiedy miała siedem lat, straciła matkę, a jej wychowaniem zajęła się ciotka Katarzyna de Longueville. Zapewniła ona swej wychowance bardzo dobrych pedagogów, którzy uczyli ją języków obcych, ale też przedmiotów ścisłych. Ludwika Maria wyrosła na mądrą i przystojną pannę.

Gdy nasza bohaterka ukończyła 18 lat, zakochał się w niej z wzajemnością brat króla, Gaston, i chciał ją poślubić. Pod wpływem matki jednak zrezygnował z małżeństwa. Ludwikę Marię zaś na wszelki wypadek na kilka tygodni zamknięto w zamku Vincennes. Po uwolnieniu zamieszkała na zamku w księstwie Nevers. W 1634 r. rozpoczęto rozmowy na temat jej małżeństwa z królem polskim Władysławem. Wówczas nie doszło do tego mariażu, gdyż Władysław poślubił Cecylię Renatę.

Po śmierci ojca, Karola Gonzagi, Ludwika Maria przejęła jego francuskie posiadłości, Ludwik XIII przyznał jej tytuł księżny de Nevers. Zamieszkała w Paryżu, gdzie otworzyła salon literacki. W 1640 r. częstym gościem u niej był brat króla polskiego, uwolniony z francuskiego więzienia, Jan Kazimierz. Kardynał Richelieu chciał doprowadzić do ich małżeństwa, lecz mu się to nie udało. Tymczasem Ludwika Maria zakochała się z wzajemnością w kawalerze Henri Coiffier de Ruze, markizie Cinq-Mars. Romans ten zakończył się tragicznie. Kawaler Cinq-Mars zawiązał spisek przeciw kardynałowi, został pojmany i ścięty. Ludwika Maria musiała opuścić Paryż. Wróciła tam dopiero po śmierci kardynała w 1642 r.

Po długich pertraktacjach w 1645 r. doszło do podpisania kontraktu ślubnego między Ludwiką Marią i królem Władysławem IV, który rok wcześniej owdowiał. Ślub został zawarty w marcu 1646 r. w Warszawie, koronacja odbyła się w lipcu na Wawelu. Choć małżonkowie nie bardzo przypadli sobie do gustu, to jednak Ludwikę Marię usatysfakcjonowała królewska korona, natomiast Władysław dostał duży posag, a poza tym pożyczkę na wojnę z Turcją, której zresztą nie zdążył spłacić. Ludwika Maria była lojalną partnerką króla. Uzyskała wpływ na obsadę urzędów dworskich, lecz do polityki się nie mieszała. Sejm przyznał jej oprawę taką, jaką miała poprzednia królowa.

20 maja 1648 r. król Władysław IV zmarł. Ludwika Maria nie była obecna przy śmierci męża, gdyż sama ciężko zachorowała. Gdy tylko wyzdrowiała, w zbliżającej się elekcji poparła kandydaturę Jana Kazimierza. W zamian zażądała od niego obietnicy ożenku. Do ślubu doszło w 1649 r., a sejm nie tylko pozwolił jej zachować odprawę posagową z poprzedniego małżeństwa, ale nawet podwyższył jej majątek. W 1655 r., po śmierci Karola Ferdynanda, brata króla, Jan Kazimierz zrzekł się na rzecz żony księstw raciborskiego i opolskiego będących zastawem za niezapłacone posagi poprzedniczek królowej.

Za panowania drugiego męża Ludwika Maria uzyskała duży wpływ na obsadę stanowisk. Jej polityczna rola wzrosła jeszcze w czasie potopu szwedzkiego. Wraz z królem schroniła się na będącym w jej posiadaniu Śląsku, stamtąd, razem z częścią senatorów, starała się organizować obronę przed Szwedami, porozumiewała się z powstającymi do walki konfederacjami. Prowadziła też korespondencję ze wszystkimi ówczesnymi potęgami w celu uzyskania pomocy, naciskała na króla, aby jak najszybciej wracał do kraju. Powrót nastąpił jeszcze w roku 1656, a po drodze królowa odwiedziła Częstochowę, gdzie namówiła księdza Kordeckiego do opisania obrony Jasnej Góry. W lipcu przybyła, wraz z mężem, do Warszawy. Niebawem doszło do trzydniowej bitwy pod stolicą. W drugim dniu walk królowa osobiście przyglądała się bitwie. Gdy zobaczyła, że bateria, przy której się zatrzymała, ma zbyt krótki zasięg i jej kule nie dolatują do pozycji wroga, nakazała wyprząc konie ze swej karety, zaprząc je do dział i za armatami ruszyła na nową pozycję. Stamtąd dowodziła prowadzeniem ognia. Gdy po przegranej bitwie Jan Kazimierz zdecydował się opuścić Warszawę, jego żona oponowała. Miała powiedzieć: „Jeśli król ze swą armią zamyśla opuścić stolicę, to ja jej bronić będę ze swoim fraucymerem".

Ponowna okupacja Warszawy nie trwała długo, pozwoliła jednak Szwedom na rabunek dzieł sztuki i książek. W czasie dalszych działań wojennych królowa nadal była bardzo aktywna. Przyczyniła się do zawarcia traktatów welawsko-bydgoskich, dzięki którym elektor brandenburski porzucił Szwedów na rzecz Jana Kazimierza. Brała też udział w ostatecznych pertraktacjach pokojowych, które doprowadziły do zawarcia pokoju oliwskiego w 1660 r.

Ostatnie lata życia poświęciła projektowaniu reform działania sejmu, wzmocnienia władzy królewskiej i próbie przeforsowania wyboru nowego monarchy za życia Jana Kazimierza. Chciała, aby elektem został książę d'Enghien, mąż jej siostrzenicy Anny. Królowa oddała jej nawet księstwa opolskie i raciborskie. Przekonała do tej kandydatury małżonka, a także utworzyła popierającą to rozwiązanie partię polskich dygnitarzy. Jednak silniejsza była opozycja pod wodzą Jerzego Lubomirskiego. W końcu Lubomirski wystąpił zbrojnie przeciw władcy, a pod Mątwami udało mu się pokonać królewskie wojska. Wprawdzie po zwycięstwie ukorzył się przed królem, ale planów wzmocnienia państwa nie dało się już zrealizować.

Ludwika Maria doprowadziła do zbliżenia kulturalnego między Polską i Francją, otworzyła pierwszy polski salon literacki, jej gościem był m.in. Jan Andrzej Morsztyn, organizowała akcje charytatywne. Sprowadziła do Polski zakony szarytek, księży misjonarzy i wizytek. Zmarła w 1667 r., została pochowana na Wawelu.

FOT. KRZYSZTOF WILCZYŃSKI/MNW

eprasa.pl 287b547067



NA DŁUGIEJ LIŚCIE EMIGRACYJNYCH POLITYKÓW, KTÓRYMI INTERESOWAŁY SIĘ TAJNE SŁUŻBY POLSKI LUDOWEJ, JUŻ NA POCZĄTKU LAT 50. ZNALAZŁ SIĘ WOJCIECH WASIUTYŃSKI, WYBITNY PUBLICYSTA, DZIAŁACZ POLITYCZNY OD MŁODOŚCI ZWIĄZANY Z RUCHEM NARODOWYM

WASIUTYŃSKI

NA CELOWNIKU WYWIADU PRL



KRZYSZTOF TARKA

W ocenie wywiadu Wasiutyński był „aktywnym działaczem Stronnictwa Narodowego, należy do tej czołówki, która kieruje SN-em, nadając temu stronnictwu kierunek polityczny". „Opracowując" emigracyjnego działacza (tak w żargonie bezpieki określano zbieranie dokumentacji dotyczącej wrogiej działalności figuranta, czyli osoby rozpracowywanej), zamierzano zebrać bliższe dane na jego temat będące w posiadaniu departamentów operacyjnych oraz zwrócić się do Głównego Zarządu Informacji Ministerstwa Obrony Narodowej o przedwojenne akta personalne Wasiutyńskiego.

Oficer prowadzący sprawę ustalił datę, miejsce urodzenia oraz zawód i stopień wojskowy Wasiutyńskiego, który urodził się 8 września 1910 r. w Warszawie. Funkcjonariusz nie był jednak pewien jego aktualnego miejsca zamieszkania (podał dwa adresy w Londynie). Zdawkowa była również wiedza na temat dotychczasowej działalności politycznej Wasiutyńskiego. Z posiadanych przez wywiad informacji wynikało, iż w latach 30. był członkiem redakcji tygodnika „Prosto z Mostu" oraz działaczem „Falangi". W końcu 1939 r. Wasiutyński poprzez Budapeszt (gdzie wstąpił do SN) i Bukareszt przedostał się do Paryża. Po przegranej Francji osiedlił się na terytorium podległym rządowi w Vichy. Co ciekawe, bezpieka wiedziała o jego ówczesnych kontaktach z wywiadem alianckim.

FOT. NAC

eprasa.pl 287b547067

Jesienią 1942 r. Wasiutyński przedostał się do Wielkiej Brytanii. W ocenie wywiadu PRL w tym czasie „awansował na wybitnego działacza SN". W 1945 r. wraz z 1. Dywizją Pancerną gen. Stanisława Maczka wziął udział w walkach w Belgii, Holandii i Niemczech. Po wojnie pozostał w zachodnich Niemczech. Redagował ukazujący się w Quakenbrück tygodnik „Defilada". Po przeprowadzce do Londynu stał się jednym z aktywniejszych działaczy emigracyjnych. Wchodził w skład kierownictwa SN, redagował „Myśl Polską", został również wiceprezesem Związku Dziennikarzy Polskich oraz członkiem zarządu Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Wielkiej Brytanii.

Córka na przesłuchaniu

W czerwcu 1954 r. starszy referent Departamentu VII Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego Zygmunt Goć wszczął formalnie sprawę agenturalnego rozpracowania Wojciecha Wasiutyńskiego (kryptonim „Prostek"). Oficer wywiadu zaznaczył, iż dotychczas nie ustalono adresów rodziny figuranta w kraju.

Kilka lat później, w listopadzie 1962 r., mjr Czesław Kozubski wydał postanowienie o założeniu sprawy ewidencyjno-obserwacyjnej kryptonim Mostek. Choć Wasiutyński już cztery lata wcześniej wyjechał do Stanów Zjednoczonych, wywiad ciągle nie znał jego dokładnego miejsca zamieszkania.

Nadzieję na „podejście" do emigracyjnego działacza stworzył przyjazd do Polski (w końcu października 1963 r.) jego córki Joanny Brown. W trakcie prawie dwumiesięcznego pobytu w kraju odwiedziła ona rodzinę ze strony ojca i matki. W połowie listopada, pod pretekstem wyjaśnienia sprawy obywatelstwa, została wezwana do warszawskiej komendy Milicji Obywatelskiej. Rozmawiający z nią oficer operacyjny wywiadu mjr Kozubski przedstawił się jako pracownik Samodzielnej Sekcji Rejestracji Cudzoziemców Komitetu Miejskiego MO. Joanna Brown wyjaśniła, iż w 1946 r. wraz z matką i bratem wyjechała nielegalnie z Polski do Niemiec, gdzie mieszkał jej ojciec. W następnym roku Wasiutyńscy wyemigrowali do Wielkiej Brytanii (na Wyspach mieli status uchodźców politycznych). Po ukończeniu studiów córka Wasiutyńskiego wyszła za mąż za Anglika i nabyła obywatelstwo brytyjskie. Oficer wywiadu wypytywał ją o znajomych spośród młodego pokolenia polskich emigrantów. Joanna Brown przyznała, iż podczas studiów znała studentów polskiego pochodzenia, ale po wyjściu za mąż całkowicie straciła dawne kontakty. Stwierdziła zresztą, że emigracyjna młodzież nie interesuje się sprawami politycznymi. Według niej starzy działacze emigracyjni „bawiący się w politykę" byli wręcz przedmiotem drwin i żartów ze strony młodego pokolenia. Pytana o rodziców powiedziała tylko, że ojciec pracuje w Radiu Wolna Europa w Nowym Jorku. Wymijająco dodała, że „może tam być zatrudniony w charakterze komentatora lub dziennikarza". Jak zanotował jej słowa Kozubski: „Co ojciec tam robi – dokładnie nie wie, gdyż nie rozmawiała z nim na ten temat".

Mimo zdawkowych odpowiedzi oficer wywiadu nie ustępował. Sondując jej stanowisko, spytał, jak oceniłaby działalność swojego ojca z punktu widzenia interesów Polski. Chcąc uniknąć kolejnych „kłopotliwych" pytań, córka Wasiutyńskiego oświadczyła, iż „polityką się nie zajmuje, gdyż to ją nie interesuje". Stwierdziła jednak, że postępowanie ojca uważa za niewłaściwe. Taką opinię słyszeć miała również od rodziny w kraju. Odpowiedź wyraźnie zadowoliła oficera wywiadu. Tłumacząc szkodliwy charakter działalności Wasiutyńskiego, zaproponował, aby Brown przy najbliższej okazji porozmawiała na ten temat z ojcem i nakłoniła go do spotkania z przedstawicielem kraju. Zachęcająco dodał: „Spotkanie takie niewątpliwie usunęłoby wiele nawarstwionych nieporozumień, spowodowałoby lepsze zrozumienie przez ojca sytuacji krajowej. Miałoby to i taki wpływ, że ojciec mógłby bez żadnych wewnętrznych obaw odwiedzić kraj, swoją rodzinę". Za pośrednictwem córki mjr Kozubski apelował do emigracyjnego działacza, aby ten zrewidował swoje dotychczasowe postępowanie. Joanna Brown obiecała, że porozmawia z ojcem. Jednak ze względu na odległość między Wielką Brytanią a Stanami Zjednoczonymi planowała spotkanie z nim dopiero w następnym roku. Gdyby Wasiutyński chciał się skontaktować z przedstawicielem kraju, miała o tym listownie zawiadomić Kozubskiego. „Mostek" nie zamierzał jednak podejmować żadnych rozmów.

Indagacja syna

W ciągu następnych miesięcy wywiad ustalił, że Wasiutyński był zastępcą kierownika Sekcji Polskiej Radia Wolna Europa w Nowym Jorku. Na jego temat peerelowskie służby ciągle posiadały jednak niewiele informacji. Analizując publicystykę figuranta, wskazywano na jej tematyczne zróżnicowanie: „od polityki międzynarodowej zaczynając, na zagadnieniach socjologicznych kończąc. Najwięcej jednak uwagi poświęca polityce zagranicznej i sytuacji wewnętrznej Stanów Zjednoczonych. Popiera amerykańskie przywództwo w bloku zachodnim i występuje przeciwko wszelkim próbom jego podważania". W ocenie wywiadu Wasiutyński był „zdecydowanym przeciwnikiem komunizmu". Nadzieję na wyzwolenie Polski wiązał ze stałym naciskiem Stanów Zjednoczonych na Związek Sowiecki. Opowiadając się za trwałością granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej, „Mostek" nie demonizował niemieckiego zagrożenia.

Postanowiono rozpracować także najbliższą rodzinę figuranta w Polsce. Jak ustalono, w Warszawie mieszkali jego matka oraz brat i siostra, a w Krakowie matka i siostra żony. Wasiutyńscy utrzymywali kontakt listowny z rodziną w kraju. Zarządzona przez wywiad PRL kontrola korespondencji dostarczyła wielu informacji dotyczących życia osobistego oraz zawodowych planów rodziny.

Latem 1965 r. z Nowego Jorku do Polski przyjechał syn Wasiutyńskiego – Bohdan. Jego pobyt w kraju stwarzał kolejną okazję na dotarcie do „Mostka". 9 sierpnia oficer operacyjny wywiadu telefonicznie umówił się z Bohdanem na rozmowę. Spotkali się jeszcze tego samego dnia w jednej z warszawskich kawiarni. Oficer wywiadu podawał się za pracownika MSZ zawodowo zajmującego się emigracyjną prasą. Wasiutyński junior nie był zaskoczony propozycją spotkania. Wiedział, że przed dwoma laty rozmawiano z jego siostrą. Podobnie jak ona unikał podawania szczegółów na temat pracy ojca (stwierdził, że nie wie, co dokładnie ojciec robi). Powiedział jedynie, że pracuje w Radiu Wolna Europa i jest bardzo zapracowany. Oficer wywiadu w trakcie ponad trzygodzinnej rozmowy z Bohdanem kilkakrotnie próbował nawiązywać do działalności politycznej jego ojca. Za każdym razem młody Wasiutyński udzielał jednak lakonicznych odpowiedzi: „Albo rzeczywiście nie wie – komentował jego rozmówca – albo bardzo dokładnie i stanowczo poinstruował go ojciec, »

eprasa.pl 287b547067

» by nic nie mówił". Bohdan opowiadał natomiast o swojej pracy i planach zawodowych (był pracownikiem socjalnym, zamierzał studiować anglistykę). Na zadane mu wprost pytanie, czy wróci na stałe do kraju, odpowiedział negatywnie. „Rozmowa – konkludował oficer wywiadu – aczkolwiek wyjaśniła cały szereg szczegółów, nie zbliżyła i nie wyjaśniła nam prawie nic odnośnie punktu najważniejszego, tj. ojca".

Trzeba zamknąć sprawę

Mimo kolejnej nieudanej próby wywiad nie rezygnował z nawiązania kontaktu z Wojciechem Wasiutyńskim. Pracownik nowojorskiej rezydentury wywiadu PRL, niejaki „Oskar", na polecenie centrali, wieczorem 20 czerwca 1967 r. zadzwonił do „Mostka". Podając się za przybysza z kraju, chciał się z nim umówić na spotkanie. Podobnie jak wcześniej, reakcja Wasiutyńskiego była zdecydowanie negatywna. Oświadczył, że jako mieszkaniec Stanów Zjednoczonych nie zamierza rozmawiać z nikim z kraju, a zwłaszcza z nieznaną mu osobą. Nie spytał nawet, jaki miałby być cel ewentualnego spotkania.

Kilka lat później, 19 lutego 1976 r., doszło do „przypadkowego" kontaktu „Oskara" z Wasiutyńskim na terenie gmachu ONZ. Półgodzinną rozmowę zaaranżował znajomy „Mostka" i równocześnie współpracownik wywiadu PRL o pseudonimie Euchios. Po rozmowie „Oskar" stwierdził, że Wasiutyński „w pełni dojrzał do zacieśnienia kontaktów z nami". W sprawozdaniu dla centrali oficer wywiadu podkreślił, iż kandydat do dialogu operacyjnego „tkwi od lat w interesujących nas środowiskach". Pozyskanie znanego emigracyjnego publicysty i działacza politycznego niewątpliwie byłoby dużym sukcesem. „Oskar" sądził, że skoro żona „Mostka" odwiedzała kraj, a sam Wasiutyński, mimo obaw, nie wykluczył osiedlenia się w przyszłości na stałe w Polsce, możliwe będzie jego zwerbowanie. Jednak również tym razem działania wywiadu zakończyły się porażką.

W styczniu 1979 r. por. Jan Sierek, inspektor Wydziału XI w Departamencie i Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, w „Notatce końcowej" stwierdził: „Wieloletnia działalność Wasiutyńskiego Wojciecha w ośrodkach wrogich krajowi, jego polityczne zaangażowanie się po stronie Zachodu, podkreślanie swojej pozycji, jako antykomunisty i przeciwnika zmian, jakie dokonały się w naszym kraju po 1945 r., a także uniki przed podjęciem jakichkolwiek rozmów z naszą służbą i brak reakcji na nasze sugestie i propozycje to czynniki, które nie rokują żadnych nadziei na nakłonienie go do współpracy". Ostatecznie sprawa została zamknięta, a materiały dotyczące Wasiutyńskiego trafiły do archiwum Departamentu I MSW.

„ZAANGAŻOWANIE SIĘ PO STRONIE ZACHODU, PODKREŚLANIE SWOJEJ POZYCJI JAKO ANTYKOMUNISTY NIE ROKUJE ŻADNYCH NADZIEI NA NAKŁONIENIE GO DO WSPÓŁPRACY"

W wolnej Polsce

W czerwcu 1986 r. po blisko 47 latach nieobecności Wasiutyński po raz pierwszy odwiedził Polskę. Nad Wisłą pojawił się ponownie w przededniu wyborów z 4 czerwca 1989 r. W kraju spędził blisko dwa miesiące, rozmawiał z dziesiątkami osób, odwiedził sześć miast, w których wygłosił prelekcje. Sukces Solidarności w czerwcowych wyborach był dla niego zaskoczeniem. Początkowo z sympatią odnosił się do nowego premiera Tadeusza Mazowieckiego. Miał nadzieję, że będzie mu bliżej do narodowej prawicy niż do środowisk lewicowych o KOR-owskim rodowodzie. Rozczarowany postawą premiera katolika w wyborach prezydenckich w 1990 r. poparł kandydaturę Lecha Wałęsy.

Jako nestor i patron odradzającego się w Polsce ruchu narodowego Wasiutyński jesienią 1989 r. wsparł powołanie Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, na którego czele stanął Wiesław Chrzanowski. Kontakt z Chrzanowskim Wasiutyński nawiązał jeszcze na przełomie 1976 i 1977 r. w trakcie pobytu w Wielkiej Brytanii. Za jego pośrednictwem poznał również działaczy Ruchu Młodej Polski. W połowie lat 80. Wasiutyński współpracował z wydawanym w drugim obiegu czasopismem „Polityka Polska", związanym ze środowiskiem RMP. W nowej rzeczywistości po 1989 r. ZChN wyrastało na jedno z najważniejszych ugrupowań politycznych w kraju. Wasiutyńskiego cieszył dobry wynik wyborczy tej partii w 1991 r., a zwłaszcza wybór Chrzanowskiego na marszałka Sejmu. Poparł również „historyczne pojednanie" między ZChN a Unią Demokratyczną. Jego efektem było utworzenie w lipcu 1992 r. koalicyjnego rządu na czele z Hanną Suchocką.

Mimo sędziwego wieku (w 1990 r. Wasiutyński skończył 80 lat) nie zamierzał odchodzić na polityczną emeryturę. Po 1989 r. publikował felietony na łamach katolickiego tygodnika „Młoda Polska", redagowanego przez Wiesława Walendziaka. Pisał również do dzienników „Życie Warszawy", „Słowo", „Nowy Świat" oraz do „Tygodnika Solidarność" i „Myśli Polskiej". Planował także utworzenie spółki, która wydawałaby dziennik o kierunku narodowym, jednak nie udało mu się zebrać wystarczających środków na ten cel.

W 1993 r. rozstał się ostatecznie z kolegami z emigracyjnego SN. Powodem była krytyka ZChN, z którym Wasiutyński wiązał duże nadzieje polityczne na odbudowę ruchu narodowego w Polsce (w lutym 1993 r. pojawił się na III zjeździe ZChN). Obwiniał ich również o wyprowadzenie ruchu narodowego na manowce. Boleśnie przeżył zwycięstwo postkomunistów i klęskę ZChN w wyborach do parlamentu w 1993 r.

Ten jeden z najwybitniejszych działaczy i publicystów obozu narodowego zmarł 19 sierpnia 1994 r. w Rye w stanie Nowy Jork. Prochy Wasiutyńskiego zostały sprowadzone do Polski i spoczęły w rodzinnym grobowcu na warszawskich Powązkach.

eprasa.pl 287b547067



PAWEŁ SKIBIŃSKI

1958
Mao walczy z przyrodą

12 lutego 1958 r. Komitet Centralny Komunistycznej Partii Chin ogłosił dokument pod tytułem „Wskazówki o zwalczaniu czterech plag i dyskusji nad higieną", który dał początek przygotowywanej od dwóch lat w chińskim Ministerstwie Zdrowia kampanii zwalczania czterech zagrożeń higienicznych.

Cztery zjawiska, które kierownictwo partii komunistycznej zalecało każdemu Chińczykowi zwalczać, to komary, muchy, szczury i wróble. Jak wyjaśniał wówczas przewodniczący Mao Tse-tung – komary roznosiły malarię, szczury – dżumę, muchy – inne choroby, a wróble wydziobywały ziarna zbóż zasiane na polach, zmniejszając plony i pozbawiając ludzi owoców ich pracy.

Szczególnie spektakularne rozmiary przybrała walka komunistycznych Chin przeciwko wróblom. Nie mogąc liczyć na środki chemiczne, których miano zbyt mało, sięgnięto po tradycyjny sposób komunizmu: mobilizację mas. Do walki z ptasią plagą partia skierowała całe lokalne społeczności – od dzieci po starców – które miały wylegitymować się możliwie jak największą liczbą zabitych wróbli.

Zarówno na wsiach, jak i w miastach tłumy ludzi płoszyły ptaki za pomocą płacht wiązanych na kijach, nieustannych wrzasków, ciągłego bicia w gongi i kotły. Chodziło o to, by zmusić wróble do permanentnego lotu bez odpoczynku, by w końcu znużone ptaszki padły martwe z wycieńczenia. Bojownicy wyszukiwali także miejsca lęgowe, niszcząc gniazda i złożone w nich jajka. Strzelano do wróbli z proc lub z broni palnej, a w niektórych miejscach do walki z nimi sięgano nawet po artylerię, przy okazji tępiąc wszystkie inne ptaki. W niektórych regionach na wielką skalę stosowano trujące przynęty, które jednak masowo zabijały także owce, kury, kaczki, psy i gołębie. W walce z ptasim niebezpieczeństwem nie można było się obijać, za niedostarczenie wystarczającej liczby wróblich zwłok groził bowiem areszt. Nie brakowało też ofiar w ludziach – zapamiętali tępiciele wróbli ginęli, spadając z drzew lub miejskich dachów.



Mao Tse-tung, 1959 r.

Skierowane przeciwko wróblom działania Komunistycznej Partii Chin okazały się skuteczne. W samym tylko Szanghaju w rewolucyjnym zapale wytępiono – jak donosiły lokalne komórki partyjne – prawie 1,4 mln tych ptaków. Efektem było drastyczne ograniczenie populacji wróbli w Chinach. Przez kilka lat z trudem można było tam spotkać tego sympatycznego ptaszka.

Przewodniczący Mao i kierownictwo jego partii nie mogli jednak długo cieszyć się zwycięstwem nad szkodliwym gatunkiem. Okazało się, że to zwycięstwo pyrrusowe. W 1960 r. skonstatowano, że wytępienie wróbli doprowadziło do niekontrolowanego rozrodu szarańczy, zwalczane z takim zacięciem ptaszki nie tylko bowiem wydziobywały ziarno z pól, lecz także zjadały larwy i dorosłe okazy tego straszliwego szkodnika. Wielkie stada szarańczy ogałacały wówczas bezkarnie całe uratowane przez wróblami pola, powodując spadek plonów nawet o kilkanaście procent.

Przewodniczący Mao zrezygnował w tej sytuacji z walki z wróblami, wskazując na kolejnego zwierzęcego przeciwnika, którym została nie – jak można było się spodziewać – szarańcza, lecz pluskwy.

Ogólnonarodowa walka z czterema plagami, której najbardziej spektakularnym elementem stała się wojna z wróblami, była częścią szerszego planu – tzw. wielkiego skoku. W jego ramach społeczeństwo chińskie miało heroicznym aktem zbiorowej woli i gigantycznym wysiłkiem nadrobić zapóźnienie cywilizacyjne i zwielokrotnić plony w rolnictwie oraz uprzemysłowić zacofany gospodarczo kraj.

W tym celu zorganizowano równocześnie z wojną przeciw czterem plagom inne wielkie akcje społeczne, z których wypada wspomnieć dwie najbardziej spektakularne: kampanie stalową oraz irygacyjną. W pierwszej chodziło o to, by – w oparciu o komuny wiejskie – doprowadzić do zwielokrotnienia produkcji stali poprzez wytop żelaza w wiejskich dymarkach, w drugiej zaś – by osiągnąć odpowiednie nawodnienie ryżowych pól poprzez stworzenie monstrualnych systemów irygacyjnych.

Nieprzemyślane manipulacje systemem wodnym – nie wahano się nawet zmieniać biegu wielkich rzek, choćby Żółtej Rzeki – Huang He – doprowadziły jednak do katastrofalnych susz i niekontrolowanych powodzi w różnych częściach Chin. Poza tym ogromnie zwiększyło się zasolenie gleby, powodując dalszy spadek wydajności terenów uprawnych. Kampania stalowa natomiast prowadziła do wykarczowania całych połaci lasów, a w związku z tym do dalszego wyjałowienia gleb i spadku poziomu wód gruntowych.

Wielki skok rozpoczęty w 1958 r. zakończył się więc wielką klęską. Produkcja rolna zmalała, zamiast wzrosnąć, a ludność Chin bohatersko walcząca z czterema plagami masowo ginęła z głodu. W latach 1958–1962 zmarło, według różnych szacunków, od kilkunastu do nawet kilkudziesięciu milionów ludzi. Mao – jak pisze holenderski historyk Frank Dikötter – poniósł klęskę w wojnie wydanej przyrodzie.

Upokorzone przez naturę chińskie władze miały podobno zakupić w Związku Sowieckim... ćwierć miliona wróbli, aby pomóc w odrodzeniu ich pożytecznej, jak się okazało, zbiorowości. Przyznały się tym samym do absurdu prowadzanej przez siebie polityki, ale nie wydaje się, by wyciągnęły z tego jakiekolwiek wnioski...

FOT. ARCHIWUM

eprasa.pl 287b547067



Pałac w Boczejkowie – elewacja ogrodowa, 1908 r.

FOT. WWW.RADZIMA.ORG; SHUTTERSTOCK

CIECHANOWIECCY JEDNAŻ KREW Z KISZKAMI



JAROSŁAW KOSSAKOWSKI

„DOM KISZKÓW W KSIĘSTWIE LITEWSKIM, PRZESZŁYCH WIEKÓW KWITNĄCY, ŻE SIĘ Z DAWNA Z CIECHANOWCA PISAŁ, JAWNIE OŚWIADCZA, ŻE CIECHANOWIECCY HERBU DĄBROWA JEDNAŻ KREW JEST Z NIEMI”

eprasa.pl 287b547067

Taką notatkę możemy przeczytać w „Herbarzu Polskim" Kaspra Niesieckiego (wyd. 1839 r.). Majątek ziemski Ciechanowiec na Podlasiu był własnością Ciechanowieckich już w połowie XV w., później dzięki udanym małżeństwom ród ten wszedł w posiadanie dóbr ziemskich także w dawnym województwie witebskim. Jedna z kilku wersji historycznych wydarzeń przyjmuje, iż to Nikodem Janowicz Ciechanowiecki (zm. w 1549 r.), biorąc za żonę wdowę po księciu Michale Iwanowiczu Mścisławskim-Zasławskim, Juliannę, został właścicielem Boczejkowa, która to posiadłość od tamtego czasu aż do traktatu ryskiego kończącego wojnę polsko-bolszewicką roku 1920 była ważną siedzibą rodu.

Awans społeczny i polityczny ród Ciechanowieckich zawdzięczał bliskim stosunkom z takimi wpływowymi rodzinami jak Sapiehowie, Pacowie, Ogińscy czy Radziwiłłowie. Syn wspomnianego Nikodema Janowicza Ciechanowieckiego, Andrzej, żonaty również z kniaziówną Bohdaną Zasławską-Mścisławską, był starostą mielnickim i właścicielem oprócz Boczejkowa także Packowa i Łuszniewa. Wnuk Andrzeja, Krzysztof Ciechanowiecki (zm. 1655 r.), kasztelan mścisławski i wojewoda miński, biorący chwalebny udział w licznych wojnach pod dowództwem hetmana Jana Karola Chodkiewicza, za żonę pojął ks. Antonellę Drucko-Horską, z którą miał kilkoro dzieci. Majątek Boczejków przypadł wnukowi Krzysztofa, Karolowi Ciechanowieckiemu, który po zbrojnych zatargach rodzinnych musiał uciekać za granicę. Dobra boczejkowskie przeszły więc na rzecz jego syna Feliksa Nikodema Ciechanowieckiego (zm. 1745 r.), starosty mścisławskiego i opeskiego. Kolejne zbrojne zatargi polityczno-rodowe pomiędzy Radziwiłłami i Czartoryskimi, w których Ciechanowieccy stawali po stronie Radziwiłłów, przyniosły także śmiertelne wypadki w tej rodzinie. Zginął w 1756 r. młodszy syn Feliksa Ksawery, śmierć poniósł również stronnik strony przeciwnej, teść Jana Ciechanowieckiego, Józef Strutyński.

W czasie tych krwawych rodowych sporów, zajazdów i utarczek zginęło wówczas ponad sto osób. Z czterech synów Feliksa Nikodema trzech zmarło w wyniku zbrojnych wydarzeń i pojedynków, przeżył tylko najmłodszy Józef Ciechanowiecki, który w czasach zawieruchy był małoletni. Tenże Józef (zm. 1801 r.), później sekretarz poselstwa polskiego w Petersburgu i generał major wojsk Wielkiego Księstwa Litewskiego, po zwrocie majątków skonfiskowanych wyrokami miejscowych sądów za występki starszych braci, stał się dziedzicem posiadłości zarówno w województwie witebskim (Boczejków), jak i mścisławskim (Packowo).

Dwór nad rzeką Ułłą

Rzeka Ułła była prawym dopływem Dźwiny, na jej zachodnim brzegu usytuowane zaś było niewielkie miasteczko Boczejków wraz z ziemskim majątkiem Ciechanowieckich. Drewniany stary dwór w roku 1769 z racji związanej z okolicznym polowaniem i zapowiedzianej wizyty króla Stanisława Augusta Poniatowskiego został rozebrany, a na jego miejscu Józef Ciechanowiecki wzniósł nowy, murowany i rozbudowany pałac, który w swoich głównych architektonicznych założeniach przetrwał aż do II wojny światowej. W Związku Sowieckim mocno zaniedbany służył różnym celom partyjnej propagandy.

DREWNIANY STARY DWÓR W ROKU 1769 Z RACJI ZAPOWIEDZIANEJ WIZYTY KRÓLA STANISŁAWA AUGUSTA PONIATOWSKIEGO ZOSTAŁ ROZEBRANY, A NA JEGO MIEJSCU POWSTAŁ ROZBUDOWANY PAŁAC, KTÓRY W SWOICH GŁÓWNYCH ZAŁOŻENIACH PRZETRWAŁ AŻ DO II WOJNY ŚWIATOWEJ

Zatrudniony do budowy pałacu włoski architekt o niezanotowanym nazwisku, nie bardzo zdawał sobie sprawę z ostrego klimatu, jaki na północno-wschodnich kresach Rzeczypospolitej zawsze panował. W związku z tym powstał pałac bez pieców i ogrzewały go tylko cztery kominki, które zresztą dobudowano znacznie później. To spowodowało, iż Boczejków Ciechanowieccy początkowo traktowali jako rezydencję tylko letnią, mieszkając w innych majątkach. Zwłaszcza że odpoczynkowi rodziny nie sprzyjała bliskość działających już w tym czasie, założonych w Boczejkowie przez Ciechanowieckich, licznych warsztatów przemysłowych, takich jak manufaktura sukna, wytwórnia broni, gorzelnia czy cegielnie i garncarnie.

Wspomniany Józef Ciechanowiecki żonaty z Anną z Chrapowickich herbu Gozdawa miał syna Stanisława, za którego czasów jakoby w boczejkowskim pustym jeszcze pałacu nocował z 11 na 12 lipca 1812 jadący traktem witebskim Napoleon. W legendzie zapamiętane zostało cesarskie niezadowolenie, iż nikt go gościnnie nie witał, tak jak to bywało w innych polskich pałacach i dworach. Pałac w Boczejkowie dopiero za czasów wnuka Józefa, Pawła Ciechanowieckiego (1815–1888), marszałka lepelskiego, w drugiej połowie XIX w. stał się ważną rezydencją nie tylko rodzinną, ale także ważnym ośrodkiem kultury znanym i przyjaznym dla wszystkich okolicznych ziemian. Ostatnim właścicielem boczejkowskiego majątku był Jerzy Stanisław Ciechanowiecki (1893–1930) żonaty z Matyldą z hr. Osiecimskich-Czapskich, ojciec znanego kolekcjonera Andrzeja Stanisława Ciechanowieckiego (1924–2015).

Architektura i salony

Atrakcyjnie usytuowany na stromej skarpie pałac w Boczejkowie posiadał dwie różne elewacje. Dość pospolitą i typową dla polskiej dworskiej architektury czasu klasycyzmu elewację frontową z kolumnowym portykiem i herbem Dąbrowa w trójkątnym tympanonie oraz zaskakująco wyniosłą stronę ogrodową. Ta zaś wyróżniała się półkolistym ryzalitem nakrytym spłaszczoną kopułą. Całą budowlę nakrywał dość płaski, ale czterospadowy, niegdyś pokryty miedzianą blachą dach. Pożar, który wybuchł »

eprasa.pl 287b547067

» zimą roku 1809, zniszczył ciekawe dekoracje pałacowych wnętrz, m.in. freski przedstawiające „Przywitanie króla Stanisława Augusta". Niektóre z nich dzięki zachowanym szkicom odtworzono po roku 1894. We wspomnianym ogrodowym ryzalicie mieściła się sala balowa o ścianach pokrytych iluzjonistycznymi malunkami naśladującymi liczne detale architektoniczne.

Prawie wszystkie obrazy, grafiki, miniatury, zabytkowe meble oraz wyjątkowo cenne archiwa wraz z obszerną historyczną korespondencją, w czasie I wojny światowej w kilku wagonach wywiezione zostały z Boczejkowa do Moskwy, gdzie przepadły bez śladu. Otoczony parkiem pałac, choć ocalał w czasie wojny, wskutek traktatu ryskiego z roku 1921 dostał się w ręce sowieckie i powoli ulegał degradacji. Pałacowe zabudowania, poza tzw. dworkiem łowczego, zniszczyła II wojna światowa. Obecnie na ścianie zachowanego pawilonu umieszczona jest w języku polskim i białoruskim tablica upamiętniająca kilka historycznych postaci z rodu Ciechanowieckich.

Ostatni właściciele

Jerzy Stanisław Ciechanowiecki, urodzony w Warszawie w 1893 r., w rodzinnym pałacu w Boczejkowie osiadł dopiero po studiach i po śmierci ojca. Zarządzanie ziemskim majątkiem powierzył administratorowi, sam zaś postarał się już w roku 1914 o posadę w rosyjskim MSZ. Zdał stosowne egzaminy, a w kwestionariuszu zadeklarował oprócz obowiązkowej znajomości języków rosyjskiego i francuskiego także biegłe opanowanie niemieckiego, angielskiego i włoskiego. W roku 1916 Jerzy Ciechanowiecki został attaché ambasady Rosji w Londynie, by już w roku 1918 pracować w Paryżu jako kierownik sekcji szyfrów przy Komitecie Narodowym Polskim. Koniec wojny polsko-bolszewickiej i pokój ryski na zawsze odcięły Ciechanowieckiego od Boczejkowa i ziemskich majątków, które znalazły się po stronie sowieckiej. Nowa sytuacja skłoniła go więc do kontynuowania kariery dyplomatycznej w polskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

W roku 1923 Jerzy Ciechanowiecki zaręczył się z Matyldą z hr. Osiecimskich-Czapskich, w uroczystości tej, mającej miejsce w Warszawie, wzięli zaś udział



Andrzej Ciechanowiecki (1924–2015), został światowej renomy antykwariuszem i kolekcjonerem

m.in. marszałek Francji i Polski Ferdinand Foch oraz krewny Ciechanowieckich gen. Maxime Weygand. Sam ślub odbył się w Krakowie w kościele oo. kapucynów. Młode małżeństwo otrzymało dyplomatyczny przydział do poselstwa Rzeczypospolitej Polski w Budapeszcie, gdzie Jerzy w roku 1930 niespodziewanie zmarł. Uroczysty pogrzeb odbył się w Warszawie na cmentarzu Powązkowskim. Zmarłego dyplomatę żegnał korpus dyplomatyczny, mowy zaś wygłosili Alfred Wysocki, wiceminister spraw zagranicznych, i Michał hr. Łubieński, późniejszy szef gabinetu ministra Józefa Becka.

Wdowa Matylda Ciechanowiecka zamieszkała w Warszawie i wychowywała syna. Jedną z jej pasji był sport, założyła pierwsze w Polsce publiczne pole golfowe w Powsinie i przez lata była mistrzynią Polski w grze w golfa kobiet. Czasy wojny i powstania warszawskiego przeżyła, wyprzedając dzieła sztuki. Po upadku powstania przez obóz w Pruszkowie dotarła do Krakowa. Udzielała tam lekcji angielskiego, a jej moralną podporą był ksiądz Karol Wojtyła, późniejszy papież i święty Jan Paweł II. W roku 1961 wyjechała do syna do Anglii, gdzie otrzymała tytuł Damy Honorowej i Dewocyjnej Suwerennego Zakonu Maltańskiego. Zmarła w roku 1991 w Londynie, prochy jej przewiezione zostały do Polski i złożono je w krypcie Maltańskiej kościoła w krakowskich Mistrzejowicach.

Syn Jerzego i Matyldy Ciechanowieckich Andrzej Stanisław (1924–2015) zapamiętany zostanie w dziejach polskiej kultury jak współfundator świątyni pw. Najświętszej Maryi Panny i św. Maksymiliana Kolbego w Mistrzejowicach oraz jej wstrząsającego wystroju rzeźbiarskiego wykonanego przez wybitnego artystę prof. Gustawa Zemłę. Trzeba także podkreślić, iż założona przez Andrzeja Ciechanowieckiego w roku 1986 Fundacja im. Ciechanowieckich przez lata wzbogacała zabytkowe wnętrza zarówno Zamku Królewskiego w Warszawie, jak i Zamku na Wawelu. Zamek w Warszawie dysponuje dziś blisko 6 tys. eksponatów przekazanych tej instytucji jako dary lub depozyty przez Fundację im. Ciechanowieckich.

Życie Andrzeja Stanisława, światowej renomy antykwariusza i kolekcjonera, mocno splatało się z polskimi powojennymi losami. Po podziemnej maturze w Warszawie, tajnych wykładach z ekonomii i historii sztuki oraz konspiracji akowskiej i po upadku powstania warszawskiego dostał się do Krakowa, gdzie ukończył Akademię Handlową i historię sztuki na Uniwersytecie Jagiellońskim. Jego świetnie zapowiadającą się karierę naukową w roku 1950 przerwało aresztowanie przez Urząd Bezpieczeństwa. Po oskarżeniach o szpiegostwo i współpracę z podziemiem skazany został na 10 lat więzienia. Siedział na Mokotowie, w Rawiczu i we Wronkach. Zwolniony wraz z falą odwilży w roku 1956 kontynuował pracę naukową, by w roku 1958 po uzyskaniu stypendium Fundacji Forda i British Council wyjechać do USA i Anglii. Doktorat obronił w niemieckiej Tybindze, potem podjął pracę w londyńskich antykwariatach i sławnych galeriach. Andrzej Ciechanowiecki skupował też polonika na całym świecie, działał w Związku Polskich Kawalerów Maltańskich, wsparł finansowo Instytut Sztuki PAN przy pierwszej publikacji dzieła Romana Aftanazego „Dzieje rezydencji na dawnych kresach Rzeczypospolitej". Nagrodzony przez państwo polskie Orderem Orła Białego i Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski zmarł bezdzietnie w roku 2015 w Londynie, pochowany został w Mistrzejowicach.

FOT. ARCHIWUM ASGH

eprasa.pl 287b547067

GÓRNA PÓŁKA

Smutny kontynent



ANTONI DUDEK

Co było największą porażką dyplomatyczną USA w minionym stuleciu? Większość Polaków – i trudno im się dziwić – odpowie, że kolejne konferencje „wielkiej trójki" w Teheranie i Jałcie, w trakcie których prezydent F.D. Roosevelt w praktyce oddał Stalinowi bez walki kontrolę nad Europą Środkową.

Jeśli jednak spojrzeć na sprawę z bardziej globalnej perspektywy i uwzględnić skutki sięgające do dzisiaj, to wydaje się, że tą porażką było dopuszczenie do zwycięstwa komunistów w chińskiej wojnie domowej. O tym, jak do tego doszło, traktuje jeden z 17 szkiców, z jakich składa się książka prof. Jakuba Polita poświęcona – jak sygnalizuje jej podtytuł – „epizodom i sylwetkom z dziejów Azji Wschodniej w XX wieku".

Podstawowy błąd Amerykanów popełniony w Chinach był podobny do tego, jaki popełnili wcześniej w stosunku do Europy Środkowej, i sprowadzał się do naiwności. W naszym przypadku polegała ona na wierze, że Stalin zadowoli się zajęciem Kresów Wschodnich i – zgodnie z deklaracją jałtańską – dopuści do przeprowadzenia w tak okrojonej Polsce demokratycznych wyborów. Natomiast w przypadku Chin, że możliwe jest wynegocjowanie zawieszenia broni między wojskami Czang Kaj-szeka i Mao Zedonga, a następnie doprowadzenie do demokratycznych wyborów. W rezultacie narzucone Czangowi przez gen. George'a C. Marshalla zawieszenie broni pozbawiło go posiadanej po kapitulacji Japonii przewagi, komuniści – wspierani dostawami broni i szkoleni przez Sowietów – wykorzystali bowiem czas jego trwania na wzmocnienie swojego potencjału militarnego. Gdy w 1947 r. w Chinach na nowo rozgorzały walki, wojska Kuomintangu szybko znalazły się w defensywie.

„Tajemnica zdumiewającej (także dla komunistów) bierności Stanów Zjednoczonych leżała w mniemaniu Waszyngtonu, iż choć Kuomintang nie jest w stanie pokonać komunistów, to sam też nie może być przez nich totalnie powalony" – ocenia prof. Polit. Rzeczywistość brutalnie zweryfikowała to mniemanie, a gdy wiosną 1949 r. wojska Mao zajęły stołeczny wówczas Nankin, Departamentowi Stanu pozostało już tylko opublikowanie białej księgi, w której przekonywano, że USA nie mogły zmienić wyniku chińskiej wojny domowej. Większości historyków przytoczone w niej argumenty nie przekonały.



Jakub Polit, „Smutny kontynent. Epizody i sylwetki z dziejów Azji Wschodniej w XX wieku", Arcana, Kraków 2021

POLSKIM OKIEM

Oklaski nie umilkną...



RYSZARD CZARNECKI

W Polskim Komitecie Olimpijskim, któremu stuknęło już 102 lata, odbyła się premiera książki „Gdy milkną oklaski..." wydanej z mojej inicjatywy i z moją przedmową, która stanowi przyczynek do historii polskiego sportu w ostatnich sześciu dekadach.

Dzieło jest autorstwa Macieja Zdziarskiego, a wydał ją Instytut Łukasiewicza. Zawiera 11 rozmów z wielkimi polskimi sportowcami reprezentującymi osiem dyscyplin.

Boks reprezentuje ostatni polski mistrz olimpijski Jerzy Rybicki. Przedstawicielem kolarstwa jest Mieczysław Nowicki podwójny medalista tych samych IO w Montrealu – srebrny w jeździe drużynowej na 100 km i brązowy indywidualnie. Dziś jesteśmy razem w prezydium PKOl. Strzelectwo sportowe ma najbardziej godną reprezentantkę, mistrzynię olimpijską z Atlanty (1996) i Sydney (2000) – w sumie trzy medale na IO – Renatę Mauer-Różańską.

Jako młodziak wygrałem cztery turnieje ping-ponga. Pingpongiści obrażają się, kiedy tak się ich nazywa, więc napiszę, że w „Gdy milkną oklaski..." jest rozmowa z siedmiokrotnym medalistą mistrzostw świata i Europy Leszkiem Kucharskim – jednym z dwóch, obok Andrzeja Grubby, najlepszych tenisistów stołowych w historii Polski. Hokej na lodzie reprezentuje były bramkarz reprezentacji Polski, olimpijczyk, który tę dyscyplinę porzucił dla... kapłaństwa. Ksiądz Paweł Łukaszka nie chciał jechać już na mistrzostwa świata do Japonii, bo ciągnęło go do seminarium. Mało kto wie, że syn Jerzego Różyckiego, jednego z trójki polskich kryptologów, którzy złamali szyfr Enigmy – Janusz Różycki – to medalista olimpijski z Tokio (1964) w szermierce. Jest też rozmowa z pierwszym polskim mistrzem olimpijskim właśnie w szermierce, Egonem Frankem – także z Tokio. To z kolei przykład wielkiej siły przyciągania polskości: urodzony w niemieckiej rodzinie zaczął się uczyć polskiego w wieku 10 lat, nigdy nie wyjechał na stałe do NRF/RFN, zawsze miał tylko polski paszport...

Królową sportu – lekką atletykę – reprezentuje czterokrotny mistrz olimpijski, chodziarz, Robert Korzeniowski. Jest też rozmowa z wicemistrzynią olimpijską sprzed 61 lat (!), z Rzymu, w skoku wzwyż, dziś 84-letnią Jarosławą Jóźwiakowską.

Na deser zostawiłem przedstawicieli sportu narodowego Polaków, czyli piłki siatkowej: siatkarzy, którzy mają najwięcej występów w reprezentacji Polski w historii – Magdalena Śliwa (359) i Piotr Gruszka (450).

W przedmowie napisałem, że książka ta jest „formą uczczenia naszych rodaków, którzy przez wiele lat walczyli pod biało-czerwoną flagą, z orzełkiem na piersi – z Polską w sercach".

eprasa.pl 287b547067



PREZENTUJEMY WYBRANY FRAGMENT ŚWIETNEJ KSIĄŻKI HANNY LITWIN „NASZ ŚWIDERMAJER", KTÓRA UKAZAŁA SIĘ NIEDAWNO NAKŁADEM WYDAWNICTWA RETMAN, POLECAJĄC NASZYM CZYTELNIKOM TĘ POZYCJĘ

NASZ ŚWIDERMAJER



HANNA LITWIN

Choć Otwock był już wolny od 29 lipca 1944 roku, to do Auschwitz front jeszcze nie dotarł. Armia Czerwona, od momentu przesilenia pod Stalingradem, skutecznie i konsekwentnie parła na zachód w ślad za cofającymi się oddziałami niemieckimi. Jednak sroga zima 1944/1945 opóźniała jej ofensywę. W styczniu 1945 Leokadia leżała „na rewirze", czyli w obozowym szpitalu. Część kobiecego szpitala, ze względu na skrajne przepełnienie, przeniesiono do pustych baraków obozu cygańskiego.

Cyganów wymordowano latem 1944 roku w kilku etapach. Ponieważ obawiano się buntu wielotysięcznej społeczności romskiej, SS-mani zastosowali stary fortel, oszukując więźniów, że jadą na roboty. Najpierw wyselekcjonowano „do wyjazdu" najsilniejszych młodych mężczyzn, w drugim etapie resztę mężczyzn, którzy w ślad za pierwszą grupą trafili do gazu. W obozie cygańskim pozostały tylko zagłodzone do nieprzytomności kobiety, dzieci o czarnych od nomy twarzach i ledwo żywi pojedynczy starcy. Z rajskich ubiorów Cyganek pozostały już tylko strzępy, ubrania dzieci wydarły się najszybciej i wszyscy chodzili w łachmanach ledwo okrywających wychudzone ciała. Nie mieli sił, a jednak bronili się, bo wiedzieli, że teraz czeka ich już tylko śmierć. W dniu ostatecznej likwidacji obozu cygańskiego schorowani i ledwo żywi starcy zabarykadowali od wewnątrz wejścia do baraków, by walczyć o swoje córki i wnuki. Po krótkiej walce wszyscy zostali brutalnie wyciągnięci z baraków i wywiezieni ciężarówkami do zagazowania i spalenia w piątym krematorium. Wcześniej, w lipcu, w podobny sposób zlikwidowano „familijny" obóz czeski Żydów z Teresina, w którym przebywało kilkanaście tysięcy osób.

Po Cyganach pozostało ponad trzydzieści baraków, sąsiadujących z barakami męskiego szpitala więziennego. Leokadia trafiła do jednego z nich ty-

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 287b547067

dzień temu, gdy straciła przytomność na bloku. Leżąc teraz z gorączką na szpitalnej pryczy, odzyskiwała i traciła świadomość – i w takim stanie weszła w 1945 rok. Wiedziała, że ma tyfus, bo widziała go wielokrotnie w Rosji. Powinni ją zastrzelić. Niemcy bali się tyfusu jak ognia i mordowali zarażonych przy każdym

– Ja chcę różaniec.

– Skąd ci wezmę różaniec? Módl się na palcach.

– Dajcie mi ten różaniec – jęczała dalej Leokadia. – Dajcie mi...

– Majaczysz... Leż spokojnie, zaraz przyniosę kompres.

A różaniec faktycznie był. Była pewna.

POSKROBAŁA, A POTEM PYK, PYK, PYK, WYPADŁY CZTERY KOLEJNE KORALIKI I ZADYNDAŁY NAD NIĄ. TERAZ JUŻ MIAŁA PEWNOŚĆ, ŻE TO RÓŻANIEC I ŻE TEN RÓŻANIEC URATUJE JEJ ŻYCIE. CZUŁA TO

pojawieniu się tej choroby. Jeśli więzień był jeszcze chodzący, szedł do gazu, a potem jego ciało palono w krematorium. Jeśli więzień z tyfusem był leżący i nie mógł sam pójść po swoją śmierć, długą igłą robiono mu zastrzyk z fenolu prosto w serce i wzywano ludzi z Leichenkommando, by na taczce odwieźli trupa do krematorium. Wtedy więźniowie z Sonderkommando byli bardzo niezadowoleni, bo też bali się tyfusu. Więc dobra lekarka więźniarka, pani Kasia Łaniewska, musiała chyba wpisać coś innego, a może sama nie rozpoznała? Leokadia wciąż żyła. Jednak utrzymująca się wysoka gorączka nie pozwalała jej na pełne rozeznanie w sytuacji. Szczękała zębami, majaczyła. Słyszała wybuchy i myśli biegły do majowej burzy w Świdrze. Jakieś zielenie zataczały kręgi przed jej oczami – sosny? Tak buja. To Włodek w hamaku? Znowu grzmi i zielono i mokro.

– Co oni wysadzają – jęczała obok jakaś stara kobieta – siostro, czy to bomby?

– Nie wiem – młoda więźniarka Niunia Tyniecka, pełniąca w szpitalu funkcję pielęgniarki, pochyliła się nad leżącymi kobietami. – Ludzie mówią, że to krematoria. Uspokójcie się... I to trzeba wypić, dziecinko – zwróciła się do starej i podała kubek z jakąś cieczą. – Zupa – spojrzała przy tym na Leokadię i zobaczyła uśmiech.

– Odpływasz, dziecinko, zaraz przyniosę kompres i schmerztabletkę – były to jedyne tabletki dostępne w obozowej aptece, przeciwbólowe, dobre na wszystko.

Jakiś czas temu – wczoraj? Nie, to nie mogło być wczoraj. Dzisiaj? A może tydzień temu? – nad głową, nad sobą, między nierównymi deskami górnej pryczy zobaczyła dwa koraliki. Drewniane, jak deski, do których się przytulały. Patrzyła na nie, przesuwała głowę. Myślała, że ma zwidy. Ale to nie mogło być nic innego. Chciała wydobyć te koraliki, jakoś je dosięgnąć, ale ręka nie miała siły. Odpoczywała, zapadała w sen o zielonościach, a gdy się budziła, koraliki wciąż tam tkwiły. Więc kolejna próba, prawa ręka wznosi się i opada, wznosi i opada bezwładnie. I znowu dreszcze.

– Czy ja umieram? – myślała Leokadia całkiem spokojnie. – Pewnie umieram. I Pan Bóg dał mi różaniec. Boże, dziękuję ci za różaniec.

– To nie różaniec, dziecinko, to kompres.

– Dajcie mi ten różaniec – jęknęła Leokadia, nim zapadła w wilgoć i w świdrzańskie zieloności. – Jak nad rzeką – pomyślała i odpłynęła.

Obudziła się w nocy, gdy wpadające do baraku światło zmieniało kolory. Czerwona poświata trwała chwilę i gasła. Słychać było grzmoty. I znów na moment wpływało przez okienko białe światło. Grzmot – i zgasło. A potem znów czerwone.

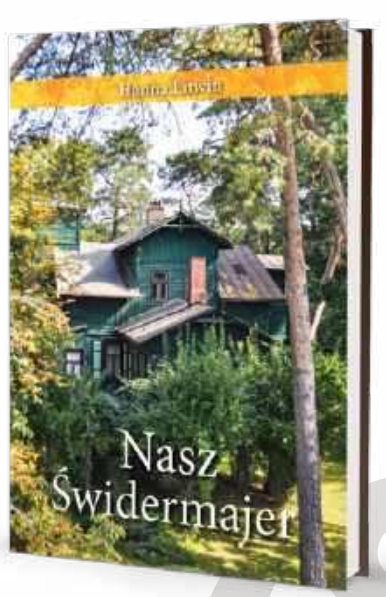
Po jakimś czasie jej ręka ponownie podjęła próbę dosięgnięcia różańca. I znów opadła.

– Jeszcze za wcześnie, jeszcze nie dam rady – myślała w chwilowej przytomności. – Ale dosięgnę, może jutro.

I modliła się do tych dwóch koralików, które widziała nad sobą. I zmawiała zdrowaśki, patrząc na nie.

Gdy gorączka ustąpiła, wiedziała już, że będzie żyć. Swędzenie na piersiach to nie były wszy, a raczej wszy też były oczywiście, ale gdy uniosła jak bezwładną płetwę, fałd skóry, który kiedyś był jej lewą piersią, zobaczyła wysypkę. Zrozumiała, że przesilenie minęło. Wreszcie, po kolejnych próbach, z ogromnym wysiłkiem, końcówka środkowego palca dotknęła koralika, a on się przekręcił. Jakoś tak wesoło się przekręcił, jakby był żywy i zachęcał do zabawy. Poskrobała, a potem pyk, pyk, pyk, wypadły cztery kolejne koraliki i zadyndały nad nią. Teraz już miała pewność, że to różaniec i że ten różaniec uratuje jej życie. Czuła to. Znowu grzmiało, ale teraz Leokadia zdawała sobie sprawę, że to nie burza, tylko jakieś wybuchy. Kto mógł schować różaniec między deski? Do kogo należał? Kto nie dał go sobie odebrać w saunie? Jak go ukrył? Dla kogo był tak ważny, że przemycił go na blok, choć mógł zostać zastrzelony, gdyby to odkryto? Właściciel na pewno już nie żył, bo gdyby żył, różańca by tu nie było. Czuła ogromną wdzięczność dla tego kogoś, kto umarł, ale zostawił po sobie schowany różaniec, po to, by uratować jej życie. Modliła się, odpoczywała, skrobała w deski i wydobywała kolejne koraliki. Ostatnim ruchem wyskrobała drewniany krzyżyk i wtedy różaniec upadł jej na twarz.

Następnego dnia do obozu weszli rosyjscy żołnierze. Był 27 stycznia 1945 roku.



eprasa.pl 287b547067

1 STYCZNIA 2022 r. MIJA KOLEJNA ROCZNICA OGROMNEGO TRIUMFU „HALKI" STANISŁAWA MONIUSZKI. DO ŚPIEWU FORTEPIANU CHOPINA DOŁĄCZYŁY OPEROWE ARIE PIEWCY POLSKOŚCI, KTÓRE ZE SZCZEGÓLNĄ SIŁĄ WYBRZMIAŁY W „STRASZNYM DWORZE"



JERZY MIZIOŁEK

MONIUSZKO – PIEWCA POLSKOŚCI

Mazur, rodzony brat mazura z »Halki«, zamknął w »Strasznym dworze« tę tryskającą zdrowiem i uczciwą polskością – epopeję pięknych kart przeszłości". Tak pisał o arcydziełach Moniuszki jeden z krytyków. Ta „uczciwa polskość" objawiła się w szczególnym momencie dziejowym w 1858 r. (premiera „Halki") i w 1865 r. (premiera „Strasznego dworu"). Niezwykłe są losy obu tych oper wpisanych w dramaturgię czasów powstania styczniowego. Militarnie ponieśliśmy klęskę, opery zostały ocenzurowane, zwłaszcza druga z nich, ale ich duchowość – jak duch Rzeczypospolitej – trwała i z czasem złożyła się w pieśń wolności i odrodzenie Polski. Ma rację Jacek Kowalski, gdy pisze, że „Straszny dwór" to jeden z korzeni niepodległości.

Premiery obu arcydzieł operowych Moniuszki miały miejsce na deskach Teatru Wielkiego (nie pozwolono go nazwać Narodowym), jednym z tych niezwykłych miejsc stolicy, w których język polski był dozwolony nawet w czasach bezwzględnej rusyfikacji. Jak to było możliwe?

Warszawa w czasach Moniuszki i powstania styczniowego

Oto obraz Warszawy z Teatrem Wielkim w roli głównej, jaki ukazują słynne niegdyś „Listy do przyjaciółki przez baronową XYZ": „Kto często bywa w Warszawie, tego wśród innych jedna także rzecz uderzyć musi, oto nieproporcjonalne miejsce, jakie w zajęciu ogółu zajmuje teatr. [...] Nigdzie teatr nie ma tego, co u nas, wyjątkowego znaczenia. Wytworzyło je położenie polityczne. Jedyna to instytucja publiczna, w której ostał się jeszcze język polski. Nie ma go już w urzędach, nie ma w szkole i w sądach, jest tylko w kościele i w... teatrze".

Słowa te dotyczą czasów nieco późniejszych, gdy w urzędowych pismach rosyjskich nie mówiono już o Królestwie Polskim, lecz o Kraju Przywiślańskim, ale dobrze oddają atmosferę panującą w Warszawie już na przełomie lat 50. i 60. XIX w.

Teatr Wielki już wcześniej i po wielekroć pojawiał się w centrum wydarzeń politycznych; jego aktorzy i śpiewacy grali swoje role nie tylko na scenie, ale i w oporze przeciwko carskiej opresji. W 1860 r. miało dojść w Warszawie do spotkania dwóch cesarzy i króla pruskiego (dla Polaków trzech okupantów), ale trzeci z nich z powodu choroby nie

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl 287b547067

przyjechał. Przedstawienie galowe miało miejsce w Teatrze Wielkim; wydał je car dla swoich gości: cesarza austriackiego, Franciszka Józefa, oraz księcia-regenta pruskiego, Wilhelma. Spektakl zakończył się skandalem. Kilku spiskowców ze Szkoły Sztuk Pięknych zdemolowało fotele w lożach i oblało widownię cuchnącymi chemikaliami. Wobec rodaków i całego świata zaprotestowano w ten sposób przeciwko spotkaniu w Warszawie „trzech złodziei, którzy rozszarpali Polskę". Jednak ostatecznie przedstawienie galowe baletu „Modniarki" odbyło się; obejrzał je sam car Aleksander II bez swoich gości. Następnego dnia przygotowano dla niego przedstawienie baletowe – „Robert i Bertrand, czyli dwaj złodzieje"; spiskowcy na afiszach wywieszonych na ulicach w szafkach – zmienili tytuł na „Trzej złodzieje".

W czasie manifestacji przeciwko rosyjskiemu zaborcy w 1861 r. na ulicach Warszawy padły pierwsze ofiary. Dwa lata później, wraz z wybuchem powstania styczniowego, tych ofiar było bardzo wiele, a Teatr Wielki znacznie ograniczył swoją działalność. Kolejny zamach na namiestnika planowano na 5 marca 1863 r. w Teatrze Wielkim podczas przedstawienia „Halki". Zamach się nie udał, choć na widowni miało czyhać stu zbrojnych w rewolwery i sztylety spiskowców. Kolejne nieudane zamachy miały miejsce 19 września i 2 listopada; pierwszy na Nowym Świecie na nowego namiestnika Fiodora Berga, drugi u zbiegu ulic Senatorskiej i Daniłłowiczowskiej na jenerał-majora Trepowa. Zamachowców schwytano i powieszono na placu Teatralnym 12 listopada przed południem. Szubienica stała na placu ku przestrodze jeszcze na początku roku następnego. W wyniku represji popowstaniowych na Sybir zesłano kilku artystów Teatru, którzy zaangażowali się w działalność patriotyczną – tancerzy Karola Minakowskiego i Karola Mestenhausera. Również Stanisław Bogusławski (syn Wojciecha) i jego syn Władysław zostali uznani za konspiratorów. Władysław otrzymał karę śmierci za udział w powstaniu styczniowym, która dzięki staraniom rodziny została zamieniona na dożywotnią katorgę, a następnie na 10 lat ciężkich robót. Powrócił do Warszawy po ogłoszeniu carskiej amnestii na początku 1869 r.

Gdy w 1865 r. tenor Julian Dobrski zaśpiewał w czasie nabożeństwa za poległych „Hymn" Alessandra Stradellego, został natychmiast zdymisjonowany po wykryciu „przestępstwa". Rozwiązano cały zespół polski (obok niego działał również zespół włoski), ponownie angażując tylko chór i orkiestrę. Po kilku miesiącach część zespołu polskiego wróciła na deski Teatru Wielkiego, ale nie Dobrski. Brak tego tenora, który poświęcił się pracy pedagogicznej, nie przeszkodził jednak w kolejnych wykonaniach „Halki"; rolę Jontka z braku tenora powierzono barytonowi.

Moniuszko i jego arcydzieła operowe

Triumf Moniuszki 1 stycznia 1858 r. i jego kolejne dokonania na deskach Teatru Wielkiego opisały entuzjastycznie gazety warszawskie. Po pierwszym przedstawieniu „Halki" szybko przyszło drugie, trzecie i kolejne (do końca 1858 r. operę grano jeszcze 36 razy, przy pełnej widowni); w ciągu następnych dekad było ich 500. „Onegdaj – pisze krytyk „Gazety Warszawskiej" z 22 lutego 1858 r. – mieliśmy jedenaste przedstawienie »Halki«. Kasa, jak zwykle, była zamknięta przed rozpoczęciem widowiska. Jedenaście przedstawień tak pełnych, w ciągu półtora miesiąca w mieście jak Warszawa, bez ludności napływowej, przyjezdnej, z publicznością co do liczby dość ograniczoną, świadczy lepiej niż wszelkie dowody, jak publiczność wniknęła w to dzieło pracy i talentu, świadczy o bogactwie niezmiernym piękności jego, bo tak chętne rozpatrywanie się na tak sumienne wsłuchiwanie tylko dzieła głębszej myśli, szczęśliwie przeprowadzonej, zarobić sobie mogą".

O wielkim sukcesie „Halki" pisano we wszystkich trzech zaborach. To dzieło Moniuszki, jak i inne jego opery, zwłaszcza „Straszny dwór", pełniły tę samą funkcję w utrzymywaniu świadomości narodowej, co dzieła takich poetów wieszczy, jak Adam Mickiewicz i Juliusz Słowacki. „Halka" nie uszła też uwadze prasy zagranicznej. W obszernej i wnikliwej recenzji dzieła Moniuszki, opublikowanej w „Neue Zeitschrift für Musik" z 12 listopada 1859 r., Hans von Bülow pisał: „W panu Stanisławie Moniuszce, kompozytorze w najwyższym stopniu utalentowanym, wypowiada się żywo taka koncentracja ducha narodowego i w indywidualnej sile. Opera »Halka« wywołała w Warszawie fanatycznie płomienne i intensywnie trwałe wrażenie i nagrodziła autora w sposób zaszczytny za długoletnie braki i walki. Obok osobistego zadowolenia przypadło mu w udziale także artystyczno-patriotyczne; udało mu się bowiem podnieść upodobanie estetyczne narodu z niższej sfery przyjemności i rozkoszy zmysłowych łaskotek słuchowych włoskiej muzyki i zapoczątkować jego przyszły rozwój i uszlachetnienie. P[an] Moniuszko nie osiągnął tego triumfu bez trudu, pomiędzy innymi nie bez dziesięcioletniego czekania na dobre usposobienie warszawskiego intendenta teatralnego".

Tuż po pierwszych sukcesach „Halki" Moniuszko z Wilna przeniósł się wraz z rodziną do Warszawy, gdzie objął stanowisko dyrektora opery. W następnych latach powstały kolejne jego dzieła; najważniejsze z nich to „Hrabina", „Verbum nobile" i – przede wszystkim – „Straszny dwór". W tle z nawiedzanym rzekomo przez duchy dworem rozgrywa się, z udziałem dwóch braci – Stefana i Zbigniewa – oraz dwóch sióstr Hanny i Jadwigi, historia miłosna, która ma szczęśliwy finał. Tę pełną radości operę, ale z nutą nostalgii za dawną, wolną i potężną Polską, wystawiono, po ocenzurowaniu libretta w trudnym dla Warszawy czasie po upadku powstania styczniowego. Pokłady patriotyzmu i narodowej nuty tak obecne we wcześniejszych operach Moniuszki, w „Strasznym dworze" powróciły ze szczególną siłą. Libretto napisał Jan Chęciński, reżyser i aktor, który po inspirację sięgnął, tak jak w przypadku „Halki", do „Starych gawęd i obrazów" Kazimierza W. Wójcickiego. Tekst libretta gotowy był już w 1862 r., ale pierwszy szkic opery powstał dopiero pod koniec listopada roku następnego. Do połowy lipca 1865 r. zostało ukończone znakomicie skonstruowane dzieło dla pokrzepienia serc – na scenie ukazali się zbrojni rycerze wypowiadający śmiałe słowa o gotowości do walki i ofiar w obronie ojczyzny. Roztacza się w nim urzekająca atmosfera polskości emanująca ze scen zbiorowych, tańców i chwytających za serce arii, w tym najpiękniejszej z nich – arii z kurantem: „Cisza dookoła, noc jasna, czyste niebo...". Słowa „Matka" i „po twym zgonie", które w kulminacyjnym momencie wyśpiewuje Stefan, to wzruszająca alegoria Ojczyzny w niewoli. Nuta patriotyzmu sięga zenitu również wtedy, gdy Miecznik w swej »

eprasa.pl 287b547067

» centralnej arii-polonezie mówi, jakie warunki powinni spełniać kawalerowie ubiegający się o poślubienie jego córek:

„Kto z mych dziewek serce której
W cnych afektów wplącze nić
Musi cnót posiadać wiele:
Kochać Boga, kochać bratni lud,
Mieć w miłości kraj ojczysty,
Być odważnym jako lew.
Dla swej ziemi macierzystej
Na skinienie oddać krew".

Niestety po interwencji cenzury słowa ostatniej zwrotki zmieniono na dwuwiersz:

„Znać żywota piękne cele
Musi znosić pracy trud".

Z relacji świadków wydarzenia wynika, że na prapremierze 28 września 1865 r. publiczność szalała z zachwytu i płakała ze wzruszenia. Owacja zmieniła się w manifestację; podobnie stało się za drugim i trzecim razem. „Gazeta Muzyczna i Teatralna" (nr 2 z 1865) tak opisała atmosferę premiery „Strasznego dworu": „Najpierwsze wrażenie, jakiego doznawaliśmy od razu, było uczucie szczególnego zadowolenia, jakiejś błogości; jakieś wewnętrzne ciepło [...] opanowało nas [...], poczuwaliśmy się do pewnej solidarności z kompozytorem, który zdawałoby się, jakby nam, słuchaczom, wyjął z piersi jakąś cząstkę naszej duszy, i tę ozdobił". Sam Moniuszko w liście z 7 października 1865 r. informował jednego ze swych przyjaciół: „Już więc po trzecim przedstawieniu »Strasznego dworu« i zwycięstwo stanowcze. [...] Dobrski był zachwycający! Pieśń z kurantami [...] i prolog najwięcej się podobały [...]. Nowy mazur, rodzony »Halkowego« braciszek, ożywia czwarty akt". Przerażone powodzeniem opery władze carskie zakazały jej wystawiania. W tym samym liście informującym Edwarda Ilcewicza o „zwycięstwie stanowczym" i „nowym mazurze", który do dziś tak bardzo nas zachwyca, Moniuszko donosił: „»Straszny dwór« zawieszony przez naszą »matkę« cenzurę. Nikt zgadnąć nie może, z jakiego powodu". Oczywiście powodem był entuzjazm, który wywoływał prolog ukazujący obóz wojsk polskich i pełne patriotyzmu, pomimo ocenzurowania, arie. Opery nie wznawiano przez całe lata, a jeśli już do tego dochodziło, grano ją bez „Prologu" i ze zmienionymi słowami, m.in. w arii Miecznika. Na granie „Prologu" zezwolono w 1905 r., ale pełna wersja „Strasznego dworu" powróciła dopiero w 1915 r., po wycofaniu się rosyjskich wojsk z Warszawy.

Oba arcydzieła Moniuszki: „Halka" i „Straszny dwór", które kształtowały w Polsce – i czynią to dotąd – miłość do muzyki narodowej, do świata kultury ludowej, przypominają tradycje polskie i wartości rodzime, zaczęły się ostatnio przebijać również na sceny międzynarodowe. Czy brakuje im geniuszu, czy treści uniwersalnych, których jest tak wiele w twórczości poety fortepianu? Jeden z badaczy tak odpowiedział na te pytania: „Chopin był geniuszem, torującym nowe drogi muzyce, Moniuszko – geniuszem korzystającym ze ścieżek już udeptanych. Pierwszy był muzycznym arystokratą polskim, drugi skromnym lirnikiem wioskowym. Chopin nie tylko polskim, lecz wspólnym językiem muzycznym mógł przemawiać, stąd jest znany i ceniony przez cały świat; gdy Moniuszko najpiękniej mówił tylko po polsku. Był też ulubieńcem Polski, która zawsze go chętnie słucha, kocha stale i więcej, aniżeli Chopina za swojaka poczytuje".

* * *

Czym były „Halka", „Straszny dwór", „Hrabina" i inne utwory Moniuszki dla Warszawy oraz całej Polski, daje wyobrażenie uroczystość w Teatrze Wielkim 3 stycznia 1908 r. z okazji 50-lecia przedstawienia pierwszego z wymienionych dzieł. Autor recenzji opublikowanej tego dnia w „Słowie" pisał: „Na kurtynie widniała pięćdziesiątka estetycznie z kwiatów spleciona. Rozpoczęto kantatą »Verbum nobile« Moniuszki. Na scenie ukazał się biust mistrza otoczony zielenią. Wkoło – cały personel Opery, zaproszeni kompozytorzy polscy. Na fotelu siedziała sędziwa p. Rostkowska, najpierwsza Halka (wileńska), obok stała p. Dowiakowska, Halka przez tyle lat u nas oklaskiwana. Po odśpiewaniu kantaty wszyscy powstali z miejsc, zerwała się burza oklasków, która nie miała końca, wszystkich zaś ogarnęło uczucie dziwnego, serdecznego wzruszenia. [...] stronę świetną stanowił śpiew p. [Janiny] Korolewicz-Waydowej, która partię Halki zalicza do najlepszych ze swego repertuaru".

Warto tu jeszcze zauważyć, że dzięki Moniuszce opera przestała być sztuką zarezerwowaną dla sfer wyższych, preferujących włoskich i francuskich twórców. Kompozytor odniósł swoje największe sukcesy w Warszawie, ale nigdy nie zapomniał o swych litewsko-ruskich korzeniach i swojej działalności w Wilnie. Według niektórych badaczy nosił się nawet z projektem narodowej opery litewskiej. Tworzył też muzykę do poezji swojego wielkiego krajana Mickiewicza. Tym samym nasz kompozytor, który – jak pisał Syrokomla – „stanął jak Orfej [by] muzycznym narzędziem rozmiękczać kamienie i skały", należy do sfery ducha Rzeczypospolitej Obojga Narodów.



FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl 287b547067

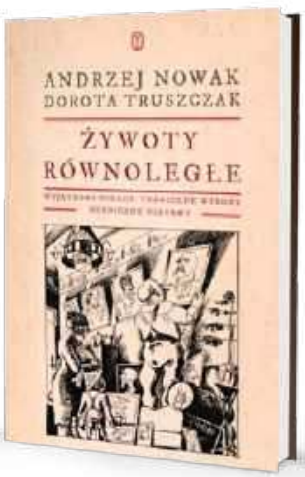


RAFAŁ ŁATKA

Biuro Badań Historycznych IPN

W KRĘGU KLIO

Andrzej Nowak, Dorota Truszczak, „Żywoty równoległe. Wyjątkowi Polacy, tragiczne wybory, heroiczne postawy", Kraków 2021, Wydawnictwo Literackie



Książki prof. Andrzeja Nowaka już wielokrotnie reklamowałem w moim cyklu, doceniając przede wszystkim szerokość spojrzenia krakowskiego historyka, elokwencję i umiejętność interesującego zaprezentowania trudnej czy nieopisanej problematyki. W przypadku książki „Żywoty równoległe" wydanej wspólnie z Dorotą Truszczak szczególnie ta ostatnia kwestia wysuwa się na plan pierwszy. Zgodnie z konwencją książki przedstawiono kilkanaście podwójnych szkiców biograficznych w formie wywiadów. Autorzy dokonali porównania wybranych bohaterów historycznych żyjących w zbliżonych momentach dziejów Polski. Za początek rozważań przyjęto okres początków walki o odzyskanie polskiej niepodległości pod koniec XVIII w. Z tego powodu pierwszą parę tworzą Tadeusz Kościuszko i książę Józef Poniatowski. Ostatnimi postaciami, które porównano, byli Tadeusz Mazowiecki i Lech Kaczyński. Dobór prezentowanych biografii ma charakter subiektywny, niektóre żywoty równoległe mają charakter oczywisty, jak zestawy: Józef Piłsudski i Roman Dmowski czy Eliza Orzeszkowa i Maria Konopnicka; inne zaś dość zaskakujący (czasem nawet paradoksalny), jak szkice porównawcze: księcia Adama Jerzego Czartoryskiego i Adama Mickiewicza; Wincentego Witosa i Kazimierza Bartla czy Czesława Miłosza i Jana Pawła II. Dużą zaletą książki jest płynna narracja oraz skoncentrowanie na kwestiach najbardziej istotnych. Nowak, odpowiadając na pytania red. Truszczak, nie boi się stawiać tez kontrowersyjnych, aczkolwiek zwykle dobrze uzasadnionych, stara się również zachować obiektywizm spojrzenia. Nie zawsze się to udaje, widać, iż w niektórych przypadkach sympatia krakowskiego badacza jest po stronie jednego z pary bohaterów (np. w przypadku Piłsudskiego czy Kaczyńskiego). Nie oznacza to jednakże, że nie próbuje on zrozumieć motywacji wszystkich prezentowanych postaci. Książkę „Żywoty równoległe" należy traktować jako atrakcyjne ujęcie (całe szczęście dalekie od pomnikowości) losów wielu polskich bohaterów narodowych w całym ich skomplikowaniu i na tle epoki. Polecić ją można szczególnie amatorom historii, gdyż publikacja da im punkt startowy do dalszych już własnych poszukiwań.

Sebastian Warlikowski, „Polacy w sowieckich łagrach. Nie tylko Kołyma. Wspomnienia i dokumenty", Warszawa 2021, Zona-Zero



Literatura na temat polskiej martyrologii w okresie II wojny światowej systematycznie się rozwija. Widać w niej znaczącą przewagę prac poświęconych okupacji niemieckiej, ale stopniowo pojawia się także coraz więcej publikacji poświęconych sowieckim represjom. Sebastian Warlikowski dał się już poznać jako autor, który potrafi w interesujący sposób przedstawić tę problematykę. Dwa lata temu ukazała się jego książka poświęcona przeżyciom polskich więźniów na Kołymie, zawierająca wiele świadectw i dokumentów. Teraz otrzymaliśmy kontynuację tamtych rozważań, zbudowaną w analogiczny sposób, czyli przez oddanie głosu świadkom, tym, którzy piekło łagrów przeżyli i często dopiero po przeszło pół wieku mogli złożyć na ten temat świadectwo. Książka zawiera sześć rozbudowanych relacji (jedna z nich ma podwójny charakter, gdyż została złożona przez małżeństwo Michalewskich) pokazujących, jak wyglądały kolejne etapy pobytu w sowieckich obozach: od skazania i transportu aż do opuszczenia miejsca katorgi (na mocy traktatu Sikorski–Majski, nie bez wielu utrudnień). Pokazują one jednoznacznie, czym był w swojej istocie komunizm i jak nieludzko traktowano wszystkich „zeków". Odbiór publikacji uatrakcyjnia dobrze dobrana i wartościowa ikonografia – szczególną uwagę należy zwrócić na szkice autorstwa świadków. To właśnie tego typu materiały pozwalają nam spojrzeć na łagier oczami zesłańców.

»

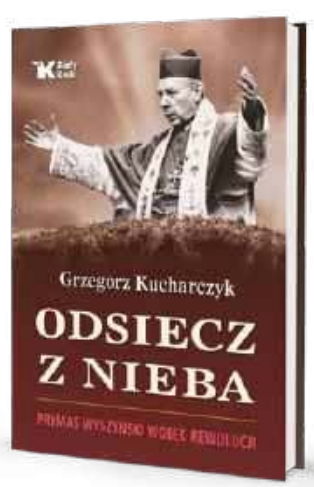
eprasa.pl 287b547067

„Oblicza zdrady", red. Kazimierz Krajewski, Warszawa 2021, IPN



Historia polskiego podziemia niepodległościowego po II wojnie światowej w dalszym ciągu fascynuje wielu Polaków. Świadczą o tym kolejne liczne publikacje poświęcone poszczególnym oddziałom, ich dowódcom czy najbardziej znanym partyzantom. Nie brakuje także studiów dotyczących drugiej strony, czyli komunistycznego aparatu represji zwalczającego w bezwzględny sposób żołnierzy oddziałów poakowskich. Dzieje żołnierzy wyklętych, czy już dzisiaj raczej mówić powinniśmy „żołnierzy niezłomnych", łączą w sobie opisy czynów zarówno bohaterskich, jak i zdradzieckich. Ta druga kwestia wzbudza do dzisiaj niemało kontrowersji. Z tego względu bardzo dobrze się stało, że pod redakcją Kazimierza Krajewskiego – doświadczonego badacza dziejów podziemia niepodległościowego – ukazał się tom zawierający studia poświęcone renegatom i postaciom kontrowersyjnym wywodzącym się z polskiego podziemia. W pierwszej części publikacja zawiera 17 artykułów o zdrajcach zarówno już świetnie znanych, takich jak Henryk Wendrowski czy Czesław Białowąs, jak i dotychczas nieopisanych w sposób pogłębiony (przykładowo historia „V kolumny" działającej na zlecenie MBP na północnym Mazowszu). Zdecydowana większość artykułów poświęconych zdrajcom stoi na bardzo wysokim poziomie, a ich losy zostały możliwie dokładnie odtworzone. Warto polecić szczególnie analizy redaktora tomu Tomasza Łabuszewskiego, Mirosława Surdeja, Rafała Sierchuły i Piotra Niwińskiego. Jedynym wyjątkiem jest artykuł Tomasza Balbusa o Henryku Chmielewskim, który liczy zaledwie sześć stron (trudno go traktować inaczej niż tekst popularnonaukowy, daleki od wyczerpania tematu). W drugim dziale „Postacie kontrowersyjne" znalazło się pięć artykułów dotyczących: Jana Rzepeckiego, Jana Mazurkiewicza, Stanisława Tatara, Brunona Olbrychta i Bolesława Piaseckiego. Zdecydowanie najbardziej interesujący jest tekst o ostatniej z wymienionych postaci przygotowany przez Wojciecha Jerzego Muszyńskiego. Warszawski historyk świetnie i całościowo pokazał niuanse Piaseckiego gry o przeżycie i jego prób zdobycia znaczącej pozycji w nowym systemie komunistycznym. Wydaje się, że jest to interesujący przyczynek do biografii tej postaci, nad którą Muszyński obecnie pracuje. Równie cenne jest studium Andrzeja Chmielarza dotyczące Jana Rzepeckiego, zwłaszcza ostateczna konkluzja: „Nie ma jednak wątpliwości co do tego, że Rzepecki po aresztowaniu sypał, czyli zdradził organizacje i ludzi. Zdradził za wątpliwą gwarancję, że jego współpracownicy będą bezpieczni. Zdumiewa to, że doświadczony dowódca [...] był gotów oprzeć swe kalkulacje i przyszłe losy podkomendnych na wątpliwej wartości słowie przedstawiciela komunistycznego aparatu bezpieczeństwa. [...] Negocjując z komunistami, porzucił on w trudnym momencie podkomendnych, a tym samym sprzeniewierzył się zasadzie odpowiedzialności dowódcy za poległych żołnierzy".

Grzegorz Kucharczyk, „Odsiecz z nieba. Prymas Wyszyński wobec rewolucji", Kraków 2021, Biały Kruk



Warto także sięgnąć do nowej książki Grzegorza Kucharczyka poświęconej Prymasowi Tysiąclecia zatytułowanej: „Odsiecz z nieba. Prymas Wyszyński wobec rewolucji". Praca zawiera całościowe spojrzenia na podejście S. Wyszyńskiego do kolejnych rewolucji: protestanckiej reformacji; laicyzmu realizowanego w Europie Zachodniej od końca XVIII w.; XX-wiecznych totalitaryzmów: komunistycznego i nazistowskiego. Publikację wieńczą rozważania o podejściu prymasa do praktycznej realizacji rewolucji lat 60. w „katedrze i na uniwersytecie" oraz odpowiedź na pytanie, jak unikać rewolucji. Ta ostatnia kwestia odnosi się wprost do nauczania kard. Wyszyńskiego i jego twórczej interpretacji. W moim przekonaniu należy się zgodzić z autorem, który tak podsumowuje stosunek Wyszyńskiego do rzeczywistości społeczno-politycznej PRL: „Całe życie i nauczanie Prymasa Tysiąclecia było wzywaniem do odnoszenia przez cały ochrzczony naród zwycięstw moralnych. Czymże, jak nie tym właśnie, była Wielka Nowenna? Była przypomnieniem, że »nie wisimy na gałęzi« i że »nie jesteśmy z kukułczego gniazda« i jako »naród millenijny« (»naród spadkobierców pierwszych pokoleń Polski chrześcijańskiej«) mamy wyznaczone nam przez Opatrzność zadanie do wykonania. Oto recepta na przeciwieństwo rewolucji".

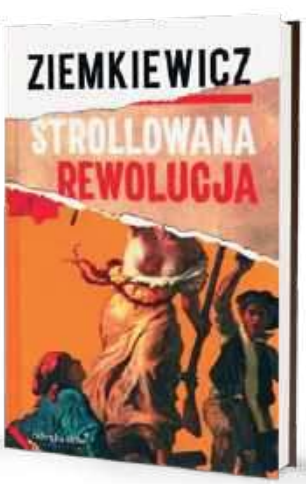
eprasa.pl 287b547067

Rafał Matyja, „Miejski grunt. 250 lat polskiej gry z nowoczesnością", Kraków 2021, Karakter



Rafał Matyja jest postacią świetnie znaną w polskiej sferze publicznej jako autor hasła „IV Rzeczpospolita", do którego swego czasu odwoływały się dwie największe obecnie polskie partie polityczne. Jednakże postrzeganie go tylko przez pryzmat roli komentatora politycznego czy publicysty byłoby ogromnym i niesprawiedliwym uproszczeniem. Dał się już bowiem poznać jako osoba bardzo dobrze łącząca w swoich analizach spojrzenie historyczne i politologiczne. Przykładami w tym zakresie mogą być książki: „Państwowość PRL w polskiej refleksji politycznej lat 1956–1980" oraz „Rywalizacja polityczna w Polsce". Szczególnie ta druga ma błyskotliwy charakter, gdyż odkrywa źródła i elementy kształtujące współczesną polską scenę polityczną (przed 2013 r.). Równie pogłębioną analizą – choć jeszcze bardziej osadzoną w historii – jest jego najnowsza książka „Miejski grunt. 250 lat polskiej gry z nowoczesnością". Krakowski badacz postanowił się zmierzyć w niej z opisaniem dziejów polskich miast i tego, jak one kształtowały się na tle rozwoju całej Europy. Otrzymujemy dzieło erudycyjne, obejmujące okres od drugiej połowy XVIII w. aż do współczesności. Autor precyzyjnie wyjaśnia, dlaczego na ziemiach polskich rozwój miast był dość utrudniony, skomplikowany, niepewny oraz jak osiągnęły stan obecny. Czyni to, opisując zmiany cywilizacyjne zachodzące na całym kontynencie, jako pretekst do generalnych sądów wykorzystuje m.in. konkretne przejawy nowoczesności, takie jak budynki czy instytucje. Przykładem może być tu świetny opis roli dworca, teatru i szkoły dla kształtowania nowoczesnego obrazu i roli miasta – wychodzącego już daleko poza realizację podstawowych ludzkich potrzeb. Warto wskazać, że autor nie ogranicza się do prostego opisu rozwoju polskich obszarów miejskich, ale porównuje je z innymi znajdującymi się w Europie Środkowo-Wschodniej. Znakomicie opisał m.in. znaczenie najbardziej chyba znanej węgierskiej ulicy, czyli Andrássy útca – głównej arterii Budapesztu o ogromnym historycznym znaczeniu. Nie brakuje analogicznych odwołań do miast w Czechach, na Słowacji czy w Niemczech. Z pełnym przekonaniem jego książkę polecam zarówno zawodowym historykom, jak i politologom (szczególnie w zakresie konstruowania atrakcyjnej narracji) oraz każdemu, kto chciałby poszerzyć swoje intelektualne horyzonty.

Rafał Ziemkiewicz, „Strollowana rewolucja", Lublin–Warszawa 2021, Fabryka Słów



Rafał Ziemkiewicz od niemal 30 lat należy do ścisłego grona najlepszych komentatorów polskiego życia publicznego. Dał się poznać szczególnie jako doskonały publicysta wykpiwający absurdy lewicowej poprawności politycznej. Zdarzają mu się jednak udane wyprawy na pole historyczne. Wśród tego typu publikacji można wymienić: „Myśli nowoczesnego endeka" czy „Chama niezbuntowanego". W moim przekonaniu najciekawsze i najcenniejsze są te jego książki, w których stara się przedstawić diagnozę szerszych zjawisk cywilizacyjnych i społecznych. Rewelacyjna była pod tym względem „Michnikowszczyzna", w której Ziemkiewicz dokładnie opisał, jak „Gazeta Wyborcza" zdobyła rząd nie tylko inteligenckich dusz. Jeszcze ciekawsza wydaje mi się „Strollowana rewolucja", gdyż w tej publikacji autor wychodzi z polskiego podwórka i opisuje, jak wygląda obecnie stan cywilizacji zachodniej. Jest to błyskotliwa i całościowa opowieść, głęboko osadzona w historii, nie tylko o upadku Zachodu (bo o tym już wielu pisało), lecz także o najgłębszych przyczynach tego zjawiska. Jedną z najważniejszych z nich jest klęska intelektualna elit, które przestały się rozwijać, ale zaczęły też uważać, że jedynym możliwym spojrzeniem na świat jest lewacka ideologia (przyjmowana jako aksjomat). Oprócz diagnozy otrzymujemy również porady, jak bronić się przed niszczeniem świata, jaki znamy i cenimy. Dla mnie to bez wątpienia jedna z najlepszych książek Ziemkiewicza.

REKLAMA



9/0221/F

eprasa.pl 287b547067

Imigracja po namyśle



MAREK JUREK

Ojciec tomistycznej szkoły z Salamanki, Francisco de Vittoria OP, uważał, że teologia powołana jest do wyjaśniania najważniejszych zagadnień moralnych i społecznych.

Dzięki temu założeniu jego myśl mogła nie tylko współkształtować rozkwit cywilizacji katolickiej w czasach hiszpańskiego Złotego Wieku, ale legła u podstaw późniejszej refleksji nad prawem międzynarodowym, prawami narodów i prawami ludzi. Choć Filip II wydał swe słynne ordonanse 30 lat po śmierci ojca Vittorii, to właśnie myśl uczonego z Salamanki położyła fundament pod ten pomnik katolickiego humanizmu.

W tej tradycji intelektualnej sytuuje się wydana przed 14 laty mała praca ks. Grégoire'a Celier „Un regard chrétien sur l'immigration" („Chrześcijańskie spojrzenie na imigrację"). Warto do niej sięgnąć, by w świetle zasad, niezależnie od naszych dzisiejszych napięć, spojrzeć na problem, który stał się dziś kluczowym wyzwaniem dla bezpieczeństwa narodowego i jedną z najważniejszych kwestii społecznych.

Prawda czy fundamentalizm?

„W pierwszym odruchu – pisze ksiądz Celier – trudno podważyć obiegowe idee, uwolnić się od konformizmu (zbyt łatwo uznawanego za chrześcijański)". Z pewnością bowiem zdanie „byłem przybyszem, a przyjęliście Mnie" (Mt 25,35) ma kluczowe znaczenie w chrześcijańskim spojrzeniu na imigrację. Jednak fałszywe jest przekonanie (lub sugestia), że „to jedyna ewangeliczna maksyma, którą należy brać pod uwagę w tej kwestii [...], trzeba więc zebrać wszystkie zdania Biblii, a przynajmniej Nowego Testamentu. W tym na przykład: »Nie idźcie do pogan i nie wstępujcie do żadnego miasta samarytańskiego! Idźcie raczej do owiec, które poginęły z domu Izraela« (Mt 10,5-6). Albo jeszcze to: »Jestem posłany tylko do owiec, które poginęły z domu Izraela« (Mt 15,24)". Właśnie takiej teologicznej analizie poświęcona jest ta praca.

„Kwestia imigracji – pisze autor „Un regard chrétien sur l'immigration" – bardziej niż relacji między jednostkami dotyczy dobra wspólnego", najważniejszego odniesienia miłości bliźniego w porządku politycznym. Dobro wspólne wskazuje sprawiedliwość i – jak długo może – chroni pokój w konfliktach, godzi zwaśnionych i przeciwstawia się sile lub bezczelności jako kryterium rozstrzygania sporów, bierze pod uwagę zróżnicowane prawa wszystkich i myśli o wszystkich, liczy się z ubocznymi i niezamierzonymi skutkami naszych działań, nakłania do stałego myślenia o tych, za których odpowiadamy, ale i do zwrócenia uwagi na tych, których chwilowo spotykamy. Dobro wspólne to nie wypadkowa wymuszanych interesów, lecz sprawiedliwość należna narodowi od ludzi i narodu wobec ludzi.



Dlatego właśnie – jak uczyli Arystoteles i św. Tomasz – dobro wspólne jest wyższe i „bardziej boskie" od dobra jednostki, a szczególnie od jednostkowych czy partykularnych roszczeń. Zapoznanie tej kategorii to początek wszystkich błędów w kwestii imigracji.

Własne państwo

Jako kwestia dobra wspólnego zagadnienie imigracji wiąże się z szeroką gamą problemów, takich jak własność, prawa osób, obowiązki patriotyczne, władza państwa. Autor przypomina dwie zasady kluczowe dla sprawy: powszechne przeznaczenie dóbr Ziemi, stworzonej przez Boga dla całej ludzkości, oraz istnienie państw i własności jako form regulujących używanie tych dóbr. Własność jest również dobrem społecznym, gdyż gwarantuje pokój, zasady współżycia ludzi, odpowiedzialność ekonomiczną, troskę o rzeczy. „Stan wyższej konieczności pozwala podważyć ten porządek, jednak teolodzy zwracają uwagę, że naruszyć pożytki z niego płynące (dla pokoju i społeczeństwa) można tylko w stanie najwyższej konieczności, czyli zagrożenia życia". Krótko mówiąc, gdy chodzi o imigrację – poprawa życia może być uprawnionym pragnieniem ludzi, ale pragnienie to nie upoważnia do naruszania praw innych. Imigracja ekonomiczna jest możliwa w granicach prawa i możliwości państwa przyjmującego. Ale jeśli imigranci z Bliskiego Wschodu awanturują się i skarżą, że w polskich ośrodkach dla uchodźców, urządzonych na terenie zwolnionych koszar, mają gorsze warunki niż w kraju, który opuścili – to najlepszy dowód, że nie zachodziły przynajmniej ekonomiczne powody, by należało im prawa pobytu udzielać.

Oczywiście o możliwość emigracji ekonomicznej czy politycznej można się ubiegać. Już 1 sierpnia 1952 r., niedługo po II wojnie światowej, Pius XII zaapelo-

FOT. MON/WOT x2; SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 287b547067

wał o międzynarodowe regulacje w tych kwestiach. Ale sprawy te muszą być regulowane przez prawo. Od Piusa XII po Katechizm Jana Pawła II Kościół powtarza, że imigranci mają obowiązek szacunku i solidarności wobec krajów osiedlenia. Pius XII mówił wręcz, że „powinni mieć świadomość tego, co zawdzięczają przyjmującym ich narodom".

Zasadę tę należy brać praktycznie, jako podstawę podejmowania konkretnych decyzji, a nie jako niezobowiązujący postulat. Polityka imigracyjna musi być wyrazem solidarności, ale musi rozważać spójność społeczną między przybyszami a przyjmującymi. Na tym właśnie polega dziś problem imigracji islamskiej, często nieakceptującej dziedzictwa europejskiego, a niekiedy w ogóle społeczeństwa, w którym chce żyć.

„Mamy język wywodzący się z łaciny" – pisze Grégoire Celier – więc „możemy preferować imigrację z krajów romańskich, z Hiszpanii i Włoch (która zresztą stanowiła sporą część francuskiej społeczności w Algierii). [...] Ale poza dziedzictwem kulturalnym jest jeszcze głębsza treść tożsamości francuskiej, którą naród musi chronić za wszelką cenę: nasze korzenie katolickie. [...] Mamy prawo dążyć do tego, by je zachować, również poprzez politykę imigracyjną, dając pierwszeństwo osobom przyjeżdżającym z krajów katolickich, takich jak Irlandia, Polska, Portugalia, Quebec".

GDY CHODZI O IMIGRACJĘ – POPRAWA ŻYCIA MOŻE BYĆ UPRAWNIONYM PRAGNIENIEM LUDZI, ALE PRAGNIENIE TO NIE UPOWAŻNIA DO NARUSZANIA PRAW INNYCH

Przypadek przemocy

Wszystko to odnosi się do normalnych, pokojowych przemieszczeń i do zwykłej polityki imigracyjnej, kiedy to państwo decyduje o możliwościach osiedlenia się na jego terytorium. Ale nie do imigracji nielegalnej, lekceważenia prawa, przemocy, zagrożenia terroryzmu.

Ksiądz Celier przypomina czasy Wielkiej Wędrówki Ludów, która doprowadziła do zniszczenia Imperium Rzymskiego. Napór Hunów uruchomił kolejne fale migracji ze wschodu na zachód. Sprawiał, że poddane naciskowi ludy „z pewnością były w stanie wyższej konieczności", cofając się przed realnym zagrożeniem. „Nikt jednak nigdy nie zaprzeczał, że rzymska armia miała prawo przeszkadzać im, by najechali Imperium". Istnieje bowiem niezaprzeczalne prawo narodu do obrony przed najazdem.

Tutaj realistyczna analiza „Un regard chrétien sur l'immigration" sięga po świadectwa mężów stanu. We francuskiej debacie publicznej takie argumenty ciągle się liczą. Prezydent François Mitterrand wyznał w 1989 r., że we Francji imigracyjny „próg tolerancji został przekroczony już w latach 1970". A dwa lata później jego poprzednik, Valéry Giscard d'Estaing, korzystając z wolności byłego prezydenta, wprost stwierdził: „Stoimy już nie wobec imigracji, ale inwazji". W tej sytuacji – konkluduje Grégoire Celier – to Francja znalazła się w stanie najwyższej konieczności.

Otwarta przyszłość

W całej analizie Grégoire Celier stawia obok siebie obowiązek właściwego podejścia do cudzoziemców we własnym kraju, który musi być po ludzku życzliwy i oparty na prawie (oczywiście nienaruszającym szczególnych praw należnych obywatelom) z potrzebą właściwej polityki imigracyjnej, której częścią jest decydowanie, czy i jakich imigrantów ekonomicznych oraz politycznych dany kraj przyjmuje.

Polityka jednak zawsze istnieje w społeczeństwie i jest refleksem wzlotów i upadków kultury. „Trzeba mieć świadomość, że jeśli bogaty kraj, taki jak Francja, odrzuca dzieci – będzie mieć imigrację". Nie kończy jednak na tej prostej maksymie. Francja bowiem nie przełamie kryzysu demograficznego, nie odbuduje autorytetu państwa, nie będzie miała zdolności przekazywania własnej kultury, jeśli jej nie przyjmie na nowo. Jeśli nie skończy z trwającą niemal nieprzerwanie od prawie półtora wieku, od ukonstytuowania Trzeciej Republiki, polityką antykatolicką. Tu jest klucz sprawiedliwości, solidarności i odpowiedzialności.





Migranci z Bliskiego Wschodu na granicy Polski i Białorusi, jesień 2021 r.

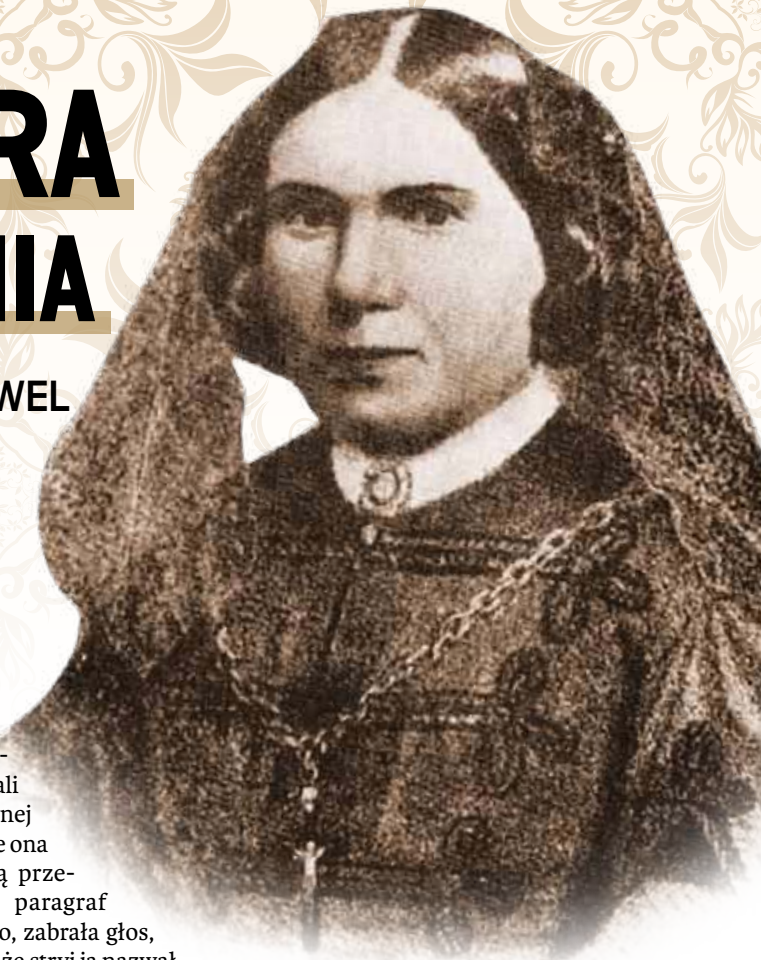
eprasa.pl 287b547067

KOBIETA PIÓRA I DWA POWSTANIA

O JEJ POEMACIE „DRUŻBACKA" LELEWEL POWIEDZIAŁ: „UROK WIERSZA MIĘ PRZEJĄŁ I SŁODYCZĄ NAPOIŁ, W STRAPIENIACH ŻYWOTA POCIECHĄ SIĘ STAŁ"



JOANNA PUCHALSKA



Seweryna Pruszakowa w czasie powstania styczniowego

W latach 1848 i 1849 w „Albumie Literackim" Kazimierza W. Wóycickiego ukazały się trzy krótkie powieści: „Ojciec Salezy", „Fantazya" i „Dwie niewiasty", podpisane przez Sewerynę Ż. Debiutującą autorką była Seweryna z Żochowskich Pruszakowa, która w roku 1847 opuściła na dobre swego ślubnego małżonka, Tomasza Pruszaka, ziemianina z Wielkopolski, i przyjechała do Warszawy, by wkrótce zacząć karierę literacką i ostatecznie wypracować dorobek liczący ok. 70 książek oraz broszur plus artykuły i korespondencje w czasopismach.

Dobrze zapowiadająca się dziewczynka

Czytać i pisać nauczyła się w wieku sześciu lat. Lubiła książki i czytała wszystko, co wpadło w ręce, z księgozbioru stryja, który został jej opiekunem po śmierci ojca. A więc Biblię Wujka, „Kazania" Skargi, poezje Mickiewicza, „Pielgrzyma z Dobromilu" i rozliczne powieści. Raz matka przyłapała ją nad Wolterem. Prawie dostała spazmów i nafukała na szwagra, że takie rzeczy trzyma w domu. Dziewczynka, przysłuchując się awanturze, zastanawiała się, co też tam takiego jest, że jej tak bardzo zakazują. Kiedy miała dziewięć lat, przy obiedzie dorośli dyskutowali na temat kwestii prawnej dotyczącej spadku. A że ona akurat przed godziną przeczytała odpowiedni paragraf z kodeksu prawniczego, zabrała głos, i to na tyle sensownie, że stryj ją nazwał „wszystkowiedzem".

Oddano ją na znaną pensję Zuzanny Wilczyńskiej, gdzie uczyli najlepsi pedagodzy, a jedną z jej koleżanek była Narcyza Żmichowska. Przyjęto ją od razu do klasy drugiej. Z początku uczyła się tylko tego, czego sama chciała, a więc głównie przyrody. Pod koniec roku szybko nadrobiła zaległości i do klasy trzeciej przeszła z nagrodą. Otrzymała ją podczas tzw. popisu uczennic z rąk wizytatorki szkół żeńskich Klementyny z Tańskich Hoffmanowej w obecności m.in. Samuela Bogumiła Lindego, tak, tego od słownika, i Krystyna Lacha-Szyrmy.

Warszawa listopadowa

Pierwsze dni powstania listopadowego 14-latka spędziła w Warszawie. Widziała pożary, strzelaniny na ulicach, rannych i zabitych. Z ogarniętej rozruchami stolicy zabrał ją i wywiózł do matki wuj, który przyjechał po nią z piękną biało-amarantową kokardą na czapce. W najbliższym czasie książki i kajety poszły na półkę. Seweryna napisze później w „Pamiętniku": „W ciągu tych dziesięciu miesięcy [...] przebyłam wielką szkołę. Nauczyłam się kochać Polskę, żyć dla niej, cierpieć dla niej, wierzyć w jej przyszłą niepodległość, jak wierzyli ci wszyscy, których miłość ojczyzny pchnęła na pole krwawych zapasów, na lodowiska Sybiru i na puste ścieżki wygnania. Rok ten, powtarzam, nie był dla mnie stracony!".

Udany debiut

Za pióro, którym biegle władała przez wiele następnych lat, chwyciła w roku 1847. Mieszkała już wtedy w Warszawie i brała lekcje literatury u samego Kazimierza W. Wóycickiego, redaktora naczelnego „Biblioteki Warszawskiej". Zachęcił ją do pisania i poprawiał pierwsze teksty. U niego poznała tak wybitne osoby jak Józef Ignacy Kraszewski, Julian Bartoszewicz, Teofil Lenartowicz, Włodzimierz Wolski, Józef Korzeniowski. To środowisko warszawskich intelektualistów wykreowało jedną z bardziej płodnych polskich pisarek, parającą się także publicystyką i tłumaczeniami.

Pisała poematy, wiersze, powieści i opowiadania. Interesowała się historią

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA 3X; SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 287b547067

i etnografią. W latach 1856–1863 wydała 15 tomów „Rozrywek dla młodocianego wieku", gdzie jest wiele informacji o życiu i obyczajach mieszkańców różnych stron Polski, a wszystko to przeplata zbiór przysłów i pieśni. Sam Lelewel pochwalił jej poemat „Drużbacka", wydany w 1855 r. jako wyraz hołdu dla „znakomitej poprzedniczki w pieśni". Ceniony krytyk literacki Fryderyk Lewestam napisał, że dzieła pani Pruszakowej „odznaczają się pięknością formy i harmonią najwznioślejszych myśli". Wóycicki wyżej cenił jej poemat „Klonowic" niż słynny „Zgon Acerna" Syrokomli.

W 1851 r. Komitet Towarzystwa Rolniczego w Warszawie ofiarował jej w uznaniu zasług zbiór pięknie oprawionych jej dzieł z dedykacją, w której nazwano autorkę jednym z najzasłużeńszych autorów polskiej literatury.

Okazała się też niestrudzoną tłumaczką – z francuskiego, angielskiego, hiszpańskiego i niemieckiego – i popularyzatorką literatur obcych. W 1856 r. przetłumaczyła słynne w owym czasie dzieło Fryderyka Gustawa Eichhoffa „Obraz literatury średniowiekowych ludów, a mianowicie Słowian i Niemców". Dzięki niej polski czytelnik miał możność poznać fiński rapsod rycerski „Kalevala", a w 1863 r. wydała tłumaczenie „Dziejów Węgier" Jana Boldényiego, uzupełniając je dodatkami ze źródeł angielskich i francuskich.



Seweryna Pruszakowa popularyzowała historię, a także pisała libretta do oper

Warszawa na Piątki

Nadszedł rok 1861 i rozpoczęły się manifestacje, w których Seweryna Pruszakowa brała udział. Gdy wybuchło powstanie, nasza literatka włączyła się w ten zew wolności, zakładając pierwszą z tzw. Piątek, które z czasem rozwinęły się w całą sieć. Było to tajne kobiece stowarzyszenie. Panie płaciły składki i z innych źródeł pozyskiwały fundusze, które szły na pomoc dla uwięzionych oraz ich rodzin. Organizowano opiekę prawną, załatwiano widzenia, zaopatrywano zsyłanych na Sybir w odzież i pieniądze. Osobom zagrożonym aresztowaniem dostarczane były lewe dokumenty, załatwiano im mieszkania i przejazdy, udzielano wsparcia materialnego. Kierowniczki poszczególnych Piątek oddawały zebrane środki trzem paniom kontaktującym się raz na tydzień z komisarzem Rządu Narodowego i odbierającym od niego spisy rodzin zakwalifikowanych do udzielenia pomocy. Jedną z tych trzech kobiet była Seweryna Pruszakowa. U niej odbywały się konspiracyjne posiedzenia, ona dysponowała spisem wszystkich potrzebujących. Sama też kołatała o pieniądze, gdzie tylko się dało, organizowała szycie koszul i bielizny dla powstańców. Pisanie poszło w kąt, bo praca to była ogromna. W lipcu 1863 r. w Warszawie było tyle głównych Piątek, ile okręgów, czyli 26. Każda okręgowa Piątka miała pod sobą pięć Piątek, a te znowu tworzyły dalsze ogniwa.

Pożegnanie z Ojczyzną

Życzliwi ostrzegli ją, że powinna wyjechać, bo grozi jej aresztowanie. Wiele ryzykując, opóźniła wyjazd o kilka dni, aby złożyć rachunki i przekazać podopiecznych swoim następczyniom.

„Swój" urzędnik wbił jej do paszportu wizę i przepuścił na granicy. Dostała też drugi paszport – malutki, na świstku, z pieczęcią Rządu Narodowego. „W imieniu Rządu Narodowego Naczelnik powiatu Gostyńskiego udziela niniejszym obywatelce Sewerynie P... pozwolenia na wydalenie się z kraju polskiego na czas nieograniczony, jako skompromitowanej przed Moskwą". Chowała go jak skarb. Był dowodem, że „nie zbiegłam przed czasem z pola".

Emigracja. Franciszek

W 1864 r. znalazła się w Paryżu i tu – jako że pierwszy mąż tymczasem zmarł – poślubiła Franciszka Duchińskiego, historyka i wybitnego etnografa, twórcę teorii o nie słowiańskim, lecz turańskim pochodzeniu Rosjan. Już wcześniej czytała jego dzieła i wysoko je ceniła. U boku męża wróciła do pisania. „Ja pisałam w pokoju moim na pierwszym piętrze, mąż na dole, tuż pod moim pokojem; dało to powód [...] do żartobliwego dwuwiersza: Dobrze się dzieje tam w literaturze, / Gdzie mąż pisze na dole, a żona na górze".

W tym czasie przełożyła i wydała m.in. „Cyda" oraz „Pieśń o Rolandzie" i oba te tłumaczenia, jak to miała w warsztatowym zwyczaju, opatrzyła porządnymi przypisami. Ukazały się w „Bibliotece Warszawskiej", gdzie nadal publikowano jej artykuły, jak ten porównujący sytuację Hiszpanii w XVI w. z sytuacją Polski. Postawiła w nim tezę, że zarówno Hiszpanom, jak i Polakom przypadło w udziale bronić granic Europy. Przetłumaczyła także zbiór pieśni ludowych francuskich na język polski i zaczęła przekład pieśni ludu polskiego na francuski.

Życie na emigracji nie szczędziło trosk, ale przynajmniej dobrze jej było z Franciszkiem. We „Wspomnieniach z 29 cio-letniego pożycia z mężem moim 1864–1893" przytacza napisany dla niego po 25 latach małżeństwa wiersz:

Tyś spojrzał na mnie, dłoń zbiegła się z dłonią,
Usta szepnęły za Bożym rozkazem:
Polska nas woła! A więc idźmy razem!

Szli razem do 1893 r., aż śmierć ich rozłączyła. Seweryna Duchińska zmarła 12 lat później i spoczęła obok męża na polskim cmentarzu Montmorency. Tak popularna za życia, dziś – może niesłusznie – nie jest uważana za wybitną postać w naszej literaturze z tego względu, że pisała za bardzo w duchu epoki, zbyt tradycyjnie, a nie nowatorsko. Nie sposób jednak nie uchylić kapelusza przed jej pracowitością i solidnością warsztatową, bogactwem zainteresowań oraz talentem organizacyjnym – w służbie świętej miłości kochanej Ojczyzny.

eprasa.pl 287b547067

TA LENIWA TARCZYCA

W POLSCE W 2016 r. LICZBĘ LUDZI OTYŁYCH OKREŚLANO NA OK. 25 PROC. SPOŁECZEŃSTWA. W SKALI ŚWIATA PRAWIE 40 PROC. LUDNOŚCI MIAŁO ZDIAGNOZOWANĄ NADWAGĘ



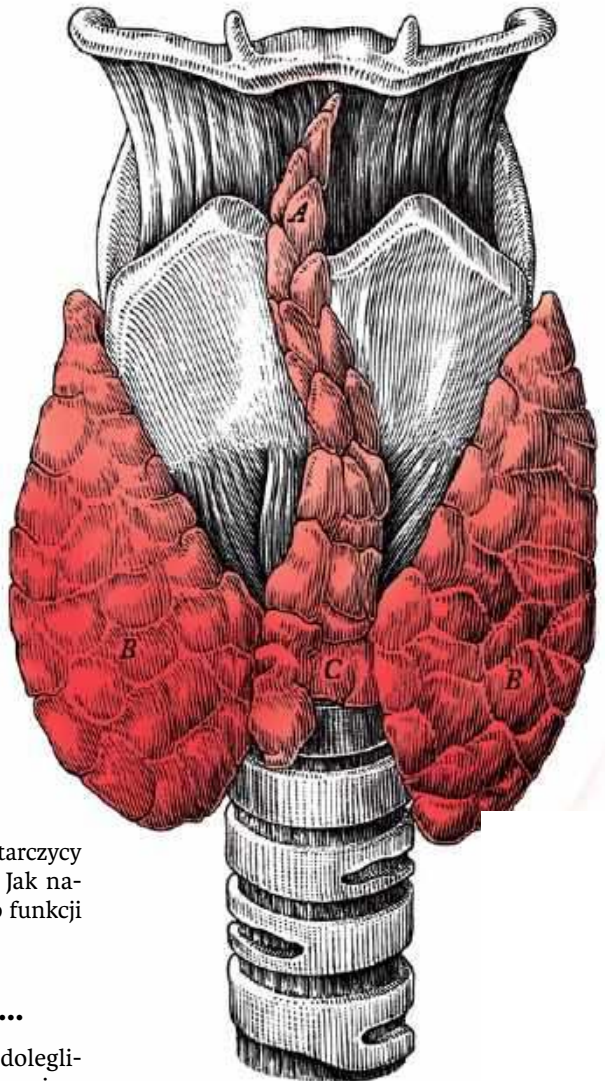
KRZYSZTOF ŻARYN

Otyłość możemy bezsprzecznie uznać za jedną z chorób cywilizacyjnych. Żyjemy w czasach, w których nadmierna masa ciała jest przypadłością powszechną. Idzie za tym konieczność borykania się ze wszelkimi wynikającymi z niej zaburzeniami metabolicznymi. Są to przede wszystkim cukrzyca, nadciśnienie tętnicze czy miażdżyca. Podstawowym sposobem walki z postępującą chorobą jest oczywiście zmiana nawyków żywieniowych. Niestety, mimo że ten rodzaj leczenia przychodzi na myśl jako pierwszy, często pacjenci wymagający dietoterapii zdecydowanie odrzucają taki model interwencji. Zasłoną, która ma usprawiedliwiać brak motywacji i chęci w przestrzeganiu zasad żywieniowych, są bardzo często domniemania genetycznych uwarunkowań do tycia. Sugeruje się, jakoby za nadmierną masę ciała winne były mama, babka i prababka, i nie chodzi tu o babeczkę z lukrem. Jedna jednostka chorobowa rodzi szczególne poczucie rozgrzeszenia. Chodzi tu o dolegliwości związane z gruczołem zwanym tarczycą. Czy naprawdę choroby tarczycy są równoznaczne z otyłością? Jak naukowcy dochodzili do wiedzy o funkcji tego gruczołu?

Już starożytni Egipcjanie...

Żeby opisać genezę poznania dolegliwości związanych z tarczycą, musimy poznać historię endokrynologii. Jest to nauka związana z wydzielaniem i funkcjonowaniem hormonów ludzkiego organizmu. O istnieniu gruczołów endokrynnych wiedzieli już starożytni. Mogli je poznać na zasadzie oględzin organoleptycznych poprzez studiowanie anatomii ludzkiego ciała. Możemy znaleźć opisy przysadki mózgowej, szyszynki czy właśnie tarczycy. Starożytni nie wiedzieli jednak jeszcze, do czego poszczególne organy mogły służyć. Co ciekawe, zanim poznano funkcję wydzielnicze opisanych gruczołów, znano już dolegliwości związane z nieprawidłowościami ich funkcjonowania. W czasach starożytnego Egiptu zostały opisane osoby, których mocz był na tyle specyficzny, że ściągał okoliczne mrówki. Osoby te słabo widziały i miały wzmożone pragnienie. Wszystkie te objawy mogą świadczyć o tym, że borykały się one z cukrzycą typu 1. Wyspy trzustkowe produkujące insulinę były jednymi z pierwszych wykrytych komórek endokrynnych. Jednak był to dopiero rok 1869, a dokonał tego niemiecki patolog Paul Langerhans.

EKSTRAKT Z OWCZEJ TARCZYCY BYŁ TAK PASKUDNY, ŻE PRZYJMOWANO GO Z KIELISZKIEM BRANDY I ANCHOIS



Szkic budowy tarczycy według wiedzy medycznej z XIX w.

FOT. SHUTTERSTOCK; WELLCOME LIBRARY, LONDON

Znane skutki, nieznana przyczyna

Narodziny endokrynologii związane są z pracami dwóch naukowców:

eprasa.pl 287b547067

irlandzkiego lekarza Roberta Jamesa Gravesa i niemieckiego medyka Karla von Basedowa. Opisali oni objawy dolegliwości, która dziś nazwana jest nazwiskami odkrywców, mimo że wówczas nieznane było naukowcom pojęcie hormonu. Choroba Gravesa-Basedowa to przypadłość wynikająca z dysfunkcji układu odpornościowego, która powoduje w konsekwencji zwiększenie wydzielania hormonów tarczycy. Jest to choroba w skutkach odwrotna od bardziej znanej niedoczynności tarczycy.

Choć przyjmuje się to za początki powstania endokrynologii, to dużo wcześniej znana była inna choroba związana ze złym funkcjonowaniem tego gruczołu. Dawna jej nazwa – kretynizm – wywodziła się z francuskiego i pochodziła od słowa un cretin, czyli określenia człowieka o słabym umyśle. Dziś jest potocznym i obraźliwym epitetem. Opiekę nad takimi ludźmi sprawowali średniowieczni mnisi. Oprócz upośledzenia oraz wadliwej mowy osoby te cechowało duże zgrubienie w okolicach szyi w postaci masywnego wola. Średniowieczni kapłani zauważyli nawet, że nasilenie tej dolegliwości wśród dzieci następuje w momencie opadania poziomu wody w morzach. Korelacja wtedy jeszcze owiana była dozą tajemniczości. Dziś natomiast już wiemy, że było to spostrzeżenie trafne. Powodem bowiem powstawania tej dolegliwości jest niedobór, występującego w słonych wodach, jodu. To pierwiastek niezbędny do prawidłowego budowania hormonów tarczycy. Gdy brakuje tego składnika, zwiększa się objętość gruczołu i powstaje coś na kształt garbu. Dolegliwość ta często występowała również na ziemiach Rzeczypospolitej do XX w. Dopiero w 1935 r. wprowadzono prawo, które nakazywało dodawanie jodu do soli kuchennej. Z przerwą na czas wojny, zalecenie to przestrzegane jest do dziś. Każda sól sprzedawana w objętości poniżej 1 kg musi być wzbogacana w ten składnik.

Polscy odkrywcy

Żeby dojść do znajomości budowy poszczególnych hormonów, trzeba było wiedzieć, że taki twór w ogóle istnieje. Do odkrycia pierwszego hormonu bardzo mocno przysłużyło się dokonanie dwóch polskich fizjologów: Napoleona Cybulskiego i Władysława Szymonowicza. W 1895 r. zaobserwowali oni, że zwierzę, któremu usunięto obustronnie nadnercza, wykazywało mniejsze wartości ciśnienia krwi. Gdy później podawano mu wyciąg z rdzenia nadnerczy, poziom wartości ciśnienia się podnosił. U zwierząt, które posiadały nadnercza, a podawano im ten wyizolowany płyn, ciśnienie podnosiło się powyżej normy. Naukowcy wyciągnęli wnioski, że znajduje się w tej wydzielinie substancja aktywna występująca również we krwi i ma ona wpływ na cały organizm. Nazwali ją nadnerczyną. Temat dalej pociągnął japoński naukowiec Jokichi Takamine, który w 1901 r. odkrył i opisał adrenalinę.

Kuba Rozpruwacz?

To odkrycie spowodowało lawinowe rozpoznawanie kolejnych substancji endokrynnych. Edward Kendell, amerykański naukowiec, opisał hormon tarczycowy, tyroksynę w 1914 r. Za model badawczy posłużyła mu świńska tarczyca. Jednak schorzenie, które rozpoczęło nasze rozważania, o dziwo rozpoznane zostało i opisane, zanim hormony tarczycowe były znane fizjologom. Historia jest może mniej ciekawa od samego autora opisanych hipotez. Był nim sir William Withey Gull, angielski lekarz, który przeprowadzając wiele sekcji ciał młodych kobiet, opisał objawy i dolegliwości związane z gruczołem tarczycowym odpowiadające jednostce chorobowej zwanej dziś niedoczynnością tarczycy. Naukowiec na pewno przyczynił się do pogłębienia wiedzy w dziedzinie endokrynologii. Jednak dużą niepewnością i dozą grozy owiane są domysły, skąd lekarz werbował obiekty do swych badań. Istnieje teoria, jakoby William Withey Gull miał być słynnym Kubą Rozpruwaczem. Śledztwo w jego sprawie rozpoczęło się jednak już kilkadziesiąt lat po jego śmierci i nie przyniosło rozstrzygnięcia.



Robert James Graves

Katorgi terapeutyczne i tycie

Prawidłowe leczenie tarczycy i stanu jej niedoczynności nastąpiło dopiero w drugiej połowie XX w., kiedy odkryto drugi hormon – trójjodotyroninę. Do tego momentu leczenie niedoczynności tarczycy było istną katorgą dla pacjenta. Wcześniejszy lek został opracowany przez lekarza George'a Murreya. Tym specyfikiem był ekstrakt z owczej tarczycy, który był tak paskudny, że przyjmowano go z kieliszkiem brandy i anchois. Jego terapia z początku była mocno krytykowana przez medyków, nazywających go organoterapeutą. Jednak długo była to jedyna skuteczna metoda, która ratowała życie wielu młodym kobietom.

Dzisiaj metody leczenia niedoczynności tarczycy są już dużo bardziej zaawansowane. Nie zmienia to jednak tego, że są trudne. Mimo że mamy już leki w postaci hormonów tarczycy, to dużym wyzwaniem dla lekarza jest ich prawidłowy dobór. Jeżeli chodzi o wątpliwości, czy stan niedoczynności tarczycy jest przyczyną większej tendencji do tycia, to odpowiedź brzmi – tak. W momencie niewyrównanej niedoczynności tarczycy możemy szybciej przybierać na wadze. Hormony tarczycy regulują bowiem rytm pracy całego organizmu: od układu krążenia po układ pokarmowy. Jeżeli mamy za małą ilość tych substancji, to nasz organizm – mówiąc wprost – spowalnia. Jeżeli działa w sposób spowolniony, to siłą rzeczy wydatkuje mniej energii, przez co możemy łatwiej łapać zbędne kilogramy. Jednak gdy leczenie przebiega prawidłowo i dawka leku jest dobrana adekwatnie do stanu naszej tarczycy, to organizm ma taki sam poziom hormonów jak u zdrowego człowieka. Wtedy dolegliwość ta nie jest już wymówką, jeżeli chodzi o nadmierną masę ciała.

eprasa.pl 287b547067

PRODUKT POLSKI,
CZYLI ARMATA PRZECIWLOTNICZA KAL. 75 MM WZ. 36



ARMATY PRZECIWLOTNICZE WZ. 36 BYŁY JEDNYM ZE SZCZYTOWYCH OSIĄGNIĘĆ PRZEMYSŁU ZBROJENIOWEGO II RP



KACPER GROCHOCKI

Okres I wojny światowej spowodował dynamiczny rozwój artylerii przeciwlotniczej. Możliwość obrony przed wrogimi samolotami stała się koniecznością dla każdej armii. Dalszy postęp w lotnictwie w latach 20. i 30. XX w. sprawił, że samoloty przestały być zagrożeniem tylko w strefie frontowej, lecz były w stanie atakować cele położone głębiej na terytorium przeciwnika. Jednocześnie nowe konstrukcje okazały się szybsze, wytrzymalsze i mogły operować na wyższym pułapie niż aeroplany z czasu I wojny światowej. Wszystko to powodowało, iż również w zakresie artylerii przeciwlotniczej trzeba było utrzymywać odpowiednie tempo rozwoju.

W niepodległej Polsce organizację jednostek przeciwlotniczych rozpoczęto na bazie oddziałów wywodzących się z Błękitnej Armii gen. Hallera. Ich wyposażenie stanowił sprzęt francuski oraz zlepek dział „odziedziczonych" po zaborcach. Ich niewielka liczba i starzejące się konstrukcje z czasem spowodowały poszukiwanie nowych rozwiązań już od 1928 r. Jednak to armaty francuskie aż do drugiej połowy lat 30. stanowiły podstawowe uzbrojenie polskiej obrony przeciwlotniczej.

Najszybszym i najłatwiejszym wyborem był zakup gotowego sprzętu za granicą, z ewentualną późniejszą jego licencyjną produkcją. Pierwszy wybór padł na amerykańską firmę Driggs i działo kal. 75 mm wz. 25. Rozmów trwających do 1931 r. nie udało się sfinalizować. W tym samym roku odrzucona została również propozycja francuskiej firmy Schneider, a także obejrzano prezentację armaty kal. 75 mm z brytyjskich zakładów Vickers. W 1932 r. polska delegacja uczestniczyła w pokazie szwedzkiego działa firmy Bofors. Następnie, już w roku 1935, ponownie zapoznano się z nowymi konstrukcjami firm Schneider, Vickers i Bofors. Podjęto negocjacje z firmą francuską, lecz w 1936 r. zakończono je ze względu na decyzję o produkcji rodzimych armat przeciwlotniczych. Wszystkie przeprowadzone konsultacje, oględziny, wyjazdy i rozmowy, choć ostatecznie niezwieńczone zakupem nowego uzbrojenia, pozwoliły jednak na zdobycie bezcennej wiedzy.

Prace nad własnym działem przeciwlotniczym średniego kalibru zostały zlecone Starachowickim Zakładom Górniczym w październiku 1933 r. W ciągu następnego roku przeprowadzano konsultacje i precyzowano wymagania dotyczące nowej konstrukcji, a w listopadzie zamówiono prototypy. Od października następnego roku były one poddawane próbom poligonowym. Choć wykazano niemało usterek, projektu nie przekreślono, a wady miały zostać usunięte do listopada 1936 r. Mimo wciąż trwających poprawek już w lipcu 1936 r. zamówiono pierwszą partię 16 armat. W grudniu 1937 r. nowe działa zostały przyjęte do uzbrojenia Wojska Polskiego jako armata przeciwlotnicza wz. 36 (wersja na podwoziu dwuosiowym) oraz wz. 37 (wersja półstała, na podwoziu jednoosiowym).

Armata wz. 36 była działem przeciwlotniczym kal. 75 mm. Ważyła blisko 4,5 t, a obsługa liczyła 12 osób (w tym dwóch kierowców ciągników niezbędnych do transportu konstrukcji). Masa pocisku z zapalnikiem wynosiła ok. 6,5 kg, a jego prędkość początkowa – 800 m/s. Donośność pionowa armaty liczyła 9,5 tys. m, maksymalna – 14,5 tys. m. Do wybuchu wojny wyprodukowano 52 nowe działa.

Choć nie tak rozpoznawalna jak bombowce PZL-37 Łoś, armata wz. 36 jest jednym z symboli wysokiej jakości kadr inżynierskich i – mimo wszystkich jego ograniczeń, możliwości przemysłu II RP. Był to sprzęt nieustępujący pod względem parametrów i jakości podobnym konstrukcjom najlepszych firm zbrojeniowych Europy. W czasie kampanii wrześniowej dywizjony uzbrojone w armaty wz. 36 i wz. 37 zestrzeliły blisko 50 nieprzyjacielskich samolotów. Do dziś przetrwał tylko jeden prototypowy egzemplarz działa, który znajduje się w zasobach petersburskiego Muzeum Artylerii, Wojsk Inżynieryjnych i Łączności.

FOT. NAC

eprasa.pl 287b547067

Jesień narodów naszej Europy



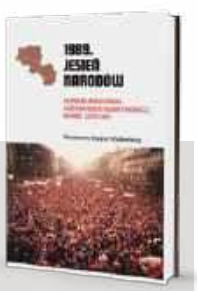
MICHAŁ KARPOWICZ

Prezentowana tu książka jest bodaj pierwszą pozycją wyraźnie dotyczącą historii najnowszej, którą wydawnictwo zdecydowało się umieścić w prestiżowej przecież serii „Rodowody cywilizacji", popularnie zwanej „ceramowską".

Na pewno wydarzenia roku 1989 w naszej części Europy miały znaczenie przełomowe i nie będzie przesadą stwierdzić, że data ta wyznacza istotny przełom w cywilizacyjnym rozwoju naszego kontynentu. Jest to też data symbolicznie oznaczająca zwycięstwo cywilizacji łacińskiej nad sowieckim barbarzyństwem wiodącym swe korzenie od Marksa. Autorzy książki skromniej uznają ten moment za prawdziwe zakończenie wieku XX, jak rok 1918 kończył wiek XIX.

I mimo trzech współautorów śmiało można powiedzieć o książce, że jest to synteza wiedzy i opinii na temat prezentowanych tam zjawisk społecznych, które wstrząsnęły porządkiem pojałtańskim. Synteza, zarówno jeśli chodzi o pokazanie przyczyn i skutków, ale też książka jednolita w materii wykładu i języka, co na pewno nie było łatwe przy różnych przecież temperamentach badawczych i literackich autorów. Blisko 700-stronicową pozycję czyta się łatwo, też ze względu na klarowność wykładu. Warto to podkreślić, pamiętając, jak złożoną i różnorodną materię historyczną przyszło autorom prezentować. Bo przecież w każdym z sześciu opisanych krajów zjawiska związane z pozbyciem się komunizmu przebiegały inaczej. Każdy z tych krajów miał swoją specyficzną drogę do wolności. A jednak udało się, pokazując i podkreślając różnice, znaleźć i wyeksponować elementy wspólne zarówno w przebiegu zdarzeń, jak i koncepcjach urządzania przyszłej wolności. Powstał spójny i jednolity obraz oddający dobrze specyfikę środkowo-wschodniej Europy. Ten obraz pozwala wiele zrozumieć z dzisiejszych meandrów polityki europejskiej i to na pewno jedna z kolejnych zalet książki.

Na koniec warto dodać, że autorzy oparli swoją syntezę na bardzo szerokiej bazie materiałów pochodzących i z opisywanych państw, i prezentujących zachodnią perspektywę patrzenia na rok 1989. Książka ta niewątpliwie długo pełnić będzie funkcję podstawowego źródła informacji o przełomie w Europie przed 30 ponad już laty.



Adam Burakowski, Aleksander Gubrynowicz, Paweł Ukielski, 1989. Jesień narodów, PIW 2021

Za drzwiami



GABRIELA SIEROCIŃSKA-DEC

Tajemnicze miejsca, ukryte drzwi, magiczne przedmioty, postaci pojawiające się znienacka to częste motywy występujące w baśniach czy opowieściach fantastycznych. Tymczasem w książce Katarzyny Ryrych „Bombka babci Zilbersztajn" pojawiają się one w zupełnie innym kontekście. Wbrew temu, co sugeruje tytuł – nie jest to świąteczna, pełna ciepła rodzinna historia.

Akcja powieści dzieje się w jednej z warszawskich kamienic, gdzie mieszka rodzina głównej bohaterki – ośmioletniej Niny. Dziewczynka czuje się samotna, w okolicy nie ma rówieśników, a ze starszym bratem nie dogaduje się najlepiej. Mama spodziewa się dziecka i tuż przed świętami trafia do szpitala. Na dodatek Nina choruje i siedzi samotnie w swoim pokoju. Zajęty pracą tata prosi o pomoc sąsiadkę z góry – babcię Zilbersztajn. Starsza pani otacza opieką Ninę, gotuje jej obiady, przygotowuje domowy syrop i sporo z nią rozmawia.

Pewnego dnia Nina dostaje od niej przepięknie dekorowaną bombkę, która zostaje zawieszona na domowej choince. I wtedy też dziewczynka odkrywa równoległy świat, tuż za drzwiami swojej szafy. Niestety nie trafia do magicznej Narnii, nie spotyka fauna, tylko swoją rówieśniczkę. Ale ta nie chce się z nią bawić, wydaje się przestraszona, prosi Ninę, by była cicho i ciągle pyta o jedzenie. Dziewczynka z szafy najbardziej boi się tajemniczych osób, o których mówi „Oni".

W ten sposób Nina poznaje rzeczywistość – za szafą bowiem jest świat ogarnięty wojną. A w meblu schronienie znalazła żydowska dziewczynka. W związku z tym, że Maria (to dobre imię) mówi cały czas o tym, że trzeba przestrzegać reguł i zasad, Ninie wydaje się, że wszystko jest grą lub niesamowitą przygodą. Gdy jednak oba światy zaczynają się przenikać i mieszać, robi się trochę niebezpiecznie. Interesującym zabiegiem jest wykorzystanie w tytułach rozdziałów i samym tekście, wpisujących się w realia wojenne, wyliczanek. Można je traktować dwojako – jako nawiązanie do gry, którą podejmuje Nina, lub jako metaforę losowości życia. Co ma oczywiście dodatkowe znaczenie w kontekście Zagłady. Kim tak naprawdę jest babcia Zilbersztajn? Czy ma coś wspólnego z dziewczynką z szafy?

Nie jest to lekka ani przyjemna lektura, ale na pewno jest dobrym punktem wyjścia do rozmowy z dzieckiem o Zagładzie i o losach Żydów. Czarno-białe, symboliczne ilustracje Anny Rudki potęgują poczucie lęku i niepewności.



Katarzyna Ryrych, „Bombka babci Zilbersztajn", Ilustracje Anna Rudka, Wydawnictwo Ezop 2018, Wiek 12+

eprasa.pl 287b547067



Fotograf Andrzej Wiktor w akcji

Na tle okupowanej przez Niemców Europy Polskie Państwo Podziemne było prawdziwym fenomenem. W skrajnie trudnych warunkach udało się stworzyć strukturę państwową z wieloma instytucjami, armią oraz sądownictwem. Warto przypomnieć, że do Armii Krajowej należało prawie pół miliona ludzi. Wykonywaniem wyroków śmierci wydanych przez Polskie Państwo Podziemne zajmowali się oddelegowani do tych zadań żołnierze AK. Egzekutorzy z zimną krwią likwidowali niemieckich urzędników i wojskowych najwyższej rangi, katów z Gestapo, donosicieli, zdrajców, szmalcowników. Nierzadko na ich celowniku pojawiali się pospolici przestępcy, odpowiedzialni za napady, kradzieże i rozboje. Konsekwencja i skuteczność AK w karaniu tych, którzy na to zasłużyli, przywracały wiarę Polakom, że polskie państwo działa.

Na sesji było zimno i ślisko, brakowało tylko śniegu. Przenikliwy chłód mobilizował, żeby zdjęcia zrobić szybko i sprawnie. Tym bardziej że dwójka z „ruchu oporu" nie była na taką aurę odpowiednio ubrana. Dlatego, gdy tylko następowała przerwa w zdjęciach, Klaudyna, nasza niezastąpiona charakteryzatorka, narzucała na ramiona Marty Cwujdzińskiej dodatkowy płaszcz, a Staś wskakiwał do samochodu. Nie ukrywam, że ponad rok czekaliśmy na okazję, żeby Marta mogła się pojawić na okładce „wSieci Historii". Dzielna egzekutorka z AK jest magistrem etnologii i antropologii kulturowej UAM, studiowała aktorstwo na Université d'Artois w Arras, obecnie przygotowuje dyplom na Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku. Nie mniej ciekawą osobą jest Stanisław Świerk, który kilka lat temu gościł na kultowej okładce z rannym powstańcem, jest bowiem prawnukiem akowca z Wileńszczyzny, deportowanego do Polski z Litwy. Dziś, idąc do pracy, Świerk wkłada mundur oficera Państwowej Straży Pożarnej.

Major SS Totenkopf, czyli Marcin Chojecki, jest zasłużonym weteranem naszych okładek, a zarazem „czarną" perłą w koronie szwarccharakterów GRF Bemowo. Jak pozostali członkowie grupy ma on na koncie ogromną liczbę epizodów i rólek w filmach o tematyce wojennej i historycznej. Na planie nie mogło zabraknąć charakteryzatorki Klaudyny Pabudzińskiej-Kossek, której działania i pomoc wykraczają poza strefę make-upu.

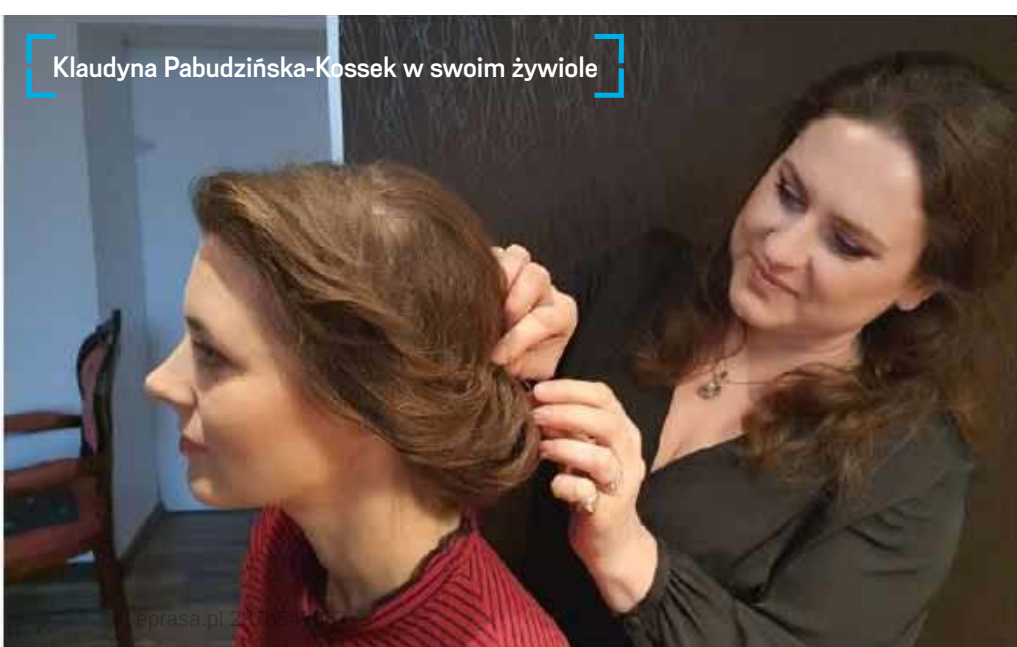
Tradycyjnie w doborze kostiumów pomogli Gosia Retkowska i Michał Kępiński z Agencji artystycznej Retro-Pasje.

Warto tutaj nadmienić, że bordowy beret i torebka mają bardzo osobisty charakter dla bohaterki sesji, są bowiem prezentem od jej babci Jadwigi.

MICHAŁ KORSUN



„Ulubione" wypełnianie umowy

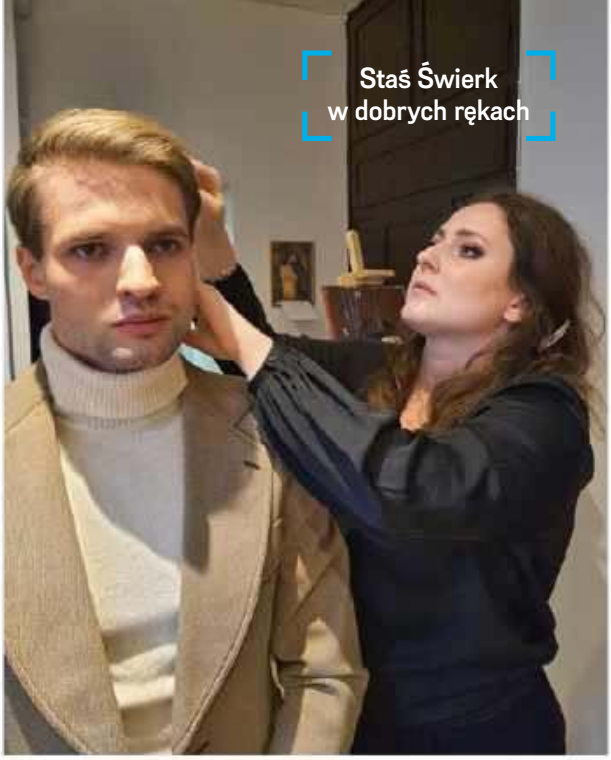


Klaudyna Pabudzińska-Kossek w swoim żywiole

eprasa.pl 2



Wizja okładki


Staś Świerk w dobrych rękach


Było zimno...


Marcin Chojecki, zawsze elegancki


Przymiarki do zamachu


Marta Cwujdzińska i Staś


Wszystkie ręce na pokład

epidemia 2870547067





WIEŻOWE PUNKTY OBSERWACYJNE

WPO na dachu kamienicy Jana Łaskiego, grudzień 1967 r. (zdj. po lewej); Budowa hotelu Grand – z lewej na dachu widoczny Wieżowy Punkt Obserwacyjny, 1956–1957

Rozpoczęta po II wojnie światowej zimna wojna pomiędzy blokiem kapitalistycznym a komunistycznym w każdej chwili mogła się przerodzić w otwarty konflikt zbrojny. Obie strony przygotowywały się do spodziewanego starcia, gromadząc potężne arsenały zarówno konwencjonalne, jak i nuklearne. Prowadzono także działania wywiadowcze i propagandowe oraz przygotowywano ludność cywilną do potencjalnej konfrontacji. Jedną z ważniejszych struktur były Obrona Cywilna i Terenowa Obrona Przeciwlotnicza (TOPL). Istotny jej element tworzyły schrony, budowane zarówno pod blokami mieszkalnymi, jak i budynkami użyteczności publicznej czy zakładami przemysłowymi.

Uzupełnieniem schronów były tzw. Wieżowe Punkty Obserwacyjne (WPO), budowane z reguły na najwyższych gmachach w danej dzielnicy. Stanowiły one element TOPL, a ich głównym zadaniem było ostrzeganie przed zbliżającym się atakiem lotniczym. Zwykle budowano je na planie kwadratu z wąskimi oknami na wszystkich bokach, niekiedy występowały też w formie płaskiego walca z dookólnymi otworami obserwacyjnymi. Załogę stanowiło dwóch obserwatorów, dysponujących łącznością telefoniczną ze stanowiskiem dowodzenia TOPL w schronie pod danym budynkiem, gdzie przebywało dwóch zmienników. Obok WPO znajdowała się zwykle syrena alarmowa.

WPO tworzono w większości dużych miast, zarówno na nowo wznoszonych budynkach, jak i nadbudowując je na przedwojennych strukturach. Przykładem może być choćby kamienica Jana Łaskiego przy pl. Unii Lubelskiej w Warszawie: wzniesiona w 1912 r., szybko została odbudowana po wojnie, a następnie, w latach 50., uzupełniona o WPO. Również modernistyczna wieża ciśnień na terenie Fabryki Wyrobów Precyzyjnych im. Karola Świerczewskiego przy ul. Kasprzaka, pozostała jeszcze po przedwojennej Państwowej Fabryce Karabinów, otrzymała charakterystyczną nadbudówkę i syrenę. Z kolei budowany w latach 1954–1957 hotel Grand przy ul. Kruczej (obecnie Mercure) już w trakcie budowy został wyposażony w cylindryczny WPO na dachu, co dokładnie możemy zobaczyć na zdjęciu autorstwa Zbyszka Siemaszki. Same punkty obserwacyjne rzadko były obiektem zainteresowania cywilnych fotografów, stąd zwykle można je zauważyć jedynie, powiększając zdjęcia z ogólnymi widokami ulic i budynków. Przykładowo, jeśli powiększymy kadr autorstwa Grażyny Rutowskiej przedstawiający plac Unii Lubelskiej w grudniu 1967 r., na kamienicy Jana Łaskiego zobaczymy WPO z syreną, ukryty za neonem „Czytajcie »Sztandar Młodych«".

Sieć WPO w Warszawie była gęsta – odległość między niektórymi wynosiła zaledwie 200–500 m – i do dziś można ją zaobserwować w Śródmieściu, na Żoliborzu czy Ochocie. Czasem funkcję WPO pełniły specjalnie przystosowane maszynownie wind, a także inne obiekty, przeznaczone do pełnienia funkcji obronnych w razie wojny. Punkty obserwacyjne przestano budować w latach 60. – praktycznie nie spotyka się ich w budownictwie z wielkiej płyty i późniejszym. Przyczynił się do tego rozwój nowych środków ataku powietrznego oraz skutecznych metod ich wczesnego wykrywania – w takiej sytuacji obserwator na dachu stawał się anachronizmem rodem z II wojny światowej.

Po zlikwidowaniu Obrony Cywilnej wiele WPO zostało znacznie przekształconych przez zamurowanie otworów okiennych czy pokrycie WPO w całości styropianem podczas ocieplania budynków. Niektóre zaadaptowano na pomieszczenia przekaźników telefonii komórkowej. Inne ulegają stopniowej degradacji pod wpływem warunków atmosferycznych lub są rozbierane wraz z wyburzanymi budynkami. Zatem spacerując po ulicach polskich miast, warto spoglądać na dachy – może to właśnie nasz blok był kiedyś elementem TOPL?

ŁUKASZ KAROLEWSKI

FOT. ZBYSZKO SIEMASZKO/NAC; GRAŻYNA RUTOWSKA/NAC

Autopromocja

eprasa.pl 287b547067



Najlepszy pakiet e-prenumeraty SIECI

3 e-booki w prezencie



TEOLOGIA TOLKIENA

Ukazuje chrześcijańskie prawdy wiary ukryte w losach bohaterów Śródziemia. Miłośnicy Tolkiena poznają go jeszcze lepiej, a wielbiciele teologii – dowiedzą się więcej o Bogu.

OJCIEC WOLNYCH LUDZI

Wciągająca opowieść oparta na faktach z życia Prymasa Tysiąclecia. Książka jest lekturą uzupełniającą dla szkół średnich.

SZUSTA RANO

Książka motywator o. Adama Szustaka z inspirującymi myślami na każdy dzień nadchodzącego 2022 r. Najlepiej ją czytać przy porannej kawie!

Zamów już dziś na **www.siecprzyjaciol.pl**

ZESKANUJ KOD I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl 287b547067



Na północno-zachodniej wieży budowniczowie zamku umieścili obok siebie symbole krzyża i siedmioramiennej menory

CASTELLO URSINO

Klimat nieustannie się zmienia. Zlodowacenia minęły tysiące lat temu. Obecnie słupek rtęci zimą coraz rzadziej spada na niebieską część termometru i jednocześnie bije kolejne rekordy wysokości latem. W minione wakacje kilka dni spędziłem u stóp sycylijskiego wulkanu Etny. Szalejący wówczas w tym rejonie antycyklon Lucyfer niósł ze sobą istnie piekielne temperatury – 11 sierpnia w Syrakuzach zanotowano 48,8°C! W takim upale nawet siedzenie na plaży męczy niesamowicie. Szczęśliwie w Katanii trafiłem do średniowiecznego zamku Ursino. W duchu dziękowałem cesarzowi rzymskiemu i królowi Sycylii Fryderykowi II z dynastii Hohenstaufów za jego wybudowanie (w latach 1239–1250). Grube mury królewskiej rezydencji podkreślały majestat władcy, a samą fortecę czyniły niemożliwą do zdobycia. Obecnie zapewniały upragniony chłód i chroniły przed lejącym się z nieba żarem.

Zamkowe komnaty są siedzibą miejskiego muzeum sztuki, utworzonego w 1934 r. Stałą ekspozycję tworzą pochodzące z wykopalisk starożytne rzeźby, figurki i ceramiczne naczynia. Na wyższych kondygnacjach zlokalizowano galerię obrazów, gabloty z grafikami przedstawiającymi Etnę z różnych epok i... XIX-wieczne drewniane urządzenia tkackie. Przed wyjściem znajduje się jeszcze sycylijska wystawa epigraficzna z eksponatami prezentującymi różnorodność alfabetów i rodzajów pism używanych na przestrzeni wieków przez mieszkańców wyspy (m.in. Grecy, Wikingowie, Żydzi, Rzymianie) oraz gabloty z bogato zdobioną czarnoprochową bronią palną.

Forteca sama w sobie jest niezwykle ciekawa, usytuowana w oddaleniu od brzegu morza i otoczona gęstą miejską zabudową. Jej pochodząca z łaciny nazwa – castrum sinus – oznacza zamek nad zatoką. Za niespójność odpowiada erupcja Etny z 1669 r., w wyniku której została zniszczona część Katanii. Spływająca po zboczach wulkanu lawa oblała zamek, nie wyrządzając mu krzywdy, spłynęła do morza i zastygając, utworzyła nowy ląd, odsuwając tym samym warownię od wybrzeża. Solidna konstrukcja pozwoliła jej niemal bez szwanku przetrwać potężne trzęsienie ziemi, które zniszczyło Katanię w 1693 r.

Castello Ursino nigdy nie był oblegany. Na kartach historii zapisał się podczas nieszporów sycylijskich – antyfrancuskiego powstania Sycylijczyków, rozpoczętego w Palermo rzezią Francuzów w poniedziałek wielkanocny 30 marca 1282 r. – kiedy obradował tu parlament sycylijski. Ustanowił on flagę Sycylii, obowiązującą do dziś, a w roku 1295 wybrał Fryderyka III z dynastii barcelońskiej na króla wyspy.

Okres świetności zamku zakończył się po wynalezieniu broni palnej i przeniesieniu stolicy Sycylii z Katanii do Palermo na początku XV w. Dawna rezydencja królewska niszczała i w późniejszych latach służyła jako więzienie i koszary. W 1932 r. kasztel został kupiony przez władze miejskie i odrestaurowany.

Zamek Ursino od niemal 800 lat trwa na swoim miejscu, nie uległ Etnie, która oblewała go lawą i dosłownie trzęsła całą okolicą. Nie ulegnie też zmianom klimatu, na skutek których Katanię w sierpniu nawiedziły rekordowe upały, a w październiku katastrofalne ulewy.

ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

FOT. ARCHIWUM AUTORA

WIĘCEJ ZDJĘĆ POD ADRESEM: wPolityce.pl/historia/577370-zamek-ursino

eprasa.pl 287b547067

OSTATNI LOT HALIFAXA JP-276 „A”



RAFAŁ BRODACKI

W ZASOBIE MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO ZNAJDUJĄ SIĘ PRZEDMIOTY WYCIĄGNIĘTE Z WRAKU SAMOLOTU HALIFAX ZESTRZELONEGO W OKOLICACH DĄBROWY TARNOWSKIEJ W NOCY Z 4 NA 5 SIERPNIA 1944 r.

W nocy z 4 na 5 sierpnia 1944 r. z południowych Włoch wystartowało 14 maszyn z zaopatrzeniem dla Armii Krajowej. Dowództwo brytyjskie, zdając sobie sprawę z trudności i niebezpieczeństw wiążących się z dokonywaniem zrzutów dla walczącej stolicy, zakazało nalotów na Warszawę. Mimo to trzy polskie załogi za cichą zgodą polskiego dowództwa zrzuciły zaopatrzenie w stolicy i Puszczy Kampinoskiej. Pozostałe zaś załogi alianckie rozleciały się w kierunku wyznaczonych im celów w innych częściach kraju. Większość zdołała odnaleźć placówki i dokonać zrzutu. Niestety podczas przeprowadzania operacji stracono cztery samoloty wraz z załogą.



Fragment jednej z wykopanych map przedstawiający okolice Warszawy

Jedną z tych, które nie wróciły do bazy, była mieszana kanadyjsko-brytyjska załoga, która leciała samolotem Handley Page Halifax JP-276 „A” pilotowanym przez kpt. Arnolda Blynna ze 148. Dywizjonu RAF. Załoga ta otrzymała rozkaz zrzutu na placówkę odbiorczą „San 215” w okolicach Skierniewic. Zrzut się udał, ale podczas powrotu do Włoch samolot przechwycił niemiecki myśliwiec. Maszyna kpt. Blynna została zestrzelona i runęła w okolicach Dąbrowy Tarnowskiej. Załoga nie przeżyła katastrofy, a szczątki maszyny zaryły się w podmokły grunt.

Na miejscu katastrofy pojawiła się niemiecka żandarmeria, która otoczyła wrakowisko kordonem i zabrała niektóre elementy wraku, takie jak karabiny maszynowe. Bezpośrednio po wojnie, z rozkazu władz, wystające ponad poziom gruntu elementy zostały zdemontowane, a reszta zakopana. Informacje o losach załogi kpt. Blynna przetrwały jednak w pamięci okolicznej ludności i badaczy lotnictwa. Pochowali oni zabitych, ale resztek samolotu przez wiele lat nikt nie zbadał.

W 2006 r. do Muzeum Powstania Warszawskiego badacze historii lotnictwa przekazali informację o niezbadanym jeszcze wraku, który miał się znajdować na jednym z pól w okolicach Dąbrowy Tarnowskiej. Historycy z MPW doszli do wniosku, że może chodzić o resztki samolotu kpt. Blynna.

18 października 2006 r. ruszyły prace archeologiczne, podczas których odkopano wrak Halifaxa JP-276. Znaleziono także szczątki lotników oraz rzeczy osobiste załogi, takie jak broń, papierośnica, scyzoryk i odznaka pilota. Przedmioty te były zniszczone przez długoletnie leżenie w ziemi. Mapy zaś zbiły się w bryły, które dodatkowo były nadpalone i nasiąknięte paliwem lotniczym. Po uważnej konserwacji udało się odzyskać 26 fragmentów map, które były wewnątrz bloku. Te skrajne, podobnie jak okładki mapników, uległy całkowitemu zniszczeniu.

Pozostało odpowiedzieć na pytanie, czy odkopany wrak to faktycznie resztki samolotu kpt. Blynna. Podczas prac nie znaleziono nieśmiertelników członków załogi, ale tabliczka znamionowa, jak i elementy wraku potwierdziły, że wykopano Halifaxa. Analizując numery znalezionej broni, okazało się, że należała ona do chor. Georga Chapmana i st. sierż. Arthura Liddella, czyli nawigatora i dispatchera w załodze kpt. Blynna. Nie było więc wątpliwości, że odkopany wrak to Halifax JP-276 „A”. Znalezione przedmioty zostały zakonserwowane, a część z nich można do dziś oglądać na ekspozycji stałej MPW. O historii załogi wspomniano też w filmie dokumentalnym „Na skrzydłach nadziei” w reżyserii Jarosława Krychowiaka z 2007 r.



Prace archeologiczne w miejscu katastrofy Halifaxa, październik 2006 r.

FOT. ZE ZBIORÓW MPW



Materiał przygotowany przez zespół Muzeum Powstania Warszawskiego

Muzeum Powstania Warszawskiego

Reklama na IV okładce 34/0221/F

ipn.poczytaj.pl



WYDAWNICTWO INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ IPN

eprasa.pl 287b547067